

Fern Michaels
Duma i namiętość

1

Ostre brazylijskie słońce oświetlało targowisko na przystani rzecznej, zbudowanej z grubo ciosanych bali.

Roiło się tu od handlarzy, głośno wychwalających swoje towary. Pomiędzy straganami przechadzali się marynarze; targowali się, a potem i tak płacili żadaną cenę.

Marynarzy oblegały zebrzące dzieci. Szarpiąc mężczyzn za rękawy i czepiając się nogawek spodni, prosiły o słodczy lub namawiały gestami do zakupów na straganie rodziców.

Przekupnie wyklócali się o ceny ze szczupłymi Indiankami w długich spódnicach. Wszędzie kipiało życie i pyszniły się soczyste barwy. Marilyn nigdy dotąd nie oglądała równie ekscytujących scen. Nic nie przypominało jej rodzinnej Nowej Anglii.

Marilyn Bannon zachwyciły Indianki. Były piękne: miały ciemną gładką skórę, nie czarną jak u Murzynek, ale orzechowobrazową; wielkie ciemne oczy zaczesane do tyłu, proste czarne włosy. Ubrane były w jaskrawe stroje, podkreślające kolor cery. Marilyn poczuła się przy nich blada i bezbarwna.

Zobaczyła, że kilka kobiet przygląda się jej i poczuła, że się rumieni pod ich natarczywymi spojrzeniami. Mówiły coś między sobą, wskazując ją ruchem głów.

Towarzyszka podróży Marilyn, pani Quince, zauważyła jej zakłopotanie i przetłumaczyła śpiewne słowa Indianek.

– Mówią, że jesteś piękna; nazywają cię złotowłosą dziewczyną. Są zachwycone twoim wyglądem, na pewno ci zazdroszczą.

– Jakie to dziwne. Właśnie myślałam, że są takie śliczne. Przy nich poczułam się bezbarwna.

– Cóż, moja droga, z pewnością znasz przysłowie nie to ładne, co ładne... Chodź, musimy się dowiedzieć, który statek zabierze nas do Manaus.

Na dźwięk egzotycznej nazwy miasta Marilyn poczuła dreszcz emocji i przyspieszone bicie serca. „Manaus” – przeczytała w przewodniku – „klejnot bogactwa i kultury, lśniący pod brazylijskim słońcem. Wzniesiony w okresie szczytu gorączki kauczukowej w głębi tajemniczej puszczy nad Amazonką”.

Chwyliła podręczną walizeczkę i wdzięcznie unosząc spódnicę, ruszyła za wysoką, kanciastą panią Quince, która szła ku niskim budynkom na skraju przystani.

Obok Marilyn przebiegł mały chłopiec. Kiedy uchyliła się, żeby na nią nie wpadł, zauważyła wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę w białym garniturze i bez kapelusza. Przyglądał się jej uważnie. Jego natrętne spojrzenie zaniepokoiło Marilyn. Przyspieszyła kroku, żeby nie narażać się na zaczepki.

Dogoniła swoją towarzyszkę i usłyszała, że pani Quince wciąż do niej mówi. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że Marilyn została na chwilę z tyłu.

– ... będziesz oczarowana łopatkowym statkiem. To coś w sam raz dla młodej dziewczyny. Nasze statki pływające po Amazonce dorównują luksusom, jakością jedzenia i rozrywek statkom z Missisipi. Będziesz miała okazję wystąpić w najpiękniejszych sukniach.

Marilyn uśmiechnęła się, widząc, jak szaroniebieskie oczy pani Quince rozbłysły radośnie.

Załatwiły karty wstępu na pokład „Brazilia d’Oro” i pani Quince zaprowadziła Marilyn na nabrzeże.

– Nasze bagaże zostaną wniesione na statek nieco później.

Stały obok trapu, czekając, by zatwierdzono ich karty wstępu na pokład. Nagle Marilyn poczuła, że ktoś ją obserwuje. Na pokładzie spacerowego statku zauważyła tego samego wysokiego mężczyznę. Był przystojny i najwyraźniej bardzo nią zainteresowany. Patrzył prosto w twarz Marilyn. Zawstydzona jego zuchwalstwem poczuła, że się rumieni.

Pani Quince odwróciła się i spostrzegła, że Marilyn patrzy w górę na statek.

– Tak, moje dziecko, są naprawdę piękne!

– Co?

– Statki łopatkowe! Czyż nie są piękne?

– O, tak, bardzo – odparła Marilyn z roztargnieniem. – Słyszałam o statkach kursujących po Missisipi, ale widziałam je tylko na sztychach.

Przyglądała się wsiadającym ludziom. Jej wzrok spoczął na białym parowcu i jego czerwono-złoty relingach. Kominy były pomarańczowe, a trap jasnozielony.

Choć takie zestawienie barw wydało się jej przesadne, na tym pełnym wdzięku statku wcale nie raziło.

Obie damy weszły po jaskrawozielonym trapie na pokład spacerowy „Brazili”. Marilyn trzymała się kurczowo konopnej liny. Po kilkutygodniowej podróży przez ocean z Nowej Anglii do Brazylii, nie czuła się zbyt pewnie na nogach, liczyła, że na pokładzie parowca poradzi sobie lepiej niż na ładzie. Zastanawiała się, czy można się nabawić „choroby lądowej”, bo od kiedy postawiła stopę na stałym lądzie; czuła się trochę dziwnie. Podzieliła się tym spostrzeżeniem z panią Quince.

– O, tak, moje dziecko. Ja także odczuwam skutki długotrwałej podróży przez ocean. Na pokładzie „Brazili” będzie znacznie lepiej. Prawdę powiedziawszy, nie mogę się już doczekać przyjazdu na plantację, gdzie wreszcie będę mogła zwolnić tempo i żyć bez pośpiechu.

Marilyn nie mogła sobie wyobrazić, by energiczna pani Quince kiedykolwiek żyła bez pośpiechu.

Poszły za bagażowym do ich sąsiadujących ze sobą kabin. Niski człowieczek otworzył przed nimi drzwi i wprowadził je do chłodnej i mrocznej luksusowej kajuty. Umeblowana była z dyskretną elegancją w stylu letniego domku wiejskiego, w odcieniach chłodnej zieleni i różu. Ciemnoróżowy dywan podkreślał delikatną barwę zasłon. U sufitu wisiał lśniący kryształowy kandelabr.

Kajuta pani Quince wyglądała podobnie, tylko dywan miał odcień ciemnej purpury.

– Ładnie tutaj, prawda? Marilyn, słuchasz mnie?

Marilyn nie słuchała. Całą jej uwagę pochłonęły otwarte drzwi, za którymi na chwilę pojawiła się wysoka sylwetka w białym garniturze.

– Przepraszam, czy pani coś do mnie mówiła?

– Mówiłam, że mamy ładne kajuty, nie sądzisz?

– O, tak. Są naprawdę bardzo przyjemne.

– Wyglądasz na zmęczoną, moje dziecko. Może powinnaś się położyć i trochę odpocząć. Poczujesz się lepiej i z apetytem zjesz wieczorny posiłek.

– Chyba ma pani rację, czuję się trochę zmęczona.

– Tak myślałam. Idź do swojej kabiny i odpocznij. Ja dopilnuję bagaży.

Po krótkiej drzemce Marilyn poczuła się odświeżona i z niecierpliwością oczekiwała wieczoru, po którym spodziewała się wielu atrakcji. Już teraz docierały do niej przytłumione dźwięki orkiestry.

Szybko umyła twarz i ręce i usiadła przed okrytą organdyńowym pokrowcem toaletką. Pod spinkami, wstążkami i rozsypanym pudrem odnalazła oprawioną w srebro szczotkę do włosów. Przytuliła ją do policzka i od razu poczuła się nieco bliżej ojca. Szczotka była ostatnim prezentem od niego. Po raz kolejny doznała wrażenia głębokiej i dojmującej pustki. Być może z czasem poczucie straty stanie się łatwiejsze do zniesienia. Na ręczce szczotki wygrawerowano napis: „Drzewo Życia”. Tak nazywała się plantacja kauczuku, dzięki której ojciec dorobił się majątku, i która teraz miała się stać nowym domem Marilyn.

Pobiegła myślami wstecz i znowu znalazła się na parowcu, który przywiózł ją do tego egzotycznego miejsca.

Lekki powiew wiatru zaszeleścił papierami, które Marilyn przyniosła ze sobą na środkowy pokład. Siedziała na leżaku i starała się zrozumieć treść dokumentów, znajdujących się w teczce ojca. Prawnicy rodziny wszystko jej dokładnie wyjaśniali, ale Marilyn przepełniał taki smutek, że ich słowa tylko zamąciły jej w głowie i podpisała dokumenty, w ogóle ich nie czytając.

Dopiero teraz zajęła się przeglądaniem prowadzonego przez ojca dziennika. Kartkując księgę, dotarła do ostatnich zapisków Richarda Bannona, sporządzonych tuż przed śmiercią.

Oczy Marilyn zaszyły łzami, ale otarła je szybko i powróciła do lektury. Nagle coś ją uderzyło, jakieś dziwnie sformułowane zdanie, którego nie potrafiła zrozumieć. Wróciła do poprzednich stron i uważnie studiowała zapiski. Nic istotnego, jakieś daty i spotkania, coś na temat zakupu francuskich win. Ale potem:

Rozmawiałem dziś ze starym prawnikiem Farleigha. Wygląda na to, że stary kutwa w końcu odszedł na emeryturę i przypomniał sobie o dawnych przyjaciółach. Jeżeli to, co mi powiedział, jest prawdą, będę musiał zmienić plany dotyczące przyszłości Marilyn. Sprawa wymaga natychmiastowego przemyślenia.

Dwa tygodnie później następny zapis:

Wygląda na to, że Quinton, prawnik Farleigha, wie, co mówi. Wszystko na to wskazuje. Ale i tak nie mogę uwierzyć, że Carlyle byłby zdolny do tak nikczemnego czynu. To niegodne młodego chłopca, którego kiedyś poznałem. Czekam na dalsze wiadomości od Quintona.

I następny zapis, po miesiącu:

Tak, to jednak prawda. Carlyle nie wypełniał moich życzeń, dotyczących przestrzegania prawa *Ventre Libre* wydanego przez księżniczkę Izabelę i ja mu tego nie wybaczę. Z bieżącej korespondencji z Quintonem oraz z innych źródeł uzyskałem informacje, które sprawiają, że zaczynam wierzyć Quintonowi. To nie wszystko; przypomina mi się, że mój drogi przyjaciel, Carlyle Newsome Senior, uzał się na swego syna. Mówi się coś o tym, że chłopak w okrutny sposób pobił niewolnika na śmierć. Krążyły też pogłoski o jego wydziedziczeniu.

Wreszcie ostatnia notatka:

Coraz wnikliwiej badam przeszłość; teraz jestem zupełnie przekonany, że Carlyle jest za to odpowiedzialny. Muszę wprowadzić znaczące zmiany w moich planach dotyczących Marilyn. Unieważnię dzierżawę plantacji *Drzewo Życia* i do diabła z Carlylem Newsome'em!

Marilyn nie rozumiała zapisków w pamiętniku, ale i tak było za późno, by coś zrobić. Richard Bannon umarł, zanim zrealizował swoje zamierzenia, a ona była właśnie w drodze na plantację *Drzewo Życia*. Usiłowała zapomnieć o przygnębiającym zdaniu, przeczytanym w księdze, tłumaczyła sobie, że ojciec zawsze był nadopiekuńczy, ale czuła, że coś jest nie w porządku.

Szukając w sakwojażu nowej wstążki, natrafiła na list, który Carlyle Newsome przysłał jej na wieść o śmierci ojca. Marilyn знаła na pamięć jego treść:

*Moja droga Marilyn,
Jestem głęboko zasmucony wiadomością o śmierci twego ojca. Wiem, że jego odejście jest dla Ciebie wielką stratą. W dniach żałoby przesyłam Ci najszczęrsze wyrazy współczucia.
Twój ojciec był doskonałym partnerem w interesach, bardzo cenionym i szanowanym przez mego ojca Carlyle'a Newsome'a Seniora. Poznałem, kiedy byłem jeszcze chłopcem.*

W listach do mnie, Twój ojciec prosił, abym zgodził się przyjąć rolę Twojego opiekuna, gdyby zaszła taka potrzeba.

Ten list jest najserdeczniejszym zaproszeniem na plantację Drzewo Życia, które stanie się wkrótce Twoim domem.

Załączam rozkład kursów parowców, odbijających z Nowej Anglii, a także instrukcje dotyczące podróży.

Jeżeli uda Ci się zamówić miejsce na statku „Victoria”, spędzisz czas w miłym towarzystwie pani Rosalie Quince, która wraca do Brazylii. Będzie Ci towarzyszyć aż na plantację. Jej posiadłość oddalona jest od naszej zaledwie o piętnaście kilometrów.

Moi synowie, Carl i Jamie, dotychczas wyraży współczucia, życzą Ci też bezpiecznej i szybkiej podróży.

*Z wyrazami szczerzej sympatii
Carlyle Newsome*

Pani Quince okazała się prawdziwym darem niebios. Jej radosny stosunek do życia stał się balsamem na rany Marilyn, a jej bezpośredniość i macierzyńska opiekuńczość i pozwalały zapomnieć o przykrych wydarzeniach i sprawiały, że przyszłość wydawała się mniej niebezpieczna.

Świadomość, że pani Quince mieszka na sąsiedniej plantacji, była wielką pociechą. Marilyn nie oczekiwała, że będzie szczęśliwa w tej nieznannej brazylijskiej krainie o gorącym i wilgotnym klimacie. Szczerze kochała małe miasteczko w Nowej Anglii, z którego pochodziła. Postanowiła jednak zrobić wszystko, aby wypełnić życzenie ojca. Była mu to winna. Wiedziała, że mimo pewnych wątpliwości pragnął, by pojechała na plantację do syna jego najdroższego przyjaciela.

Richard Bannon darzył Carlyle'a Newsome'a tak wielkim szacunkiem, że wyznaczył jego syna na opiekuna córki. W swoich ostatnich słowach wyraził wolę, by Marilyn przygotowała się do wyjazdu na plantację w Brazylii, która miała stać się jej domem. Jako właścicielka połowy plantacji, będzie tam u siebie. Marilyn nie miała krewnych w Nowej Anglii. Urodziła się, gdy ojciec był już starszym człowiekiem, matka zaś zmarła wkrótce po jej narodzinach.

Richard Bannon nigdy się nie otrząsnął ze smutku po stracie młodej i pięknej żony. Wysoka i złotowłosa Marilyn była żywym odbiciem swojej matki, co stale przypominało starzejącemu się Richardowi żonę. Ale bardzo kochał córkę, dbał o nią i zapewniał zawsze wszystko, co najlepsze. Opłacał jej wykształcenie. Chcac uchronić ją

przed złem otaczającego świata, nie nauczył córki samodzielności i nie przygotował do życia bez jego opieki.

Nic dziwnego, że Marilyn obawiała się spotkania nieznanymi ludźmi i życia pod dachem Carlyle Newsome'a – w towarzystwie jego dwóch synów. Nigdy dotąd nie musiała dostrajać się do nowych warunków. Zawsze była chroniona i kochana przez opiekuńczego ojca.

Ułożyła modnie włosy. Złociste loki szeszała z gładkiego czoła i na wzór antycznych Greczynek upięła w koronę na czubku głowy. Fryzura podkreślała jej wdzięczną długą szyję i miękko zaokrąglone ramiona.

Wybrała suknię z cienkiego, ciemnobursztynowego jedwabiu. Bogato pofałdowana, lśniąca suknia doskonale nadawała się na uroczysty wieczór. Marilyn lekko umalowała pełne usta, a podniecenie sprawiło, że nie musiała nakładać różu na policzki.

Ramiona nakryła kaszmirowym szalem i sięgnęła po torebkę. Rzuciła ostatecznie spojrzenie w lustro i zadziwiła się własną urodą. Była wysoka i szczupła, może nieco zbyt szczupła, miała oczy o złociście nakrapianych tęczęwkach. Uśmiechnęła się na wspomnienie słów Indianek, które nazwały ją złotowłosą dziewczyną. Pomyślała, że może w kraju, gdzie prawie wszyscy są ciemnoskórzy, powinna być zakłopotana swoją, rzucającą się w oczy, jasną cerą. Ale myśl o zachwyconym spojrzeniu wysokiego mężczyzny bez kapelusza wywołała rozkoszne mrowienie.

Odwróciła się od lustra i już miała zastukać do drzwi sąsiedniej kabiny, kiedy usłyszała wołanie pani Quince.

– Hej, hej, Marilyn. Jesteś gotowa?

– Tak, pani Quince.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich pani Quince. Postawna kobieta wybrała na wieczór jedwabną ciemnoczerwoną suknię, która tuszowała kanciastość jej sylwetki.

– Pięknie wyglądasz, moja droga. Kiedy wejdziemy do jadalni, nie będzie mężczyzny, który by się za tobą nie obejrzał. Mam nadzieję, że poradzisz sobie ze skłonnością do flirtów, która leży w naturze brazylijskich džentelmenów.

Jadalnia była wypełniona.

– Nie sądziłam, że tak dużo osób przyjdzie na kolację pierwszego wieczoru. Mam nadzieję, że nie będziemy zbyt długo czekały na stolik. Umieram z głodu – oświadczyła pani Quince.

Marilyn nie martwiła perspektywa czekania, chociaż także była głodna. Jadalnię urządzono z przepychem. Zdabły ją ciemnoczerwone

dywany i obrazy w niezbyt gustownie połączonych ramach. Kryształowe kandelabry rzucały ciepły blask na wystrojonych pasażerów, klejnoty pań mieniły się w nim barwami tęczy. Po wyrafinowanej prostocie frachtowca „Victoria”, którym przyплыły do Brazylii, przepych „Brazilia d’Oro” oszołomił Marilyn.

Podszedł do nich krępy i srogo wyglądający maître d’hôtel.

– Upłynie godzina, zanim łaskawe panie będą mogły usiąść do stołu. Może wolałyby panie zjeść kolację w kabinie?

Pani Quince zauważyła na twarzy Marilyn wyraz rozczarowania:

– Nie, zaczekamy. Jestem głodna, ale nie chcę rozczarować mojej młodej przyjaciółki, dla której jest to pierwszy wieczór na pokładzie parowca rzecznego.

Słyszac to, maître d’hôtel uśmiechnął się słabo, skłonił i odszedł.

Znowu zabrzmiała muzyka. Marilyn odwróciła się, by popatrzeć na orkiestrę. Muzycy mieli na sobie jaskrawoczerwone marynarki i czarne spodnie. Wszyscy byli Indianami, ale popularne melodie grali tak dobrze, że można by ich wziąć za Anglików lub Amerykanów.

Marilyn rozejrzała się po sali. W jednej z wnęk siedział ten sam dżentelmen, który wcześniej przypatrywał się jej tak natarczywie. Gdy ich oczy spotkały się, szybko odwróciła wzrok, ale wkrótce znów tam spojrzała. Mężczyzna wstał od stołu i siedł w jej stronę. Serce Marilyn zabiło mocniej. Patrzyła, jak nieznajomy przepycha się z trudem między stolikami. Nie patrzył już na Marilyn, ale gdzieś poza nią i dziewczyna odczuła niezrozumiałe rozczarowanie. Kiedy się zbliżył, zauważyła, że jest bardzo wysoki. Marilyn sięgała mu zaledwie do ramienia.

Pani Quince niemal podskoczyła z radości.

– Ależ to Sebastian. Mamy szczęście!

Młody człowiek lekko wbiegł po czterech stopniach, prowadzących na podwyższenie, na którym stały obie damy. Uśmiechnął się, białe zęby błysnęły w mocno opalonej twarzy. Jego oczy, zauważyła Marilyn, były czarne jak u Indianina.

– Pani Quince! Spodziewałem się ujrzeć panią dopiero w przyszłym miesiącu. Gdybym wiedział, że podróżuje pani tym samym statkiem, zaprosiłbym panią do mego stolika już wcześniej.

– Sebastianie Rivera, co robisz w Belem o tej porze roku? Sądziałam, że jesteś zbyt zajęty dostarczaniem kauczuku na rynek, by pozwalać sobie na przejażdżki na wschód. Muszę jednak przyznać, że twój widok bardzo mnie cieszy. Maître d’hôtel oznajmił, że na kolację musimy poczekać co najmniej godzinę. – To powiedziawszy, pani Quince zwróciła się w stronę Marilyn.

Oczy Sebastiana powędrowały w tym samym kierunku i młody człowiek złożył dworski ukłon.

– Marilyn Bannon – powiedziała pani Quince. – Pozwól, że ci przedstawię Sebastiana Riverę. Marilyn odbywa ze mną podróż na plantację.

– Miło mi panią poznać, panno Bannon.

Marilyn poczuła, że przewierca ją oczami na wylot. Straciła oddech i z trudem się opanowała. Nigdy w życiu nie spotkała tak przystojnego i energicznego mężczyzny.

– Mnie również, panie Rivera – odparła.

– Proszę zrobić mi zaszczyt i usiąść przy moim stole.

– Myślałam, że nigdy nas nie zaprosisz – odparła pani Quince z typową dla niej jowialnością, do której Marilyn zaczynała się przyzwyczajać. – Choć i tak, sama bym się wprosiła. Dobrze jednak, że zaproszenie wyszło od ciebie, Sebastianie!

Jego oczy zwróciły się w stronę Rosalie Quince.

– Znam panią wystarczająco długo, by nie wątpić, że postąpiłaby pani właśnie w taki sposób, pani Quince. Zapewniam, że cała przyjemność jest po mojej stronie.

Podał damom ramiona i poprowadził je do swego stolika.

Rozmowa toczyła się żywo, przede wszystkim dzięki wesołości i gadatliwości pani Quince. Nadziewana jagnięcina z ryżem była wysmienita, a wino, które wybrał Sebastian, doskonale do niej pasowało.

– Nareszcie – westchnęła pani Quince, kiedy kelner spytał, co podać na deser. – Nie masz pojęcia, Sebastianie, jak bardzo tęskniłam za *clea'ho*.

– Wyobrażam sobie, pani Quince – odparł Sebastian. – Podejrzewam, że guawa nie jest owocem popularnym w Ameryce Północnej.

Marilyn zaintrygowana przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Sebastian nawiązał do namiętności, jaką żywię do ulubionego deseru Brazylijczyków, galarety z guawy z białym serem. Czy masz odwagę spróbować tego smakołyku? A może wolisz Błogosławioną Matkę?

– Błogosławioną Matkę? Cóż to takiego?

Sebastian i pani Quince wybuchnęły śmiechem, ale widząc zakłopotanie Marilyn, szybko powściągnęli wesołość.

– Proszę mi wybaczyć moje grubiaństwo, panno Bannon. Obawiam się, że pani Quince i ja zabawiliśmy się pani kosztem. Brazylijczycy

nazywają tak pewien rodzaj słodczy. Są one bardzo podobne do francuskich *petit fours*. Indianie zazwyczaj podają je podczas świąt religijnych, stąd nazwa Błogosławiona Matka.

– Ach, rozumiem. Może powinnam więc skosztować Błogosławionej Matki, jeżeli nie macie nic przeciwko temu. – Na widok pełnych skruchy min Sebastiana i pani Quince, Marilyn uśmiechnęła się radośnie.

– Wygląda na to, że panna Bannon także lubi sobie poartować. Nie znajduję wprost słów, by wyrazić, jak bardzo cieszę się na wspólną podróż po Amazonce. Dzięki paniom, jestem jedynym mężczyzną na statku, którego spotkał zaszczyt towarzyszenia dwóm tak pięknym damom.

– Zostaw te komplementy do czasu, kiedy znajdziesz się na parkiecie, Sebastianie. Moje zmęczone stopy muszą odpocząć. Nie zwlekaj z zaproszeniem Marilyn do tańca i nie przejmuj się tym, że zostanę sama przy stoliku. – Pani Quince przysłoniła usta dłonią, by ukryć ziewnięcie. – Obawiam się, że kiedy skończę deser, powieki mi opadną. Pójdę do kajuty, a ty, mój drogi, dopilnuj, by Marilyn się nie nudziła. Zapewniam cię, że nie mam zamiaru odgrywać roli przyzwoitki. Znam cię wystarczająco długo, Sebastianie, by powierzyć Marilyn twojej opiece.

– Będę bardzo szczęśliwy, towarzysząc pannie Bannon.

Spojrzał z uśmiechem na Marilyn. Poczwała, że traci oddech.

Przez cały czas trwania kolacji nie odrywał od niej wzroku, przez co straciła apetyt. Czego szukał, zaglądając jej tak głęboko w oczy? Dlaczego nie potrafiła omijać wzrokiem jego oczu? Jakież nieznanne emocje budził w niej Sebastian?

Znowu zabrzmiała muzyka. Łagodna drażniąca zmysły melodia, której Marilyn nie знаła. Kelnerzy śpieszyli się, gasząc świece, płonące w kandelabrach ponad stolikami.

Ogromny ciemnoskóry mężczyzna, ubrany w wielobarwne spodnie i pomarańczową jedwabną koszulę rozpiętą do pasa, wszedł na parkiet. Przykucnął z parą bębenków między kolanami.

Flet grał natrętną melodię, wznoszącą się o oktawę ponad pozostałe instrumenty. Nagle pojawiła się para ciemnoskórych tancerzy ubranych w kwieciste kostiumy. Stanęli wyprostowani, w pełnej wdzięku pozie. Czekali, aż melodia dobiegnie końca.

W jadalni zapanowała pełna oczekiwania cisza.

– To będzie nie lada smakołyk, Marilyn – szepnęła pani Quince. – Oto trio, które zawojowało Rio de Janeiro. Pochodzą z Afryki

i odnoszą wielkie sukcesy. Przypuszczam, że są w drodze do Manaus, gdzie wystąpią w operze.

– Szszsz – syknął ktoś siedzący za nimi. Pani Quince skinęła ręką w kierunku parkietu.

Pierwsza poruszyła się czarna tancerka. Kołysała biodrami w rytm bębnow. Po krótkiej chwili dołączył do niej tancerz. Człowiek z bębenkami wybijał rytm, który w miarę rozwoju tańca stawał się coraz szybszy. Orkiestra przycichła, a flecista grał teraz powolną łagodną melodię, wznoszącą się do czystych, niewiarygodnie wysokich tonów.

Tancerze kołysali się w rytm melodii, coraz szybciej i coraz bliżej siebie.

Marilyn nigdy nie oglądała czegoś podobnego. Raz, gdy była z ojcem w Nowym Jorku, poszli do opery i na balet. Marilyn czuła, że wyrafinowane towarzystwo nowojorskie z 1887 roku, nie zaakceptowałoby tych tancerzy.

Jej uwagę przykuła tancerka. Wysoka i gibka, odchyłała się teraz do tyłu, wyginając w łuk, jakby w ekstazie. Światło nielicznych kandelabrow załśniło w kropelkach potu na jej górnej wardze, niczym w miniaturowych brylancikach.

Rytm melodii stał się bardzo szybki i nagle muzyka umilkła. Tancerze zastygli w bezruchu. Publiczność milczała. Marilyn rozejrzała się dyskretnie. Zauważyła mężczyzn rozluźniających kołnierzyki oraz damy chłodzące się wachlarzami. Odczuwała nieznane dotychczas podniecenie. Spojrzała na panią Quince, która była zupełnie oczarowana tańcem i wpatrywała się w tancerzy szklistym wzrokiem. Sebastian Rivera przyglądał się Marilyn. Jego spojrzenie było wnikliwe i badawcze. Odwróciła wzrok. Pod spojrzeniem Sebastiana czuła się piękna, kobieca i zmysłowa. Ten mężczyzna sprawiał, że stawała się świadoma siebie, swojej urody, swojej kobiecości.

Ich oczy się spotkały. Marilyn miała wrażenie, że Sebastian zagłębiał się w jej duszę, a ona pozwalała mu na to.

Chwilę potem pani Quince wróciła do swojej kajuty. Marilyn i Sebastian rozmawiali na różne tematy i cieszyli się ze swego towarzystwa. Nadeszła północ, mimo późnej pory Sebastian zaproponował spacer po pokładzie, zanim odprowadzi Marilyn do kabiny.

Na bezchmurnym niebie lśniły gwiazdy. Sebastian wskazał Marilyn Krzyż Południa. Otaczała ich cisza, stali nieruchomo, czując wzajemną bliskość.

– O czym pani myśli, panno Bannon?

– Myślałam o tym, że w mojej rodzinnej Nowej Anglii teraz, pod koniec grudnia, jest zima w całej pełni. A tutaj trwa nieustające lato. Trudno sobie wyobrazić, jak wielki jest świat. Tak wielki, że może pomieścić dwie pory roku równocześnie. Do niedawna znałam tylko Nową Anglię. A teraz jestem w Brazylii na statku, którym płynę po Amazonce do miasta, o którym nigdy przedtem nawet nie słyszałam. Gdyby nie towarzystwo pani Quince, czułabym się zagubiona i przestraszona. Dzięki niej, podróż stała się niezwykle ekscytująca.

– Tak, Rosalie Quince jest właśnie taka. Patrzy na świat niewinnymi oczami dziecka. Każdy dzień jest dla niej przygodą, którą dzieli się ze swoimi przyjaciółmi.

– Rozumiem, co ma pan na myśli. Kiedy ją zobaczyłam po raz pierwszy, od razu poczułam się swobodnie. To naprawdę wspaniała kobieta.

– I to pod wieloma względami, panno Bannon. Kiedy czterdzieści lat temu przybyła do Brazylii ze swoim mężem, Alenzo, pracowała z nim ramię w ramię w dzikim lesie kuczukowym. Gdyby nie jej siła i determinacja, pan Quince, co sam przyznaje, porzuciłby Brazylię, żeby szukać szczęścia gdzie indziej. Zaczynali od zera, wśród nieokiełznanej dzikiej przyrody i stworzyli oazę cywilizacji w sercu dżungli. Pani Quince sprowadziła do lasu kuczukowego katolickich misjonarzy, którzy kształcą Indian. To ona ufundowała pierwszy szpital dla Murzynów i Indian. W Manaus uważa się ją za wielką damę z towarzystwa i przyjęcie podczas sezonu nie jest udane, jeśli pani Quince nie zaszczyci go swoją obecnością.

Rosalie Quince ciężko pracowała przez całe życie. Czasem wydaje mi się, że teraz doskwiera jej beczynność. Gdyby mogła, chętnie nakryłaby głowę chustą i pracowała na polach razem z Indianami tak, jak kiedyś. Jest niezwykłą kobietą. Ci, którzy ją znają, są pełni podziwu dla jej radości życia, szczerości i uczciwości. Uważam za wielkie szczęście znać ją i bywać u niej.

– Miło mi to słyszeć, panie Rivera. Pani Quince nigdy by mi tego nie opowiedziała, choć muszę przyznać, że nie jestem zaskoczona. Jedyne kobieta, która poznała trudy życia, jest zdolna do współczucia i altruizmu. A te właśnie cechy dostrzegłam u pani Quince. Jej macierzyńskie uczucia stały się dla mnie prawdziwym dobrodziejstwem. Czulałam się tak, jakby mnie spotkał przywilej zastępowania jej córki Suzanne.

– Słusznie nazwała to pani przywilejem. Proszę mi powiedzieć, jak się ma Suzanne.

– Myślę, że bardzo dobrze. Pani Quince bardzo za nią tęskni. Marilyn zadrżała w podmuchu chłodnej i wilgotnej bryzy. Sebastian spostrzegł to i troskliwie otulił ją szalem.

– Muszę odprowadzić panią do kabiny. Nie mogę pozwolić, by się pani rozchorowała i pozbawiła mnie swego towarzystwa.

Słyszając te słowa, Marilyn spuściła powieki, bo znów obezwładniło ją cudowne ciepło. Sebastian uniósł jej delikatnie twarz.

– Wybacz mi – powiedział głębokim, ochryłym głosem.

Zanim zdołała odpowiedzieć, poczuła na policzku ciepły oddech, a potem jego pełne usta musnęły jej wargi.

2

Marilyn omal nie zemdląa. Poczua mrowienie i przytulila się do Sebastiana. Miała wrazenie, że on jest jej dopełnieniem i tylko razem tworzą całość.

Stali tak przez chwile, po czym Sebastian bez słowa odprowadził Marilyn do kabiny.

– Do jutra – wyszeptal.

– Do jutra – powiedziala, spoglądajac mu prosto w oczy. A potem szybko spuścila wzrok, przestraszona, że Sebastian domyśli się, co się w niej dzialo. Zamknela drzwi kabiny.

W sasiedniej kajucie Rosalie Quince usmiechnela się i westchnela z ulga, po czym ulozyla na lozku z baldachimem. Z rozbawieniem zdala sobie sprawe, że teskni za waska kaja, na ktorej sypiala podczas dlugiej podrözy statkiem handlowym.

– Zabawne – powiedziala do siebie. – Trudno uwierzyc, że moje ciało tak lubi niewygody.

Wiercila się na luksusowym lozku. Brakowalo jej przytulnego zagłebienia w sienniku.

Zanim zamknela oczy, odmowila wieczorna modlitwe nabożnym szeptem. Lezala, odpoczywajac, dopoki nie uslyszala, jak Marilyn zamyka za soba drzwi kajuty. Dopiero wtedy, pewna, że dziewczynie nic nie grozi, wygodnie ulozyla się do snu.

Zgodnie ze swym zwyczajem, czekala z modlitwa do chwili, gdy przemysli sprawy biezace. Jeszcze bedac mloda dziewczyna, wyrobila sobie nawyk porzadkowania mysli przed snem. Kiedy czula, że

w ciągu minionego dnia uczyniła wszystko, co było w jej mocy, dziękowała Bogu i zasypiała.

Odmawiając „Ojczy nasz”, pomyślała o Suzanne. Droga Suzanne, jej jedyne dziecko. Podróż do Ameryki, pomimo radosnego nastawienia, okazała się nudna i wyczerpująca. Odbyła ją, nie bacząc na podeszły wiek, ponieważ nie mogła się pogodzić z myślą, że jej córka będzie rodzić wśród obcych. Wprawdzie dziś „obcymi” były szwagierki Suzanne, jednak Rosalie czuła potrzebę ochraniać ją przed trudami życia i po raz kolejny, może już ostatni, znalezienia się blisko córki, by ulżyć jej w bólu.

Rosalie Quince z trudem godziła się z myślą, że być może widziała swą ukochaną córkę po raz ostatni w życiu. Nie była już młoda, a wilgotna dżungla rok po roku osłabiała jej siły.

Jakże chętnie przytuliłaby Suzanne. Wciąż miała przed oczami jej smukłą sylwetkę, stojącą na nabrzeżu i machającą na pożegnanie. Matka i córka nie wypowiedziały głośno swych obaw, ale czuły, że być może już nigdy nie przytulą się do siebie.

Dźwięk dochodzący z sąsiedniej kabiny przerwał te rozmyślenia. Pani Quince od pierwszego wejrzenia polubiła swoją młodą towarzyszkę podróży. Być może dlatego, że pozwalała jej zapomnieć o bólu, który odczuwała z powodu rozstania z córką. W każdym razie Marilyn okazała się pełną ciepła i uroku młodą kobietą.

Rosalie, tak okrutnie oderwana od Suzanne, przelała swe macierzyńskie uczucia na Marilyn Bannon.

Ukończywszy modlitwę, Rosalie szybko otarła łzę. Strzepnęła puchową poduszkę i spokojnie zasnęła.

Marilyn obudziła się wypoczęta. Była to pierwsza noc od wielu tygodni, kiedy nie musiała kulić się na krótkiej i wąskiej koi. Przeciągnęła się, prostując długie szczupłe ciało i rozkoszując pieczętą świeżej muślinowej pościeli.

Czuła się szczęśliwa i niecierpliwie oczekiwała zdarzeń nowego dnia. Usnęła, rozmyślając o uroczym wieczorze spędzonym w towarzystwie Sebastiana Rivery i pani Quince. Z radością spoglądała w przyszłość.

Wyskoczyła z łóżka. Umyła się szybko, z podnieceniem myśląc o tym, co przyniesiedzień. Nucąc pod nosem, przeglądała rzeczy w walizkach. Szukała odpowiedniego stroju na pierwszy dzień na luksusowym parowcu.

W końcu zdecydowała się na jedwabną suknię w kolorze akwamaryny. Usiadła przed toaletką, by ułożyć włosy. Uwolniła je z krępujących wstążek i zaczęła szczotkować.

Włosy sięgały jej prawie do pasa, wijąc się na białych ramionach. Za każdym razem, kiedy je czesała, zdumiewała ją ich obfitość i blask. Przypomniała sobie, że kiedy miała trzynaście lat, ciężko zachorowała i lekarz nakazał ściąć włosy.

– Włosy wysysają z niej siły – orzekł. Ojciec stłumił okrzyk grozy na wieść o tak radykalnym rozwiązaniu. Przez kilka miesięcy po tym zabiegu Marilyn nie opuszczała domu. Dopiero kiedy włosy odrosły do przyzwoitej długości, pozwoliła ojcu, by jej kupił czepek i nieśmiało towarzyszyła mu w przejażdżkach dwukółką po parku.

Teraz, zanurzając palce we włosach, błogosławiła lekarza za jego zalecenie. Odrosły bardzo szybko. Poprzednio były cienkie i jedwabiste, teraz stały się grube, lśniące i podatne na układanie. Marilyn uważała je za swą największą ozdobę.

Wsuwała ostatnie szpilki w skomplikowaną fryzurę, kiedy do drzwi zastukała pani Quince.

– Hej, hej, obudziłaś się, Marilyn?

– Proszę wejść. Właśnie kończę upinać włosy.

Pani Quince była jeszcze w pemiuarze.

– Wolisz zjeść śniadanie w kabinie, moja droga, czy na pokładzie z innymi pasażerami? Może zechciałabyś podziwiać krajobraz Brazylii, popijając kawę?

– Byłoby wspaniale, pani Quince. Wczoraj nie zobaczyłam zbyt wiele.

– Tak właśnie sądziłam. Ubiorę się w kilka minut. Może zechciałabyś wstąpić do mojej kajuty i zasznurować mi gorset?

Dwadzieścia minut później pani Quince i Marilyn siedziały przy małym okrągłym stoliku na górnym pokładzie. Marilyn w swojej akwamarynowej sukni budziła powszechny zachwyt i kiedy szła, wszyscy się za nią oglądali. Sutość jedwabnej mory i jej połyskujący odcień podkreślały jasną cerę dziewczyny, a włosom nadawały barwę złota. Marilyn podążała za panią Quince, nie zdając sobie sprawy z pełnych zachwyty spojrzeń. Wszystkie nerwy miała napięte w oczekiwaniu. I wtedy zobaczyła, a raczej poczuła, zbliżającego się Sebastiana Riverę.

– Witam panie. Mam nadzieję, że dobrze panie wypoczęły. – Jego głos brzmiał swobodnie. Spojrzenie było przenikliwe i bystre. Marilyn poczuła podniecenie na widok zachwyty, z jakim spoczęły

na niej oczy Sebastiana. – Wygląda na to, że dziś znalazłem się w sytuacji, w jakiej panie były ubiegłego wieczoru. Nie ma wolnych stolików.

Rosalie Quince skłoniła głowę przesadnym gestem. Na jej wąskich wargach zaigrał uśmiezek.

– Proszę, Sebastianie. Nalegam, by zechciał pan usiąść przy naszym stoliku.

– Ostrzegam panią, pani Quince, że gdyby mnie pani nie zaprosiła, wprosiłbym się sam – zażartował, mrugając porozumiewawczo.

Marilyn pamiętała słowa pani Quince z wczorajszego wieczoru i wybuchnęła śmiechem.

– Wygląda na to, że pan Rivera ma doskonałą pamięć.

Pani Quince poczuła się nieco zakłopotana, więc odparła pochmurnym tonem:

– Rzeczywiście, na to wygląda.

Sebastian poprosił kelnera, by dostawił krzesło.

Jego naturalność i pewność siebie nie uszły uwagi Marilyn. Sebastian usiadł i zwrócił się do swoich towarzyszek.

– Proszę mi powiedzieć, panno Bannon, czy pani Quince przygotowała panią do trudów życia na plantacji?

Zanim dziewczyna zdążyła cokolwiek powiedzieć, wtrąciła się pani Quince:

– Wypadałoby opowiedzieć o życiu w Manaus, nie na plantacji, i ty dobrze o tym wiesz, Sebastianie. – Następnie zwróciła się z wyjaśnieniem do Marilyn: – Jestem pewna, moja droga, że słyszałaś o dekadencji Paryża. Możesz mi wierzyć, że Manaus wkrótce będzie mogło rywalizować z tym europejskim miastem w każdej dziedzinie. Ja wolę spokojne i ciche życie na plantacji. Wcale nie tęsknię za wystrojonymi kobietami i za mężczyznami, którzy sączą najkosztowniejsze trunki. Znosiłabym to lepiej, gdyby nie fakt, że wynika to jedynie z chęci pokazania swego bogactwa. Ci ludzie zachowują się tak ostentacyjnie. – Tu pani Quince znowu zwróciła się do Sebastiana. – Im mniej się o tym rozprawia, tym lepiej. Gdyby nie konieczność utrzymywania domu w Manaus ze względu na interesy Alenzo, moja stopa nie powstałaby w tym okropnym mieście.

Sebastian, który już wcześniej słyszał podobne słowa z ust pani Quince, uśmiechnął się i rzekł ze zrozumieniem:

– Ja także wolę życie na plantacji. I ma pani rację, im mniej się będzie mówiło o Manaus, tym lepiej. Nie będę jednak zniechęcał panny Bannon, zanim nie pozna miasta osobiście.

– Zapewniam pana, panie Rivera, że trzeba znacznie więcej niż okropności Manaus, by zniechęcić mnie do Brazylii. – Marilyn odwróciła głowę, by podziwiać mijane krajobrazy. – Po tym, co już widziałam w pańskim kraju, ciśnie mi się na usta tylko jedno słowo – bujność.

Podszedł kelner i Sebastian złożył zamówienie. Marilyn stwierdziła, że pod badawczym wzrokiem Sebastiana trudno jej się skupić na potrawach. Młody człowiek wpatrywał się w nią z nieukrywanym zachwytem. Sąsiedni stolik zajmowało trzech mężczyzn, którzy również zerkali w jej stronę. Ich adoracja wywołała grymas na twarzy Sebastiana, który rzucił im gniewne spojrzenie.

Po śniadaniu Sebastian przeprosił panie, tłumacząc się koniecznością rozmowy z pewnym panem, ale najpierw umówił się, że razem zjedzą kolację.

Marilyn patrzyła, jak się oddala pełnym wdzięku krokiem.

– Pozwolimy sobie na jeszcze jedną filiżankę tej przepysznej kawy, Marilyn? – Słowa pani Quince wyrwały ją z zamyślenia.

– Z przyjemnością, pani Quince. I może zamówimy po jeszcze jednym pszennym ciastku.

– Jeszcze jedno ciastko? Ależ prawie nie tknęłaś... – Pani Quince przerwała w pół słowa. Widząc rumieniec na twarzy Marilyn, uśmiechnęła się niczym kot na widok myszy w spiżarni. – Tak, oczywiście, moja droga, jeszcze po ciasteczku.

Większość stolików już opustoszała i kelnerzy sprząтали naczynia.

Marilyn rzuciła się na ciastko i kawę. Kończyła jedzenie, kiedy pani Quince powiedziała:

– Musisz wiedzieć, że to bękart.

To zwięzłe oświadczenie spowodowało, że Marilyn zakrztusiła się okruchami.

– K... kto?

– Sebastian, oczywiście. – Pani Quince spojrzała na nią, ciekawa reakcji dziewczyny.

– Po co mi to pani mówi? – Marilyn starała się udawać obojętność. Nie chciała dać satysfakcji pani Quince, gorsząc się tym, co od niej usłyszała.

Rosalie Quince zaglądała przez chwilę w złociste oczy Marilyn, by ocenić jej charakter. To, co robiła, było okrucieństwem, ale Sebastian był jej bardzo drogi. Uznała więc, że lepiej będzie, gdy wybada, co siedzi w Marilyn, zanim chłopak zupełnie straci dla niej głowę. Lubiła Marilyn, ale Sebastiana lubiła nie mniej. Jeżeli fakt, że jest

nieślubnym dzieckiem, zniechęci Marilyn, lepiej będzie, jeśli dowie się o tym zawczasu, a nie kiedy oboje zaangażują się uczuciowo.

– Mówię ci o tym tylko dlatego, że nie jestem ślepa. Nie życzę sobie, byś się o tym dowiedziała od kogoś innego. Szczerze mówiąc, chcę, żebyś mnie wysłuchała, zanim wyrobisz sobie jakąkolwiek opinię. Społeczność zamieszkująca dżunglę jest zupełnie inna, niż ta do której przywykłaś. Tutaj liczy się to, co człowiek sam sobą reprezentuje. Jego pochodzenie nie ma wielkiego znaczenia. Tubylcy i niewolnicy murzyńscy tak znacznie przewyższają liczbą nas, ludzi białych, że z czystego rozsądku nie odrzucamy członka społeczności z powodu czegoś równie błahego, jak wątpliwe pochodzenie.

Marilyn zarumieniła się z zakłopotania. Nigdy dotąd nie rozmawiała na temat czyjegoś nieślubnego pochodzenia. Nie potrafiła zadać nurtującego ją pytania. Pani Quince sama na nie odpowiedziała.

– Tak, moja droga, matka Sebastiana była Indianką, niezwykle piękną kobietą o miłym usposobieniu. Była bardzo oddana synowi, aż do śmierci. Ojciec zaś pozostał nieznany. Myślę, że nawet Sebastian nie wie, kto nim był. Niektórzy powiadają, że był nim Farleigh Mallard, ponieważ pozostawił Sebastianowi podupadłą plantację, dającą niewielkie wpływy. Akurat tyle, by mógł pojechać do Anglii. Kiedy skończył edukację i wrócił zza oceanu, wziął sprawy w swoje ręce. Pracował dniami i nocami, aby uczynić z plantacji dobrze prosperującą posiadłość, jaką jest obecnie.

– Ale dlaczego pani mi to wszystko opowiada? Nie lubi pani pana Rivery? Tak bardzo ucieszyła się pani na jego widok i tak serdecznie go traktowała.

– Na Boga, dziecko. Oczywiście, że go lubię. Prawdę mówiąc, jest mi bardzo drogi. Już kiedy był małym chłopcem, czuło się, że w przyszłości odniesie sukces. Mężczyźni z sąsiedztwa są o nim jak najlepszego zdania. Uważają go za niezwykle uczciwego i godnego zaufania. Z przyjemnością stwierdzam, że w końcu został zaakceptowany przez społeczność, do której należy.

– Co ma pani na myśli, mówiąc „w końcu”?

– Sebastian jest synem Indianki i bardzo wrażliwym człowiekiem, nic dziwnego, że sympatyzuje z Indianami. Kiedy jego plantacja zaczęła przynosić wielkie dochody, wyzwolił niewolników i nawet zaczął im wypłacać niewielkie wynagrodzenie. I rzeczywiście świetnie pracują. Szanują i kochają Sebastiana. Jest ich Zbawicielem, Bogiem na ziemi. W tych okolicach nie słyszy się o plantatorach, którzy uwolnili niewolników.

– Nie słyszy się? – powtórzyła Marilyn z niedowierzaniem. – Ależ mój ojciec bardzo się ucieszył, kiedy księżniczka Izabela wydała prawo *Ventre Libre*. Pamiętam, jak uczyłam się o tym w szkole. Rok temu, kiedy wprowadzono prawo stanowiące, że wszyscy niewolnicy mają stać się wolni po ukończeniu sześćdziesiątego roku życia, ojciec powiedział mi, że trzeba będzie wielu pokoleń, by wszyscy ludzie w Brazylii byli wolni!

– Masz rację, moja droga. Prawo *Ventre Libre* zostało wprowadzone w 1871 roku. Przewiduje ono, że wszystkie dzieci niewolników urodzone po 1871 roku będą wolne, a także wszyscy niewolnicy stanowiący własność państwa i korony. Jednak pozbawieni skrupułów właściciele plantacji troszczą się tylko o zyski. Nie dopuszczają myśli, że mogliby wypłacać choćby najmniejsze wynagrodzenie ludziom, którzy do tej pory za pracę otrzymywali jedynie odrobinę zepsutej żywności i nędzny dach nad głową. Nie dziw się, kiedy spotkasz w Brazylii opłakane warunki życia. Wielu z nas pisało petycje o uwolnienie niewolników. Cóż, rząd uważa, że gospodarka jest w tej chwili zbyt chwiejna. Jeżeli jednak będzie protestowało wystarczająco wielu, zostaniemy w końcu wysłuchani. Postępowanie Sebastiana wskazuje, że zniesienie niewolnictwa może być korzystne. Nie ma niewolników, a mimo to produkuje najwięcej kauczuku.

– W jaki sposób ci pozbawieni skrupułów plantatorzy zmuszają Indian do pracy? Przecież Indianie chcą, żeby ich dzieci były wolne.

– Z całą pewnością tego pragną. Ich miłość do dzieci jest ogromna. Plantatorzy mówią im jednak: „Jeżeli dziecko nie będzie pracowało wraz z rodzicami, nie ma dla niego miejsca. Niech się wynosi z plantacji!”

A rodzice nie chcą rozstawać się z dziećmi. Dzieci zostają więc i pracują dla właściciela. Ci, którzy ukończyli sześćdziesiąt lat, mogą się uważać za wolnych. Dokąd jednak pójdą? Są starzy i zmęczeni, kto im da pracę? Więc zostają na plantacjach i pracują, dopóki żyją.

– A pani i pani mąż? Czy uwolniliście waszych niewolników?

– Tak. Urodzonych po 1871 roku. Są zbyt młodzi, by pracować na polach, więc nie nadwerężyło to naszego budżetu. Niewolnicy powyżej sześćdziesiątki nie mają dokąd odejść, więc wyznaczamy im lekkie zajęcia przy uprawie ogrodu albo przy hodowli trzody. Są nam wdzięczni za to, że ich karmimy, że mogą zostać przy rodzinach. Zresztą i tak traktujemy naszych niewolników lepiej niż inni. Mają u nas o wiele lepsze warunki życia niż na innych plantacjach.

Sebastian cały czas stara się zachęcić plantatorów do poprawy warunków życia niewolników. Jest orędownikiem uciskanych. Jednak

kiedy prowadzi interesy z handlarzami kauczukiem, dorównuje im stanowczością. Jest bezwzględnie uczciwy, ale nie daje im się oszukać. Jest mądry i pełen współczucia. To naprawdę nadzwyczajny człowiek. – Pani Quince poprawiła fałdę na sukni i dodała w roztargnieniu: – Pragnęłam, by został moim zięciem. Ale tak się nie stało. Pewnie wyda ci się to dziwne, że matka pragnęła, aby mężem córki został mężczyzna o niewłaściwym pochodzeniu. Pamiętaj jednak, co ci powiedziałam: tutejsza społeczność różni się od tej, którą znałaś dotychczas.

Marilyn z uśmiechem spojrzała na wodę. Poczowała na ramieniu lekką dłoń pani Quince.

– Wybacz mi, Marilyn. Staralam się przedstawić ci tę sprawę w jak najłagodniejszych słowach. Na początku byłaś zaskoczona, ale niesłusznie. Podziwiam cię za to, że przybywasz tu z zupełnie innego świata i akceptujesz rzeczy, jakimi są. Teraz widzę to jasno. Wprowadzisz na plantację nowe życie. Wszyscy młodzi mężczyźni zlecają się jak muchy do miodu.

Marilyn roześmiała się głośno. Żeby tylko Sebastian był jedną z tych much, pomyślała i zarumieniła się zawstydzona.

Tego wieczoru Marilyn ubierała się wyjątkowo starannie. Niezadowolona, że jej włosy niespodziewanie poskręcały się w loki, wygładzała je i szczotkowała, dopóki nie osiągnęła zamierzonego efektu. Wysoki kok, nie nazbyt wysoki, ale wyższy niż zazwyczaj. Tego wieczoru mogła sobie na to pozwolić, bo Sebastian był znacznie wyższy od niej. Polerowała paznokcie, aż stały się lśniące, co podkreślało ich owalny kształt. Kąpiel, którą dla niej przygotowano była wonna i odprężająca.

Marilyn zdecydowała się na różową jedwabną suknię z plisowanym staniczkiem. „Sama prostota” zapewniła ją krawcowa z Nowej Anglii. Był to klasyczny model; z lekko podniesionej talii spływały swobodnie miękkie fałdy. Suknia, z głębokim dekoltem i bez rękawów, odsłaniała gładką skórę. Marilyn wyjęła z kufra strusie pióra, ostatni krzyk mody, ale natychmiast odłożyła je z powrotem. Czułaby się w nich niezręcznie. Zdała sobie sprawę, że krawcowa popełniła błąd, upierając się, że pióra doskonale uwydatnią prostotę różowej sukni. Skromny wisiorek z kryształu górskiego był jedyną ozdobą, jakiej potrzebowała. Z pewnością spodoba się Sebastianowi. Uznała, że nie należy on do mężczyzn gustujących w kobietach strojnych w „te wszystkie świecidełka”, jak mawiał ojciec. Przerzucając drobiazgi w poszukiwaniu świeżej chusteczki do nosa, znów pomyślała

o rewelacjach, które usłyszała od pani Quince. Bez wątpienia, rzucały one na Sebastiana pewien cień, o którym jednak łatwo było zapomnieć. Sebastian musiał żyć w wielkim napięciu, choć wyglądało na to, że doskonale z tym sobie radzi. Niepewne pochodzenie nie ułatwia życiowej kariery, Marilyn była więc zadowolona, że Sebastian przezwyciężył tę przeszkodę.

Stanęła przed lustrem i przyjrzała się sobie. Suknia była doskonała, ale miała wątpiwości co do fryzury. Czy nie jest zbyt wysoka? Zbyt afektowana? „Ależ nie – skarciła się – wyglądasz dobrze. Nie ma sensu udawać kogoś innego, niż się jest w istocie! Fryzura jest odpowiednia”. Nie dając sobie czasu na zmianę zdania, pobiegła do drzwi i zastukała do sąsiedniej kabiny.

– Pani Quince, jest pani gotowa?

Sebastian czekał na nie przed jadalnią. We fraku z białej gabardy i śnieżnobiałej koszuli z falbankami na gorsie był bardzo przystojny. Ciemna opalenizna i czarne włosy pięknie kontrastowały z białą stroju. Zwrócił się w stronę nadchodzących pań. Jego wzrok spoczął na Marilyn, zdawał się spijać jej urodę. Cierpliwość w dobieraniu toalety została wynagrodzona. Powitał panie, nie odrywając wzroku od Marilyn. Z wysiłkiem przeniósł spojrzenie na panią Quince.

Bawiąc je rozmową, poprowadził do stolika. Był to ten sam stolik, co poprzedniego wieczoru. Sebastian wyjaśnił, że zarezerwował go na całą podróż.

– Szkoda, że nie postąpiłyśmy równie rozsądnie – stwierdziła pani Quince, spoglądając na stłoczonych przy wejściu podróżnych. – Gdyby nie ty, Sebastianie, stałybyśmy w jadalni, czekając na wolne miejsca.

– Jak już powiedziałem, cała przyjemność po mojej stronie. – To mówiąc Sebastian skierował wzrok na Marilyn, której pod jego spojrzeniem zrobiło się gorąco. Dlaczego ten człowiek sprawia, że krew krąży żywiej? Dlaczego w jego obecności brakuje tchu w piersiach? Dlaczego zachowuje się jak uczennica, a nie jak młoda wykształcona dama, która może zabłysnąć zdobytą wiedzą? Dlaczego zupełnie traci pewność siebie, właśnie wtedy, kiedy chce się jak najlepiej zaprezentować? Ale zaraz cała niepewność mija i Marilyn czuje, że rozkwita pod jego uważnym spojrzeniem. Jej serce bije szybciej, a każdy łyk powietrza raduje ją i rozwesela. Czuje się w pełni kobieca. Tak właśnie, kobieca. Tylko czy jest w typie Sebastiana?

Sebastian prawie nie tknął kolacji, sycąc się obecnością Marilyn. Obserwował ją. Szczupła i gibka; zrównoważona i spokojna. Nie paple jak niektóre panny. Pełna wdzięku, o niemal królewskich manierach,

sprawiła, że czuł się przy niej jak prostak. On, Sebastian Rivera, o którym powiadano, że jest najbardziej pożądanym kawalerem w Manaus. Były jednak chwile, kiedy Marilyn spoglądała na niego uważnie, czekając, by odpowiedział na jej pytanie. Przyglądała mu się w milczeniu, a wtedy czuł, że jest właśnie taki, jakim ona pragnie go widzieć. Mężczyzną, którego opinię ceni, którego słowa się liczą. Miał wrażenie, że Marilyn naprawdę go słucha. Nie tak jak większość znanych mu kobiet, które niecierpliwie czekały, by skończył zdanie, tylko po to, by mogły zacząć mówić o sobie. Albo też, kiedy on mówił, rozmyślały o swoich kapeluszach i fryzurach, jednocześnie bawiąc się rękawiczkami, albo, co gorsze, chichocząc na zakończenie każdego zdania. Marilyn była rzeczywiście nim zainteresowana i umiała słuchać. Czując jej zaciekawienie, Sebastian ważył słowa, starannie formułował myśli, zastanawiał się nad żarcikami. Podobało mu się to, co mówił; był z siebie zadowolony. Czuł się dobrze, miał wrażenie, że w jej towarzystwie staje się bardziej męski.

Po kolacji zaprowadził Marilyn na najwyższy pokład. Noc była parna. Do miejsca, w którym stali, dochodził stłumiony warkot obracającego się koła łopatkowego. Luksusowy parowiec sunął przez ciemne wody Amazonki.

Na niebie lśniły gwiazdy, z lekka oświetlając twarze Marilyn i Sebastiana. Księżyc w pierwszej kwadrze wyglądał jak cząstka pomarańczy, niepewnie zawieszona na niebie.

Marilyn wdychała gęstą woń tropikalnego powietrza. Czuła się zagubiona w magii brazylijskiego nieba, rozgrzana bliskością Sebastiana.

Przyglądał się jej jakby z oddali. Chciał, żeby była blisko. Przeklinał siebie za to, że nie znajdował odpowiednich słów. Znad wody powiał wietrzyk. Fałdy sukni Marilyn przylgnęły do ciała, zdradzając zmysłowe kształty. Wietrzyk pieścił ją i niósł ku Sebastianowi zapach jej perfum, który kojarzył mu się z tym, co kochał; ziemią, niebem i rzeką.

Marilyn zwróciła ku niemu twarz. Czuła zakłopotanie, bo milczenie się przedłużało, i wstyd, ponieważ jej emocje były aż nazbyt widoczne.

Spojrzenie Sebastiana przyprawiało ją o zawrót głowy. Zdawała sobie sprawę z jego uczuć i upajała się nimi. Kłopotliwe milczenie zmieniło się w milczące porozumienie. Słowa stały się zbędne. Odwróciła się, by spojrzeć na rzekę. Sebastian podszedł bliżej. Marilyn poczuła jego ciepły oddech na szyi i przytuliła się do jego piersi.

Nagle poczuła na wargach jego usta; spragnione, kochające. Pragnął jej jak żadnej kobiety dotychczas. A ona odpowiadała mu z żarem, jaki mógł stanowić spełnienie jego marzeń. Sebastian pieścił jej pełne białe piersi, czując jak brodawki tężeją pod jego dotykiem. Lgnęła do niego namiętnie; całym ciałem. Całował jej włosy, szyję, oczy. Serce jej waliło. Wiedziała, że to, co czuje, nie przystać damie, ale modliła się, żeby ta chwila trwała wiecznie. Sebastian pragnął pojąć ją natychmiast, tu, na pokładzie. Wiedział, że tego nie zrobi. Ze stłumionym jękiem pozwolił, by jego namiętność osłabła. Delikatnie przytulił Marilyn, czekając, by jej oddech się uspokoił. Trwała w jego ramionach milcząca, bardziej spragniona miłości niż namiętnych pocałunków.

Minęła cała wieczność; Marilyn zadrżała.

– Zmarzałaś. Już późno. Chodź, odprowadzę cię.

Skinęła głową i pozwoliła się poprowadzić do drzwi kabiny.

– Chciałbym, żeby ta noc trwała bez końca – powiedział Sebastian cicho. – Poczynam się myśleć, że nie będziemy daleko od siebie. Na plantację pani Quince jedzie się zaledwie kilka godzin.

– Ale ja nie zostanę na plantacji pani Quince – wyjaśniła radośnie Marilyn. – Tylko razem podróżujemy. Zatrzymam się znacznie bliżej. Jadę na plantację Drzewo Życia. Odziedziczyłam jej połowę po ojcu.

Ramię Sebastiana, które obejmowało ją w talii, nagle zeszytywniało. Marilyn spojrzała na jego twarz. Całe ciepło i otwartość zniknęły. Spoglądał na nią lodowatym wzrokiem. Zaciśnął szczęki, podbródek sprawiał wrażenie wykutego z marmuru. Sebastian zmrużył oczy, a wyraz wrogości, który się w nich pojawił, zmroził Marilyn.

Zaczęła coś mówić, nie rozumiała, co się stało. Sebastian tylko się, ukłonił i odszedł, życząc jej dobrej nocy. Pozostawił ją zdumioną, zawiedzioną i upokorzoną.

Po niespokojnej nocy Marilyn czuła się źle. Wciąż zadawała sobie pytanie, co takiego zrobiła, co powiedziała, że Sebastian nagle się od niej odwrócił. Jedząc śniadanie w towarzystwie pani Quince, rozglądała się, szukając go wzrokiem. Przyjaciółka zauważyła, że Marilyn nie ma apetytu. Wypytała o wszystko przygnębioną dziewczynę.

Marilyn opowiedziała, co zaszło poprzedniego wieczoru. Pani Quince położyła jej dłoń na ramieniu.

– Obawiam się, że to moja wina, dziecko. Tak bardzo pragnęłam widzieć cię szczęśliwą, że celowo wprowadziłam Sebastiana w błąd.

Myślę, że cały gniew Sebastiana, wywołany moim podstępem, spadł na ciebie.

Marilyn porządkowała myśli, przyglądając się pani Quince. Z niecierpliwością czekała na dalsze słowa. Poczwała niewielką ulgę, może przyjaciółka wytłumaczy jej, dlaczego Sebastian tak się zachował, może będzie mogła naprawić sytuację.

– Marilyn – zaczęła pani Quince z wahaniem. – Między Sebastianem a Carlyle’em Newsome’em panuje wzajemna niechęć. Mają różne poglądy na temat traktowania pracowników. Wiem, że to brzmi nieprzekonująco, ale jest coś jeszcze. Coś, czego nie umiem wyjaśnić. – Pani Quince zastanawiała się nad dalszymi słowami, obserwując reakcję Marilyn. – Mogę ci także powiedzieć, bo i tak sama to zauważysz, że Sebastian i Baron są do siebie bardzo podobni.

Marilyn tylko westchnęła; w głowie jej wirowało. Po chwili opamiętała się i spytała:

– Ale co to ma wspólnego ze mną? Przecież Sebastian nie może mnie winić za swoje nieporozumienia z Baronem! A na sposób traktowania niewolników nie mam najmniejszego wpływu!

– Wiem, moja droga. To niesprawiedliwe z jego strony. Ale musisz zrozumieć, że od niepamiętnych czasów Sebastian jest w złych stosunkach z właścicielem Drzewa Życia. – Trudno zrozumieć mężczyzn. Może nawet trudniej niż kobiety.

Marilyn nie widziała Sebastiana przez cały dzień. Gorąco pragnęła wszystko mu wyjaśnić.

Tuż przed kolacją przyniesiono wiadomość dla pani Quince. Był to liścik od Sebastiana, w którym informował ją, że opuścił parowiec po południu, kiedy ten zatrzymał się, by uzupełnić zapasy wody do picia. Aby im uprzyjemnić dalszą podróż, odstąpił paniom swój stół w jadalni, z którego nie będzie już oczywiście korzystał.

Początkowo Marilyn dręczyła niepewność i wyrzuty sumienia, teraz jednak poczuła gniew.

– Jesteś bigotem, Sebastianie Rivera, dobrze o tym wiem. Niech tak będzie, skoro tak być musi! – mruknęła pod nosem.

Spojrzała na rzekę. Jaskrawe słońce, które dotychczas napełniało ją radością, teraz wydawało się zamglone i nie ogrzewało ściśniętego serca. Marilyn nie dopuszczała do siebie myśli, że nie tylko w jej oczach słońce zbladło, a szmaragdowe wody Amazonki stały się ciemne i mętne.

3

Marilyn pomyślała, że nie wytrzyma już dalszej podróży na plantację Drzewo Życia. Wóz podskakiwał i trząsał się na wyboistych drogach. Była poobijana i posiniaczona.

Siedziała w tyle wozu, wśród paczek i bagaży. Zbyt wyczerpana, by zasnąć, wpatrywała się w ciemność, starając się pogodzić z sytuacją. W końcu zrezygnowała z prób przeniknięcia mroku nocy, oparła się o jeden z kufrów i skupiła wzrok na żółtawym świetle, które latarnia przy wozie rzucała na pokrytą pyłem gliniastą drogę.

Liczyła w myśli stojące wokół niej kufry, torby i walizy. Oczy spoczęły na największym kufrze. Oczami wyobraźni widziała jego zawartość. Zobaczyła siebie, pakującą różową suknię, którą włożyła na ostatnie spotkanie z Sebastianem. Poczowała niesmak. Dlaczego wciąż muszę o nim myśleć? Dlaczego mi na nim zależy?

Pani Quince zdawała sobie sprawę z niewygód, które znosiła Marilyn. Przeklinała fakt, że w wygodnym powozie, który miał im wyjechać na spotkanie, złamało się koło i musiały podróżować wozem bagażowym, przysłanym do portu przez jej męża.

W ciągu ostatniej godziny Marilyn nie odezwała się ani słowem i pani Quince była pewna, że dziewczyna usnęła. Podniosła lampę i zobaczyła, że Marilyn siedzi pośród bagaży i szeroko otwartymi oczami wpatruje się w ciemność, a jej pełne usta wykrzywia grymas.

„Bądź przeklęty, Sebastianie – myślała pani Quince – za to, że okazałeś się takim głupcem. Bądź przeklęta, Rosalie Quince, za to, że wtykasz nos w nie swoje sprawy. Trzeba być ślepcem, by nie dostrzec, że

tych dwoje miało się ku sobie. Co ci przyszło do głowy, by sądzić, że możesz odegrać rolę swatki? Ty stara, głupia kobieto!

– Jesteśmy prawie na miejscu, dziecko – oświadczyła, gdy wóz nagle skręcił w prawo. – Jeszcze tylko kilka metrów. – Poklepała Marilyn po ramieniu. – Jesteśmy na miejscu, kochanie. Chodź, woźnica pomoże ci wysiąść. Służący zabierze twoje bagaże.

Marilyn skinęła głową, kiedy starsza pani objęła ją i ucałowała na pożegnanie. Pani Quince jechała dalej, na swoją plantację oddaloną o kilka godzin drogi.

– Za kilka dni prześlę ci wiadomość. Najważniejsze, żebyś się dobrze wyspała – powiedziała pani Quince, serdecznie ściskając dziewczynę.

– Nie zostanie pani na noc? – spytała Marilyn. Zdziwiła ją nuta zmęczenia brzmiąca we własnym głosie.

– Nie, moja droga. Jestem już tak blisko domu, że wolę się nie zatrzymywać. Stęskniłam się za moim mężem, Alenzo, i muszę ci wyznać, że nie mogę się doczekać, kiedy się wyśpię we własnym łóżku.

Silne ramiona wyciągnęły Marilyn z wozu. Stała, ale zachwiała się na zdrętwiałych nogach. Zaczęła przytupywać, aby pobudzić krążenie krwi. Jednocześnie rozglądała się w ciemności.

Księżyc oświetlał polanę, na której stał dom. Jednopiętrowa, niekształtna budowla była zupełnie inna niż schludne domy z brązowego piaskowca, jakie Marilyn widywała w Nowej Anglii.

Dom był otoczony werandą; białe kolumny podpięrały dach. Wydawało się, że fosforyzują w poświacie księżyca. Dookoła rosły ciemne krzewy. Wydzielały przyjemną, świeżą woń. Ponad domem pochylały się drzewa, poruszane ciepłym, tropikalnym wiatrem.

Czyjeś troskliwe ramię poprowadziło ją po kamiennych stopniach werandy do pogrążonego w ciemności i ciszy domu. Ciemna sylwetka pociągnęła za sznur i wewnątrz rozległ się dzwonek. Po chwili drzwi otworzyła wysoka szczupła kobieta z lampą oliwną w dłoni. Marilyn poczuła, że ciemna sylwetka służącego oddala się. Wysoka postać z lampą wprowadziła ją do domu.

Marilyn starała się szeroko otworzyć oczy, ale wysiłek był zbyt wielki. Przestała się troszczyć o to, jakie zrobi wrażenie. Była wyczerpana. Marzyła o wygodnym łóżku; jutro rano obejrzy swój nowy dom. Teraz starała się zachować dość przytomności, by iść za wysoką sylwetką.

– Jestem Elena, gospodyni – powiedziała kobieta. Uniosła lampę i skinęła ręką na dziewczynę. Marilyn nie potrzebowała zachęty. Szła za wyprostowaną po królewsku postacią gospodyni. Kobieta

otworzyła jakieś drzwi i wyciągnęła rękę w stronę Marilyn, która zrozumiała, że ma poczekać, aż pokój zostanie oświetlony. Nagle zabłysło mocne światło. Marilyn przymknęła powieki. Nie wiedziała, jakiego umeblowania ma się spodziewać, ale na pewno nie jasnych mebli w stylu Jerzego IV.

Był to ponad wszelką wątpliwość damski pokój, urządzone w odcieniach bladego beżu i ciepłego różu. Kremowe koronki przy baldachimie łoża powiewały w ciepłych podmuchach, wpadających przez balkonowe okno, przesłonięte moskitierą.

Czując na sobie wzrok gospodyni, Marilyn zwróciła twarz ku Elenie.

– Nazywam się Marilyn Bannon – powiedziała zmęczonym tonem.

– Jestem gotowa na pani przyjazd od wielu tygodni, panno Bannon. Dobrze wiem, kim pani jest!

Marilyn zdumiała się, słysząc śpiewny akcent gospodyni. Chłód powitania także nie uszedł jej uwadze. Spojrzała w ciemne oczy i poczuła instynktownie, że gospodyni jej nie lubi. Była jednak zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. Podziękowała Elenie za przygotowanie pokoju i usiadła na brzegu łoża z baldachimem.

Elena spojrzała obojętnym wzrokiem na piękną dziewczynę. Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Marilyn schyliła się, by rozsznurować i zdjąć buciki. Ten drobny wysiłek zmęczył ją tak bardzo, że padła na wznak na łóżko.

Następnego ranka obudziło ją łagodne światło sącące się przez okna. Spojrzała w ich stronę i stwierdziła, że we wczesnych godzinach rannych ktoś musiał wejść do pokoju i pozamykać oszklone drzwi, aby nie wpuszczały gorącego powietrza. Lekkie zasłony wokół łoża opuszczono, dzięki czemu pokój stał się bardziej przytulny.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Weszła Elena z tacą. Smakowity zapach zaostriżył apetyt dziewczyny. Kawa! Marilyn westchnęła na myśl o jej cudownym smaku. Odkryła półmiski i z zainteresowaniem obejrzała zawartość. Cienkie różowe plastry szynki, jajko, mała miseczka z marmoladą i świeże bułeczki z górą żółtego masła.

Elena spojrzała na potarganą dziewczynę w łóżku. Na jej ustach pojawił się lekki grymas dezaprobaty. Odezwała się jednak uprzejmym tonem:

– Wkrótce przyjdą pokojówki i przygotowują gorącą kąpiel. Rozpakuj też bagaże.

To powiedziawszy, wyszła równie cicho i szybko jak minionej nocy.

Marilyn dziwiła się jej chłodnemu tonowi. Jedząc śniadanie, przypomniawszy sobie, co pani Quince mówiła na temat tajemniczej Eleny.

Siedziały wtedy na pokładzie, w łagodnych podmuchach bryzy. Marilyn domyślała się, że pani Quince stara się oderwać jej myśli od Sebastiana. Nie chcąc jej sprawiać przykrości, dała się wciągnąć w rozmowę na temat służby w Drzewie Życia i, oczywiście, Eleny.

– To tylko plotki, ale nikt nie wie, skąd ona pochodzi. Krążą na jej temat różne pogłoski. Czy któraś z nich jest prawdziwa? – Pani Quince wzruszyła ramionami. – Mówi się na przykład, że Elena przyszła na świat w Stanach Zjednoczonych. Jej matka była mulatką, niewolnicą w jakieś posiadłości, a ojciec białym mężczyzną. To by wyjaśniało jej karnację. Elena nie jest czarna. Ma piękną śniadą cerę, wielkie zielone oczy i długie jedwabiste włosy, które czesze w dwa warkocze zwinięte powyżej uszu. Jest naprawdę piękną kobietą i ma dobre maniery. Nosi się jak księżna. Była służącą, zanim zmarła żona Barona, a po jej śmierci dostała posadę gospodyni u rodziny Newsome’ów. W swoim czasie mówiono, że była kochanką Barona.

Marilyn opadła na poduszki i, gryząc soczystą szynkę, myślała o tamtej rozmowie. Pani Quince z pewnością miała rację, nazywając Elenę piękną kobietą. Wspominając słowa przyjaciółki, dziwiła się, że Elena jest taka młoda. Nie ma chyba czterdziestki. Kiedy przybyła na plantację, musiała być prawie dzieckiem.

Rozmyślenia Marilyn przerwało wejście czterech indiańskich dziewczynek z wiadrami gorącej wody. Jedna z nich odsunęła parawan w rogu pokoju i wyciągnęła zza niego ogromną blaszaną wannę. Pozostałe ostrożnie nalały do niej wodę i wyszły z pokoju. Po chwili wrócili, niosąc więcej wody.

– Bardzo dobre dziewczynki – powiedziała Marilyn z aprobatą, szukając w bagażach pojemnika z solami do kąpieli. Znalazła go i wsyłała do wanny sporą garść. Zaczęła rozpinać stanik sukni. Spoczęły na niej cztery pary uważnych oczu. Marilyn spojrzała na dziewczynki i nie wiedziała, jak ma się zachować. Najwyraźniej nie miały zamiaru jej pomagać.

– Dziękuję, dziewczynki, możecie wyjść. Zadzwoń, gdybym was potrzebowała.

Ani drgnęły. Najwyraźniej nie rozumiały angielskiego. Co robić? Nikt jej nie będzie oglądał w kąpieli, nawet małe służące.

Wzięła za rękę najbliższej stojącą Indiankę i poprowadziła ją w stronę drzwi. Trzy pozostałe tkwiły nieruchomo, jak wrośnięte w podłogę. W wielkich czarnych oczach dziewczynki stojącej przy drzwiach, pojawiły się łzy.

– Co ci zrobiłam? – jęknęła Marilyn.

Wielkie oczy spojrzały na nią z powagą. Tłuściutka dziewczynka wskazała Indiankę stojącą przy drzwiach.

– Nie lubisz?

Marilyn była wstrząśnięta.

– Oczywiście, że ją lubię. Po prostu chcę się wykapać sama!

– My pomożemy – zachichotała tłuściutka dziewczynka.

– Nie potrzebuję pomocy.

– My pomożemy – upierała się dziewczynka. Małe Indianki podeszły do zakłopotanej Marilyn. Dziewczynka przy drzwiach milczała, łzy strumieniami spływały po jej twarzyczce.

– W porządku, chodź tutaj – uśmiechnęła się Marilyn. – Ty też będziesz pomagać. Dziewczynka błysnęła w uśmiechu białymi zębami.

Zanim się spostrzegła, rozebrały ją i znalazła się w wannie. Została namydlona i wyszorowana tak mocno, że jej się zaróżowiła skóra. Tłuściutka dziewczynka dotknęła złotych loków Marilyn.

– Ładne – stwierdziła, a pozostałe z zachwytem skinęły głowami i szorowały ją ze zdwojoną energią.

Marilyn zastanawiała się, jak długo to potrwa. Miała już dość szorowania.

– Święci pańscy! – wykrzyknęła ulubione powiedzonko pani Quince.

Jej okrzyk rozśmieszył dziewczynki; najwyraźniej znały starszą panią.

Jedna z nich uniosła rękę i powiedziała:

– Ty czekać, my przynieść więcej woda.

Marilyn tylko westchnęła; w tym stanie była na ich łasce. Patrzyła z uśmiechem, jak wybiegają z pokoju. Miała nadzieję, że świeża woda zostanie użyta do spłukiwania mydła, a nie do dalszego mycia. Spojrzała na swoją zaczerwienioną skórę i aż się przestraszyła.

– Muszę się postarać o mięką szczotkę.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wbiegły rozchichotane dziewczynki z wiadrami. Ciemnymi roziskrzonymi radością oczami patrzyły na namydloną Marilyn. Najwyraźniej tę część kąpieli lubią najbardziej, pomyślała.

Jedna z dziewczynek pokazała Marilyn, że ma uklęknąć, żeby mogły polać ją wodą.

– Kiedy weszłaś między wrony... – mruknęła Marilyn. Zrobiła, co jej kazano, i poczuła pierwszy strumień wody. Jedna z dziewczynek zachichotała i powiedziała:

– Święci pańscy!

Marilyn zakrztusiła się śmiechem i wodą. Wkrótce wytarli ją do sucha, a długie włosy zawinęły w ręcznik. Skóra piekła, ale była jak nowa. Nagle w rękach tłusciutkiej dziewczynki znalazł się słoń, a pozostałe Indianki nabrały z niego gęstego, pachnącego mazidla.

– O, nie! – krzyknęła Marilyn.

Ale na nic się to zdało. Dziewczynki miały swoje sposoby. Pozwoliła natrzeć sobie ramiona i nogi. Kiedy chciały z niej zedrzyć ręcznik, uchwyciła się go jak ostatniej deski ratunku.

Tłusciutka dziewczynka spojrzała na nią roześmianymi oczami.

– Święci pańscy! – zaśpiewała.

Najwyraźniej był to jej okrzyk bojowy. Marilyn dała za wygraną. Czują, jak jej skóra nabiera życia.

Dziewczynki ubrały ją w lekką żółtą suknię z muślinu, która w cudowny sposób uniknęła pogniecenia w czasie podróży. Delikatnie wyprowadziły Marilyn na werandę i posadziły na trzciniowym fotelu. Zdjęły z jej włosów turban i naradzały się, przekrzywiając głowy. W końcu doszły do porozumienia i tłusciutka dziewczynka zaczęła szcزتkować wilgotne włosy Marilyn.

Rozczesała je i razem z pozostałymi usiadła u stóp Marilyn. Spoglądały na nią wyczekująco. Marilyn nie miała pojęcia, na co czekają. Tłusciutka dziewczynka zdawała się czytać w jej myślach. Spojrzała w kierunku słońca, a potem wskazała na włosy Marilyn.

– Ach, rozumiem – roześmiała się Marilyn. – Chcecie, żeby moje włosy wyschły na słońcu, a wtedy je uczesacie. Zastanawiała się, jak będzie wyglądać, kiedy dokończą dzieła. – Prawdopodobnie lepiej – pomyślała, wspominając ich sprawne paluszki.

– Jak się nazywacie? – Widząc ich zmieszane miny, wskazała na siebie i powiedziała: – Panna Bannon. – A potem wskazała na dziewczynki.

– Nessie – powiedziała najmniejsza.

– Rosy – przedstawiła się druga, o wielkich czarnych oczach.

– Blodgett – nie! – nie! Bridget – nie mogła się zdecydować najwyższa.

– Moriah – tłusciutka dziewczynka przedstawiła się ostatnia.

– Dziwne imiona dla indiańskich dzieci. Kto nadał wam takie imiona? – spytała Marilyn z uśmiechem. Moriah tylko zachichotała i Marilyn dała za wygraną. Jak miała się porozumiewać z tymi dziećmi?

Kiedy włosy wyschły, Moriah zaczęła je rozczesywać. Stała za fotelem, a pozostałe dziewczynki siedziały ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw Marilyn.

Małe jędze – pomyślała. Stanowią komitet zatwierdzający i poważnie traktują swoje zadanie.

Co jakiś czas kręciły i kiwały głowami, przeważnie z aprobatą. Najmniejsza, Nessie, pobiegła po lustro.

– Widzisz? – spytała Moriah z dumą.

Marilyn spojrzała na swoje odbicie. Była zdumiona sprawnością dziecka. Złociste loki zostały spięte na czubku głowy, a pojedyncze pasmo opadało na ramię. Maleńkie loczki wymykały się spinkom i wiły nad uszami.

Dziewczynki czekały na jej reakcję. Uśmiechnęła się i powtórzyła ich imiona.

– Święci pańscy – roześmiała się i objęła dziewczynki.

Do pokoju wśliznęła się Elena i chłodnymi zielonymi oczami przyglądała się scenie na werandzie.

Kłaśnieciem odprawiła speszzone służące. Szybko wybiegły z pokoju, ale wesoła Moriah zdążyła mrugnąć porozumiewawczo. Marilyn nie wierzyła własnym oczom i z trudem opanowała wybuch śmiechu, spowodowany brakiem subordynacji małej Indianki.

– W jakim są wieku? – spytała gospodynię.

– Mają po dziesięć lat, panno Bannon. Zadowoliły panią?

– Z całą pewnością. Jak na tak młode dziewczęta, są zadziwiająco sprawne.

– Uczyłam je osobiście – wyniośle odparła gospodyni. – Panicz Jamie oczekuje pani na wschodniej werandzie. Baron i Carl są na plantacji. Prosił mnie, bym przekazała słowa gorącego powitania. – Jej chłodny, dostojny głos stał się jeszcze chłodniejszy. – Kolacjęjemy o w pół do dziewiątej. Obowiązuje strój oficjalny, panno Bannon. – Gospodyni opuściła pokój z wdziękiem, który wzbudził zazdrość Marilyn. Porównując się z dostojną Elena, poczuła się jak niezręczna pensjonarka.

4

Marilyn podążała za gospodynią wzdłuż korytarza. Wyszły na werandę.

– Marilyn! Nazywam się Jamie – powiedział z głębokim ukłonem czekający na nią młody człowiek.

– Cieszę się, że cię widzę, Jamie – odparła Marilyn z uśmiechem. – Przebyłam długą drogę, by cię poznać.

Jamie był przystojny, wysoki i dobrze zbudowany. Miał niebieskie roześmiane oczy. Niecierpliwym gestem odgarnął z czoła lok jasnych włosów.

– Jesteśmy bardzo zadowoleni, że możemy cię gościć. Mogę ci mówić po imieniu?

– Ależ oczywiście. Ja także będę ci mówić po imieniu, Jamie. Usiądźmy. Opowiedz mi o plantacji – powiedziała Marilyn, siadając na trzcinowym fotelu. – Dlaczego nie pojechałeś tam z innymi?

Przez chwilę Jamie sprawiał wrażenie rozgniewanego. W wielkim skupieniu rozcierał kciuk lewej dłoni palcem wskazującym i środkowym.

– Ojciec życzył sobie, aby ktoś z rodziny został w domu, przywitał cię i oprowadził. A poza tym dzisiaj mają rozmawiać z kupcami kauczuku i ojciec nie chciał, żebym... – Jamie nagle poczerwieniał i zmienił temat. Marilyn udawała, że tego nie dostrzega. Jamie zaczął opowiadać o plantacji i o zmianach, jakie na niej zaszły od czasu, gdy był dzieckiem. – Z każdym rokiem uzyskujemy więcej kauczuku i lepsze rynki zbytu – powiedział, jakby recytował wyuczoną na pamięć lekcję.

Marilyn opowiedziała mu o indiańskich dziewczynkach i spytała, jak to się stało, że noszą chrześcijańskie imiona.

– To zasługa ojca Johna. Jest misjonarzem i nawraca Indian. Cztery dziewczynki, które obecnie uczy Elena, to córki Indian, którzy przeszli na katolicyzm – powiedział z błyskiem w oku. – Małe są cudowne. Zdolne, bystre i starają się przypodobać. Zwłaszcza Moriah. Czyż nie jest słodka?

Marilyn przypomniała sobie przekorne zmrużenie oka i przyznała Jamiemu rację.

– Ilu Indian pracuje na plantacji? – spytała.

– Około stu pięćdziesięciu i mniej więcej tylu Murzynów.

– Czy na wszystkich plantacjach pracuje tak wielu robotników? – spytała Marilyn, celowo unikając słowa „niewolnicy”.

– Na niektórych jest ich jeszcze więcej. Chociaż Sebastian Rivera ma ich zaledwie stu. W jakiś tajemniczy sposób osiąga jednak lepsze plony niż my z trzystoma robotnikami – powiedział Jamie, marszcząc brwi. – Oczywiście musiałś już słyszeć, że nadał swoim niewolnikom wolność. Jestem pewien, że pani Quince opowiedziała ci o tym – dodał z uśmiechem.

Marilyn skinęła głową.

– Czy Baron zamierza uczynić to samo?

– Ojciec mówi, że i tak kiepsko pracują.

– Jak długo ma zamiar z tym zwlekać? – spytała Marilyn. – Pani Quince mówiła mi, że jeśli księżna Izabela zajmie się tym, zniesienie niewolnictwa będzie tylko kwestią czasu.

– Nigdy się tym nie zajmie! – wybuchnął Jamie. Widząc przerażenie Marily, mówił dalej spokojniejszym tonem. – Obecnie mamy pewne kłopoty z niewolnikami. Chodzą pogłoski, że ma się rozpocząć coś w rodzaju powstania. Jeśli do tego dojdzie, będzie bardzo źle. Na najbliższy statek musimy dostarczyć wielką ilość kauczuku.

Marilyn skinęła głową. Spojrzała na stół obok Jamiego.

– Jakie to piękne – powiedziała, podziwiając drewniane wojsko w szyku bojowym.

– To moja kolekcja – wyjaśnił Jamie z dumą, podając jej jednego z jaskrawo pomalowanych żołnierzyków.

Marilyn zachwyciła się artystycznym wykonaniem małej figurki i bogactwem szczegółów.

– Ilu ich masz? – spytała.

– Siedemdziesięciu sześciu – odparł Jamie. – Mam nadzieję, że wkrótce będę miał stu.

– Nigdy nie widziałam tak ładnych figurek, nawet w Stanach. Musisz je bardzo lubić – powiedziała Marilyn.

– O tak, Marilyn. Są dla mnie najcenniejsze. Kolekcjonuję je od wczesnego dzieciństwa – wyjaśnił i szybko zmienił temat. – Masz ochotę pospacerować po ogrodzie, zanim upał stanie się nie do zniesienia? – Marilyn skinęła głową. – Po lunchu oprowadzę cię po Casa Grande. – Wyciągnął ramię i pomógł jej wstać. Zeszli po schodkach. W powietrzu unosił się ciężki zapach jaśminu.

Marilyn zachwycała się obfitością bujnych, słodko pachnących kwiatów. Jamie wyjaśniał, jak trudno powstrzymać dżunglę przed wtargnięciem do ogrodu.

– Trawnik z każdym rokiem staje się węższy – powiedział ze śmiechem.

Po upływie godziny upał i wilgotność stały się nie do zniesienia. Marilyn zakręciło się w głowie.

– Lepiej wracajmy – powiedział Jamie, dostrzegając jej błądność. – Nie powinienem tak długo trzymać cię na słońcu. Musisz stopniowo przyzwyczaić się do upału.

Marilyn pomyślała, że trudno będzie przywyknąć do tej dziwnej krainy.

Kiedy wrócili do Casa Grande, Jamie zadzwonił na Elenę i poprosił o zimne napoje. Pokój, do którego weszli, był chłodny i mroczny. Marilyn usiadła w fotelu i oparła głowę na zagłówku. Rozejrzała się wokół i spytała, jakie jest przeznaczenie tego pokoju, który ona nazwałaby muzycznym.

– Moja matka nazywała go pokojem porannym. Gdy umarła, wnieśliśmy tu jej szpinet. Nikt na nim nie gra. Czasami siadam tu tylko po to, by sprawdzić, czy ją jeszcze pamiętam. Umarła, gdy miałem dwa lata – wyjaśnił.

Gospodyni podała zimne napoje w wysokich szklankach. Marilyn spróbowała i skrzywiła usta.

– Co to takiego? – spytała.

– Sok z limony i papai. Uważamy, że doskonale gasi pragnienie.

Marilyn przyznała mu rację. Był nieco zbyt cierpki, ale sądziła, że go polubi.

– W domu jest tak przyjemnie i chłodno – powiedziała. – Zupełnie inaczej niż na zewnątrz.

– Dzięki temu, że mury mają prawie pół metra grubości, a dach jest kryty dachówką. Chcesz zobaczyć pozostałą część Casa Grande? Marilyn skinęła głową i Jamie szybko zerwał się z fotela.

Dom wzniesiono w kształcie litery U. Jego mury otaczały małe podwórko wybrukowane kocimi łbami. Było artystycznie obsadzone tropikalnymi krzewami i drzewami. Wśród nich stały połączane meble w barokowym stylu. Marilyn poczuła wdzięczność, że jej pokój jest umeblowany w stylu króla Jerzego. Ostentacyjny gust Barona był dla niej zbyt wyszukany. Jamie wskazywał jej rozmaite przedmioty, a ona skwapliwie je chwaliła, widząc, że pełnienie roli przewodnika sprawia mu wielką przyjemność. Kiedy obeszlili cały dom i powrócili do pokoju muzycznego, Jamie powiedział:

– To prawie idealna kopia oryginału.

– Jakiego oryginału?

– Oryginalnego Casa Grande, w którym mieszkał mój dziadek.

Po jego śmierci dom spłonął. Ojciec odbudował go wkrótce potem. Pierwszy dom stał o pół kilometra stąd. Ojciec nie odbudował go na starych fundamentach, bo uznał, że korzystniej będzie mieszkać bliżej rzeki. – Jamie doskonale wywiązywał się z roli przewodnika. Słowa na temat starego domu brzmiały, jak odczytane z broszurki Cooka.

Lunch podano w chłodnym i mrocznym pokoju na tyłach domu. Marilyn zaskoczyła jakością angielskiej porcelany.

– Porcelana należała do matki – wyjaśnił Jamie. – Wkrótce zobaczysz, że mamy wiele cennych przedmiotów.

Lunch był lekki i smaczny. Słodka sałatka z guawy, pomarańczy i ananasa, cienkie plasterki sera na cienkich kromkach chleba, szklanka soku z limony i papai. Po posiłku Jamie odprowadził Marilyn do jej pokoju, aby odpoczęła. Zapowiedział, że spotkają się o czwartej na podwieczorku, a potem odbędą konną przejażdżkę.

Marilyn położyła się, by trochę odpocząć. Wkrótce jednak zamknęła oczy i zapadła w głęboki sen. Nigdy dotąd nie sypiała po południu, ale straszliwy upał zrobił swoje. Obudziła się złana potem. Przebrała się w lekki strój do konnej jazdy i poszła do pokoju muzycznego, gdzie miała się spotkać z Jamiem na podwieczorku. Zbliżając się do drzwi, usłyszała cichą rozmowę. Miała już zawrócić, gdy usłyszała swoje imię.

– Twój ojciec nie byłby zadowolony, że zabierasz dziewczynę na konną przejażdżkę. Wiesz, że nie pochwała twego stylu jazdy, Jamie. To Elena. Mówiła władczy i rozdrażnionym głosem.

– Dlaczego nie zaczekasz, aż wróci Carl i będziecie mogli pojechać we trójkę? – nagle zmieniła ton na niemal błagalny.

Marilyn stała cichutko, bezwstydnie podsłuchując.

– Jestem pewny, Eleno, że Marilyn doskonale jeździ konno. Nie powinnaś się obawiać, że spadnie z konia lub zapłacze się w trujący bluszcz. Będę jej pilnował – odparł chłodno Jamie.

Marilyn pomyślała, że po tak wyraźnej odprawie Elena odejdzie, ale ona nie ustępowała.

– Obawiam się, Jamie, że jeżeli nie posłuchasz ojca, nie zamówi dla ciebie nowych żołnierzów – powiedziała cicho, tonem pozbawionym zwykłej śpiewności.

– Zamówię je sam. Nie jestem już dzieckiem, o czym dobrze wiesz, Eleno. Nie mówmy więcej na ten temat. Dotrzymam danego słowa i zabiorę Marilyn na przejażdżkę zaraz po podwieczorku. Przytniesz go niezwłocznie – zażądał.

Marilyn uznała, że nie powinna się dłużej ukrywać. Cofnęła się kilka kroków, a następnie, stukając obcasami o kamienną podłogę, podeszła do drzwi.

– Mam nadzieję, że nie przychodzę zbyt późno, Jamie – powiedziała, wchodząc do pokoju. Gospodyni rzuciła jej wyniosłe spojrzenie i opuściła pokój. Po chwili wróciła, niosąc dwie filiżanki, czajniczek herbaty i półmisek ciasteczek.

– Wydaje mi się, że jest trochę chłodniej, prawda, Jamie? – spytała Marilyn.

– Tak, w porze podwieczorku zazwyczaj robi się chłodniej. Uważam, że to najprzyjemniejsza część dnia. Cudownie jest jeździć konno, gdy temperatura spada.

Marilyn wypłała dwie filiżanki herbaty i zjadła kilka puszystych ciasteczek. Jamie był nienasycony. Pochłaniał słodczyce, aż na półmisku zostały same okruchy. Widząc spojrzenie Marilyn, uśmiechnął się zawstydzony.

– To moje ulubione – wyjaśnił i wybuchnął śmiechem. Jego śmiech był zaraźliwy i Marilyn także się roześmiała.

– Ale nie wpływają dobrze na figurę – powiedziała żartobliwie.

– Nie obawiam się tego – odparł Jamie, dopijając czwartą filiżankę herbaty. Z zadowoleniem skinał głową, odstawił filiżankę i wstał, strzepując okruchy ze spodni.

Marilyn poszła za nim na małe, wybrukowane kamieniami podwórko, gdzie czekały dwa osiodłane wierzchowce. Jamie pomógł jej dosiąść konia i ruszyli truchtem.

Marilyn jechała na szarym pstrokatym koniu, Jamie na kasztanowym wałachu. Wydawało się, że doskonale siedzi w siodle. Zastanawiała się nad słowami Eleny, które brzmiały alarmująco. Nagle Jamie

skreślił w lewo i ściągnął cugle. Spiał piętami boki przerażonego wałacha. Koń stanął dęba i machał w powietrzu przednimi kopytami. Jamie spiał go jeszcze mocniej, ale zwierzę nie przestawało walczyć. Marilyn nie rozumiała, co się stało. Na ziemi nie było nic, co by mogło przerazić konia. Na szczęście jej wierzchowiec stał spokojnie, skubiąc bujną zieloną trawę. Jamie poluzował cugle. Koń uspokoił się i z cichym rżeniem opadł na cztery kopyta.

– Co się stało, Jamie? – spytała Marilyn.

– Nie wiem – odparł ze skruszoną miną. – Wszystko było w porządku i nagle stanął dęba.

– Nie powinienes tak mocno ściągać cugli; to go przeraziło jeszcze bardziej – powiedziała spokojnie.

– Wiem. Po prostu się przestraszyłem. Spójrz tam – powiedział, wskazując na wschód. – Oto, gdzie się zaczyna plantacja Sebastiana Rivery.

Marilyn spojrzała we wskazanym kierunku. Zastanawiała się, co teraz robi Sebastian. Wkrótce miała się dowiedzieć. Nagle Jamie spiał wałacha obcasami, a koń parsknął i pogalopował naprzód. Chłopak oglądał się, wołał coś do Marilyn i widać było, że nie potrafi opanować konia.

Galopował z niebezpieczną prędkością. Patrzyła zaniepokojona, jak koń i jeździec nikną w oddali.

Nagle pojawił się inny jeździec. Popędził konia i pomknął za spłoszonym wałachem. Po chwili obaj wrócili. Sebastian Rivera prowadził, teraz już łagodnego, wałacha.

Skinął głową Marilyn. Widziała, że sposób, w jaki biały strój do konnej jazdy opinał jej ciało, nie uszedł jego uwadze.

Sebastian nie przestawał besztać Jamiego, który usiłował się bronić, ale bez powodzenia.

– Czy Baron wie, że dosiadłeś konia? – cicho zapytał Sebastian.

Jamie milczał ponuro. Sebastian wzruszył ramionami, jakby wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

– Pojadę z tobą i dopilnuję, byś dotarł bezpiecznie do domu.

Marilyn i Jamie ruszyli za czarnym ogierem Sebastiana. Podziwiała konia i mężczyznę, który czuł się na nim tak swobodnie. Była przekonana, że nikt inny nie poradziłby sobie z czarną bestią tak zręcznie jak Sebastian.

Jamie wyprzedził go pogrążony w ponurych myślach. Marilyn znalazła się obok Sebastiana. Patrzyła z zachwytem na konia i jeźdźca. Mimo dręczącej ją ciekawości, nie uczyniła najmniejszego wysiłku,

by nawiązać rozmowę z nachmurzonym Sebastianem. Co go obchodziło, gdzie i na jakim koniu jeździ Jamie? I dlaczego zapytał, czy Baron wie, że Jamie dosiadł wałacha?

Nagle Sebastian spojrzął na nią i powiedział:

– Nie sędzę, by jazda konna w nieznanym terenie była rozsądna. I bezpieczniej byłoby w towarzystwie doświadczonego jeźdźcy, a Jamie takim nie jest. Wolę nie myśleć, co mogło się stać. – Mówił poważnym tonem starszego brata. Marilyn poczuła się skarcona. Zarusmieniła się i skinęła głową. – Dalej z wami nie pojedę, panno Bannon. Sędzę, że Baron nie byłby zadowolony, widząc, że odwożę jego syna i podopieczną. – Spojrzął na Marilyn, zawrócił ogromnego ogiera i ruszył na swoją plantację.

Dziewczyna dogoniła czekającego na nią Jamiego.

– Chyba nie myślisz, Marilyn, że pozwoliłbym, by stało ci się coś złego?

Marilyn pokręciła głową. Wiedziała, że Jamie z premedytacją nigdy by nie dopuścił, by stało jej się coś złego, ale mimowolnie – to zupełnie inna sprawa.

Zostawili konie pod opieką stajennego i bocznymi drzwiami weszli do chłodnego mrocznego domu. Natknęli się na Elenę, na której twarzy odmalował się wyraz niewątpliwej ulgi. Ulgi ze względu na Jamiego, pomyślała z goryczą Marilyn.

– Obeszło się bez kłopotów? – spytała Elena, zwracając się do chłopca, który tylko wzruszył ramionami. – Przed kolacją ma spaść rześisty deszcz. Lepiej będzie, jeśli sprzątniesz z werandy swoje wojsko.

Oczy Jamiego zabłyśły i chłopak natychmiast spełnił polecenie Eleny.

Gospodyni zmierzyła Marilyn niechętnym wzrokiem.

– Nie chcę, żeby pani jeździła konno z Jamiem, panno Bannon. Czy wyraziłam się jasno? – powiedziała lodowatym tonem.

Marilyn spojrzała na nią zaintrygowana.

– Ale dlaczego, Eleno? On nie zrobił nic złego.

– Nie ma powodu, bym pani cokolwiek wyjaśniała. Powiedziałam, żeby nie jeździła pani konno w towarzystwie Jamiego. Zrozumiała mnie pani?

– Tak – wymamrotała Marilyn. Nie rozumiała, ale miała zamiar rozwikłać tę zagadkę. Uwielbiała jazdę konną, ale skoro jej tego

zabraniano, znajdzie inną rozrywkę. Ruszyła do pokoju, czując na sobie zimny wzrok gospodyni.

Zdjęła strój do konnej jazdy i położyła się, by odpocząć. Zastanawiała się nad dziwnym zachowaniem Jamiego, Sebastiana i Eleny. Widząc Marilyn w towarzystwie Jamiego, Sebastian zachował się tak, jakby się o nią bał. Dlaczego? To nie miało sensu. Marilyn żałowała, że nie ma przy niej wszytkowiedzącej pani Quince.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju weszła mała Indianka, Moriah, z chłodnym napojem w wysokiej szklance. Nieśmiałym gestem podała go Marilyn.

Marilyn wskazała jej dłonią, by usiadła obok. Dziewczynka sprawiała wrażenie przestraszonej.

– Wszystko w porządku, Moriah. Pozwoliłam ci usiąść. Chcę wiedzieć, jak dobrze znasz angielski. Powiedz mi, kto cię uczy?

– Ojciec John – nieśmiało odparła dziewczynka.

– Rozumiem. Czy uczy cię także liter i liczb?

– Tak, i Nessie też.

– A Bridget i Rosy? – spytała Marilyn.

– Elena mówi nie – odparła cicho dziewczynka.

– Baron nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie? – spytała Marilyn.

– Nie. Elena mówi: nie – powtórzyła dziewczynka.

– Czy ty i inne dziewczynki macie zostać pokojówkami?

Moriah skinęła głową.

– Opiekujemy się tobą – wyjaśniła uszczęśliwiona.

A kto się opiekuje tobą, maleńka? – zastanawiała się Marilyn.

– Gdzie są twoi rodzice, dziecko?

Przez małą twarzyczkę przeleciał cień.

– Moja matka i ojciec pracują w Regalo Verdad.

– W takim razie, dlaczego ty jesteś tutaj? – spytała zdumiona Marilyn.

– Baron sprzedał moich rodziców panu Rivera, ale mnie nie chciał sprzedać. Elena chce mnie nauczyć, żebym pracowała w tym domu. Pan Rivera próbuje mnie kupić.

– Jak można sprzedać rodziców bez ich dziecka? – Marilyn była przerażona. – Nie można nic zrobić? – spytała. – A gdzie są rodzice Rosy, Bridget i Nessie?

– Też w Regalo Verdad. Pan Rivera kupił ich razem. Wszyscy mieli gorączkę i Baron powiedział, że są do niczego. Sprzedał ich – szukała odpowiedniego słowa – tanio – dodała triumfalnie.

Marilyn poczuła, że zawrzała w niej krew.

– Jak to możliwe? Kiedy widziałeś rodziców po raz ostatni? – spytała gniewnym tonem.

Moriah pokazała trzy paluszki.

– Lata? – spytała Marilyn niedowierzająco.

Mała skinęła głową.

– Trzeba będzie coś na to poradzić! – wykrzyknęła Marilyn z oburzeniem. Dziewczynka wzdrygnęła się przerażona. Marilyn przygarnęła ją. – Nie krzyczę na ciebie, maleńka. Jestem zła, że coś takiego zdarza się dziecku – usiłowała jej wytłumaczyć.

– Kosztuję dużo dolarów – oświadczyła dziewczynka z dumą.

– Kto ci tak powiedział?

– Słyszałam, jak ojciec John rozmawiał z panem Riverą. – Dziewczynka zmarszczyła czoło, szukając właściwych słów. – Nie dość pieniędzy, żeby mnie kupić – powiedziała. Marilyn zrozumiała. Bez względu na to, ile Sebastian Rivera proponował, dzieci nie były na sprzedaż.

Moriah wstała. Pograżona w myślach Marilyn nawet tego nie zauważyła.

Skoro połowa tej plantacji należy do mnie, połowa tutejszych niewolników, łącznie z dziećmi, również. Dom bez wątpienia jest własnością barona, ale dochody z plantacji dzielimy równo po połowie. W takim razie powinnam mieć coś do powiedzenia, myślała.

Ze złości i oburzenia pulsowało jej w skroniach. To tylko małe dzieci, nie można pozwolić na to, by żyły z dala od rodziców. Przypomniała sobie, że czytała gdzieś o tym, jak bardzo Indianie kochają swoje dzieci. Więc dlaczego tak się stało? Może sądzili, że lepiej będzie, jeśli dzieci zostaną w domu. Wygląda na to, że dziewczynkom nie dzieje się tu krzywda. Dobrze i to.

Marilyn otworzyła stojący obok łóżka kufer. Wyjęła z niego złożone dokumenty. Nie bardzo rozumiała, co jest w nich napisane. Może wyjaśni jej to ojciec John. Wiedziała tylko tyle, że to papiery notarialne, stwierdzające jej udział w Drzewie Życia. Teraz potrzebowała dokładnych informacji o przysługujących jej prawach.

Wyszła na werandę i próbowała czytać powieść, którą zaczęła na statku. Nie mogła się skupić. Miała mętlik w głowie. Zmęczona odłożyła książkę. Odchyliła głowę na oparcie trzcinowego fotela. Od czasu do czasu popijała łyk letniego już soku. Przyglądała się zachodzącemu słońcu i ciemnościom, ogarniającym plantację. Zapach jaśminu stał się odurzający jak mocne wino.

Do ciemnego pokoju weszły Moriah i Bridget, zapaliły naftowe lampy. Pokój zalało mocne światło.

– Czas się ubrać, panienko – uśmiechnęła się Moriah.

Marilyn ciężko wstała z fotela. Czuła się tak, jakby na jej ramionach spoczęło brzemie całego świata.

Dziewczynki pomagały jej się ubrać. Milczały, jakby wyczuwając jej nastrój. Marilyn przejrzała się w lustrze, zadowolona z bursztynowego koloru sukni. Nosiła ją podczas pierwszego wieczoru na parowcu. Otrząsnęła się z myśli o Sebastianie i wygładziła fałdy. Podziękowała dziewczynkom, głaszcząc je po główkach.

Weszła do biblioteki, gdzie zastała dwóch, zajętych rozmową, mężczyzn. W rogu pokoju stał przygnębiony Jamie.

Dystyngowany mężczyzna po pięćdziesiątce wyczuł obecność Marilyn i odwrócił się w stronę drzwi. Zlustrował ją szybkim spojrzeniem. Marilyn poczuła, że się rumieni pod niewątpliwie zachwyconym wzrokiem mężczyzny. Jego stalowoszare oczy przemknęły po złocistych włosach, na chwilę zatrzymały się na twarzy i musnęły jej zgrabną postać.

Marilyn stała nieruchomo i przyglądała się Baronowi. Był wysoki, szczupły, o mocnej budowie i szerokich barach. Miał ciemne włosy, na skroniach przyprószone siwizną. Piękne szare oczy lśniły w opalanej twarzy. Rozchylone w uśmiechu pełne, zmysłowe usta, odsłaniały równe, mocne, białe zęby, uwydatnione przez mały, starannie przycięty wąsik.

Nieukrywany zachwyt tego przystojnego mężczyzny pochlebił Marilyn. Jego widok jednak zrobił jej przykrość. Baron był bardzo podobny do Sebastiana.

– Witaj, witaj, moja droga. Witaj na plantacji Drzewo Życia. To mój syn, Carl – powiedział, wskazując wysokiego młodego człowieka obok siebie. – Jamiego już oczywiście poznałaś – dodał.

Marilyn uśmiechnęła się z trudem. Starła się odprężyć, ale bezskutecznie. Miała wrażenie, że bierze udział w jakiejś farsie. Była zderwowana i czuła się niezręcznie.

– Jamie mówił, że po południu udaliście się na konną przejażdżkę – powiedział cicho Baron.

– Tak. Okolica jest bardzo interesująca – odparła Marilyn, machnąwszy dłonią w kierunku okna.

– Wolałbym, moja droga, byś nie jeździła konno, dopóki nie poznasz okolicy – powiedział Baron łagodnym tonem, ale Marilyn odczuła jego słowa jak rozkaz. Skinęła głową i spojrzała na Carla, by sprawdzić, czy coś doda. Tłumaczył coś Jamiemu, popijając wino.

Marilyn milcząco przyjrzała mu się znad swego kieliszka.

Carl był wysoki i szczupły, w przeciwieństwie do dobrze zbudowanego brata. Ciemne włosy szesane z czoła uwydatniały twarz o drobnych rysach i wypukłym nosie. Marilyn zdała sobie sprawę, że trafiła pod dach trzech niezwykle przystojnych mężczyzn.

Baron opowiadał jej o nadchodzącym karnawale i uroczystościach, które z pewnością będą dla niej ekscytujące.

– Na otwarcie karnawału jedziemy do miasta. Mamy tam dobrze utrzymany dom. Zatrzymujemy się w nim, kiedy do miasta zjeżdżają kupcy kauczuku. Musimy zadbać o to, byś miała odpowiedni kostium na bal.

Elena przerwała rozmowę, anonsując kolację. Baron odebrał Marilyn kieliszek i odstawił go na marmurowy stolik.

Spostrzegła, że Jamie i Carl wstali. Jamie podbiegł w jej kierunku, służąc ramieniem. Baron wkroczył pomiędzy nich i od niechceńca umieścił dłoń Marilyn w zgięciu swej ręki. Jamie stał z ponurym wyrazem twarzy.

– Panowie – powiedział Baron głębokim głosem. – Podano kolację.

Posiłek upływał w milczeniu. Carl prawie się nie odzywał. Zdawało się, że, ku niezadowoleniu ojca, przebywa w jakimś innym świecie. Jamie siedział ze wzrokiem utkwionym w talerzu i dziobał widelcem jedzenie. Marilyn straciła apetyt. Krewetki po kreolsku wyglądały wspaniale. Ryż był biały i sycki. Ale w ustach Marilyn zamieniał się w trociny.

Po kolacji podano w pokoju muzycznym mocną brazylijską kawę.

– Umiesz grać? – spytał Baron z nadzieją w głosie.

Marilyn odparła, że potrafi, ale niezbyt dobrze.

Jamie bardzo się ożywił i prosił, żeby zagrała.

Wymawiała się najpierw. Uległa jednak pod wpływem łagodnej zachęty Barona.

Grała smutne pieśni miłosne. Jamie siedział zahipnotyzowany urzekającymi dźwiękami.

Baron zagłębił się w brokatowym fotelu i spoglądał na Marilyn spod przymkniętych powiek.

Carl z chmurnym wyrazem twarzy stał w drzwiach prowadzących na werandę. Lekki wietrzyk przynosił z ogrodu woń jaśminu. Delikatna muzyka i odurzający zapach sprawiały, że z melancholią myślał o ciemnowłosej Alicji.

Kiedy Marilyn przerwała grę na szpince, poczuł, że brak mu sił na to, co musi uczynić. Gorąco pragnął, by grała dalej. Oto jeszcze

jeden dowód na to, co Baron nazywał głupim romantyzmem syna. Carl wiedział, że jeśli Drzewo Życia ma być uratowane, on musi wypełnić rozkazy ojca.

Myśli Carla znów powędrowały ku Alicji i rozpaczliwej sytuacji finansowej, w jakiej znalazła się jej rodzina. Poczuł bunt; i tak mogliby żyć zupełnie wygodnie. Większa część ich bogactwa została jednak stracona – stracona na skutek niewłaściwej oceny sytuacji. A teraz odszedł ojciec Alicji. Życzliwi nazywali jego śmierć wypadkiem. Ale wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że popełnił samobójstwo. W oczach Barona był to jeszcze jeden argument przeciw Alicji.

Carl wciąż jeszcze słyszał podniesiony głos ojca:

– Ta dziewczyna nie nadaje się na żonę, Carl. Musisz sobie znaleźć bogatą kobietę, która wniesie duży posąg i ożywi Drzewo Życia.

Drzewo, Drzewo, zawsze to Drzewo Życia! Jak można porównywać wartość przeklętego wilgotnego powietrza, rozmokniętej gleby i drzew kauczkowych do czułych ramion, wonnego oddechu i ciepłych, pełnych obietnic ust?

– Najlepszym rozwiązaniem byłby ślub z Marilyn Bannon – dodał ojciec.

Kiedy Carl zapytał, czy bogactwo żony jest aż tak ważne, Baron wyznał, że korzystał z pieniędzy Marilyn, aby zarządzać plantacją i otaczać się luksusem, do którego Carl był przyzwyczajony. Wkład Barona pozostał nietknięty i spoczywa oprocentowany w banku. Kiedy dziewczyna zacznie się domagać wglądu do ksiąg rachunkowych, do czego ma pełne prawo, gra będzie skończona.

Jeśli więc Carl poślubi Marilyn, sekret nie wyjdzie na jaw, a plantacja nadal będzie należeć do rodziny Newsome.

Carl błagał, by ojciec nie zmuszał go do ślubu z Marilyn i pozwolił poślubić Alicję.

Wstrząsnął się z obrzydzeniem na wspomnienie reakcji ojca.

– Nigdy! – ryknął Baron. – Nigdy nie pozwolę na to, by mój syn zlekceważył swoją powinność wobec rodziny, wobec samego siebie, wobec Drzewa Życia.

Jeśli musisz mieć swoją Alicję, to ją sobie weź. Weź, kochaj, trzymaj dla siebie. Oczywiście w tych tragicznych okolicznościach, rodzina Alicji zechce otrzymać od ciebie jakąś rekompensatę za coś tak nieistotnego jak jej dziewictwo. Zrób, co uważasz, ale zastanów się, czy jeśli cię wydziedziczę – z jakiegokolwiek powodu – matka i wuj Alicji będą zachwyceni twoimi awansami? Sądzę, że nie, mój chłopcze. Będą gorączkowo szukać lepszego kandydata. Uroda tak

delikatna jak Alicji nie przetrwa dłużej niż kilka lat. Nie, drogi chłopcze, jak by na to nie patrzeć, jesteś przegrany. – Tu spojrzął na syna lodowatym wzrokiem i Carl poczuł się zmrożony jego bezdusznym wyrachowaniem. Wiedział, że ojciec nie rzuca słów na wiatr. Gotów go wydziedziczyć. Mimo uczucia do Alicji, Carl podziwiał ojca. Kochał go.

Spojrzał na złotowłosą dziewczynę przy szpince. To prawda, jest śliczna, a także uduchowiona. Czy przyjmie jego oświadczenia?

Carl kochał Alicję bez względu na jej majątek. Opinie ojca na temat moralności młodych kobiet były mu znane od wczesnego dzieciństwa, nie powinien więc denerwować się jego uwagami, dotyczącymi Alicji. Mimo to krytyka charakteru i reputacji dziewczyny doprowadzała go do ślepej furii. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że Baron nadużył swoich uprawnień i potrzebował pomocy synów.

Nagle Carl poczuł ulgę. Jak miał udawać miłość do Marilyn? Jeśli dziewczyna jest choć trochę inteligentna, przejrzy na wylot jego zamiary. Zacznie się zastanawiać, dlaczego Carl udaje, że ją kocha i jaki ma w tym interes.

Jego myśli pozęgłowały w innym kierunku.

Cóż, u diabła, Baron zrobił z pieniędzmi? Wszystkie luksusy nie pochłonęłyby całego majątku. Jak mógł wydać pieniądze, które nie należały do niego? Ręka Carla powędrowała do kieszeni, w której spoczywał liścik od ukochanej. Poczuł się tak, jakby dotykał płomieni.

Odpisał Alicji, wyjaśniając, że mają gościa. Nie będzie się mógł z nią zobaczyć aż do rozpoczęcia karnawału. Zapewnił ją o swej wielkiej miłości. Pisał, że do dnia, kiedy znów weźmie ją w ramiona, czas będzie się włókł niemiłosiernie.

Carl patrzył, jak ojciec wstaje i bije brawo Marilyn. Baron rzucił szybkie spojrzenie synowi. Carl podszedł do dziewczyny, pogratulował pięknej gry i zaprosił na spacer po werandzie.

Jamie chciał się do nich przyłączyć, ale Baron przywołał go i przypomniał, że jutro ma mu towarzyszyć przy transakcji z kupcami kauczuku.

Jamie nie przejął się słowami ojca. W jego głowie wciąż rozbrzmiewała piękna muzyka Marilyn. Poprosi ją, by jeszcze dla niego zagrała. Zastanawiał się, czy jego matka grywała te same pieśni. Miał przeczucie, że tak. Wreszcie przesiadywanie w pokoju muzycznym zostało wynagrodzone. Zawsze czuł się tu blisko matki. Teraz poczuł się jeszcze bliżej.

Carl i Marilyn spacerowali w milczeniu po otaczającej dom werandzie. Carl spytał, czy Marilyn zechce następnego dnia pojechać na plantację pani Quince.

– Dwukółką, oczywiście. Będziemy musieli wyruszyć wczesnym rankiem, przed największym upałem. Wrócimy wieczorem, jeśli się zgodzisz – dodał.

– Ależ oczywiście, dziękuję ci, Carl. Chętnie zobaczę się z panią Quince.

– W takim razie jesteśmy umówieni – powiedział i szybko zmienił temat. – Jaki strój chciałabyś mieć na bal karnawałowy?

– Nie mam pojęcia – odparła szczerze Marilyn. – Co zakładają inne kobiety?

– Obawiam się, że nie będę ci umiał powiedzieć. To zawsze jest najzazdrośniej strzeżony sekret roku. Kobiety ukrywają tę tajemnicę, jakby to była sprawa wagi państwowej – roześmiał się. – Mężczyźni natomiast mają bardzo ograniczone możliwości. Zazwyczaj jest dziesięciu lub nawet dwunastu mężczyzn w takim samym przebraniu. Stroje kobiet są niepowtarzalne. Zaraz po karnawale kobiety zaczynają wymyślać stroje na następny rok. Zdarza się, że zwyciężczyni balu szykuje przebranie przez cały rok. Wśród tegorocznego jury znajdują się mój ojciec i pani Quince.

Marilyn słuchała go uważnie. Nie mogła się doczekać balu i zdecydowała, że już tej nocy pomyśli, jak się przebrać. Spojrzała na rozgwieżdżone niebo i przypomniało jej się, że Elena przepowiadała ulewny deszcz.

– Elena powiedziała, że dziś w nocy będzie ulewa.

– Dzisiaj? – spytał Carl zaintrygowany.

– Tak. Powiedziała Jamiemu, żeby zabrał z werandy swoje wojsko, bo w porze kolacji ma padać.

– Ach tak – powiedział Carl. – Cóż, obawiam się, że była w błędzie. Za dwa lub trzy dni przyjdą ulewy i będziesz ich miała powyżej uszu. Nie ochładzają powietrza. Sprawiają, że robi się jeszcze parniej i jeszcze goręcej. Wracajmy – dodał, kiedy znaleźli się przed drzwiami. – Jedna z dziewczynek obudzi cię rano. A teraz życzę ci dobrej nocy. – Zanim się spostrzegła, poczuła na policzku lekki pocałunek. Carl odwrócił się na pięcie i zawołał Jamiego. Patrzyła, jak bracia wychodzą z pokoju. Intuicja podpowiadała jej, że coś tu było nie w porządku.

Baron zniknął. Marilyn wzięła zapaloną lampę i ruszyła korytarzem w stronę swego pokoju. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jej łóżko i koszula są przygotowane na noc. Dziewczynki wywiązały się

z zadania. Na małym stoliku obok łóżka stała ogromna miska z kwiatami. Zastanowiła się, która z dziewczynek je zrywała. Moriah. Mała, tłuściutka Moriah o ciemnych oczach i włosach uczesanych w mysie ogonki. Piękne dziecko.

Marilyn szybko się rozebrała i opadła na szezlong. Z piórem i kartką w rękach, zastanawiała się, co włożyć na bal karnawałowy. Nie miała pomysłu. Może pani Quince poleci jej kogoś, kto dobrze szyje. Po chwili odłożyła pióro. Wróciła myślą do wydarzeń minionego wieczoru. Nie mogła sobie przypomnieć, co spowodowało niemiłe uczucie. Czy niepokój wywołało uderzające podobieństwo pomiędzy Baronem i Sebastianem? Nie, chyba nie. Przygotowała ją na to pani Quince.

Ale coś się nie zgadzało.

– Cóż, tej nocy nie odpowiesz sobie na to pytanie – zganiała samą siebie.

Leżąc na powleczonej jedwabną poszewką poduszce, jeszcze raz pomyślała o dziwnym niepokoju, jaki poczuła tego wieczoru. Zbyt zmęczona, by go zrozumieć, zapadła w sen. Zасыpiając, myślała o czterech małych dziewczynkach, które zobaczy rankiem.

5

Poranna przejażdżka przez dżunglę była radosnym przeżyciem. Marilyn wiedziała, że długo pozostanie w jej pamięci. Zapach tropikalnych kwiatów odurzał ją. Nad zielonymi liśćmi unosiła się lekka mgiełka, która wkrótce miała wyschnąć pod palącymi promieniami słońca. Barwne ptaki szczebiotały i pokrzykiwały, fruując w leśnym gąszczu.

Carl pokazał Marilyn ogromnego pytona śpiącego w słońcu. Zrobił krótki wykład na temat węży, zwłaszcza jadowitych. Opowiedział, jak atakują i co robić, kiedy do tego dojdzie. Marilyn zadrżała. Pomyślała, że gdyby ukąsił ją wąż, położyłaby się i umarła. Skąd wzięłaby nóż, żeby wyciąć ranę?

– To właśnie jeden z powodów, dla których nie chcemy, żebyś samotnie przemierzała dżunglę. Musisz ją poznać i nauczyć się sobie radzić. Nie bój się, wkrótce polubisz życie w Brazylii.

Rozmawiali z ożywieniem i Carl stopniowo nabierał coraz większej pewności siebie. Marilyn nie mogła się doczekać spotkania z przyjaciółką. Pani Quince z pewnością będzie przyjemnie zaskoczona, myślała podekscytowana.

Wkrótce dotarli na plantację. Pani Quince bardzo się ucieszyła na widok sąsiadów. Śmiechom i uściskom nie było końca. Marilyn zauważyła, że Carl jest zakłopotany takim wylewnym okazywaniem uczuć.

– Chodźcie, moi drodzy! – wykrzyknęła pani Quince. – Mam na śniadaniu jeszcze jednego gościa. Nie mogę uwierzyć własnemu szczęściu.

Marilyn i Carl ruszyli za nią. Weszli do mrocznego domu, a potem do jadalni. Przy stole nad talerzem pełnym jedzenia siedział Sebastian Rivera. Na widok wchodzących wstał i skłonił się Marilyn. Zaskoczona dziewczyna posłała mu chłodny uśmiech.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności, prawda? – spytała zachwycona pani Quince. – Czasami przez wiele tygodni rozmawiam tylko z mężem. Nie mogę się doczekać karnawału. Życie w mieście to miła odmiana. Co roku czekam na to z utęsknieniem.

Na widok Sebastiana Riverę Carl zmarszczył czoło. Gdyby wiedział, że go tutaj zastanie, przyjechałby kiedy indziej. Teraz, ze względu na panią Quince i Marilyn, musiał zachowywać się przyjaźnie. Pogardzał tym człowiekiem. Właściwie pogarda była zbyt słabym słowem. Nienawidził tego wysokiego, pewnego siebie mężczyzny, którego właściciele innych plantacji tak wysoko cenili. Carl wiedział, że jedynie on i Baron nie podzielali powszechnej pozytywnej opinii o Sebastianie.

Sebastian stał gotów do odejścia, trzymając w dłoniach kapelusz z szerokim rondem. Zapomniał o śniadaniu. Podziękował pani Quince za gościnność. Skłonił się Marilyn i Carlowi. Jego oczy załśniły wrogością. Pospiesznie opuścił jadalnię. Pani Quince patrzyła na niego smutnym wzrokiem. Gorąco pragnęła, by wieści, które przywiózł, nie były prawdziwe. Wiedziała, że Sebastian niepokoił się bardzo, a jej mąż Alenzo był wstrząśnięty, usłyszawszy nowinę. Rosalie Quince spojrzała na Carla. Postanowiła zapytać go wprost, bez owijania w bawełnę, nie należała przecież do nieśmiałych kobiet.

– Carl – powiedziała poważnym tonem. – Wczoraj wieczorem Sebastian powiedział nam o pogłóskach, że na waszej plantacji panuje gorączka? Czy to prawda?

Carl sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Nie wiadomo, czy samą wieścią, czy też faktem, że przyniósł ją Sebastian Rivera.

– Mamy kilku chorych Indian, ale nie sądzę, by była to gorączka – odparł spokojnie.

– Jak wielu ludzi choruje i jak ciężko? – spytała dociekliwie pani Quince.

– Czworo, jak sądzę. I nie pracują zaledwie od trzech dni.

– I nie ma poprawy? – naciskała pani Quince.

– Nie wiem. Ojciec uważa, że to część buntu, jaki planują. Ojciec nie wierzy, że naprawdę są chorzy.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby rzeczywiście chorowali. Alenzo i Sebastian powtarzali twemu ojcu wiele razy, by osuszył bagna i moczary. Wilgotne powietrze jest zabójcze. Baron obiecywał, że tak uczyni, ale

nigdy nie dotrzymał słowa. Lepiej, żeby to nie była znów żółta febra. Nie mam już tyle siły, by opiekować się chorymi – powiedziała pani Quince złowieszczym tonem.

Marilyn z uwagą słuchała. O czym oni mówią? Czy Baron nie zajmuje się chorymi niewolnikami? Najwidoczniej nie, skoro odsprzedał rodziców dziewczynek Sebastianowi. Sprawdzi to jutro rano i porozmawia z Baronem. Musi poprawić los Indian i ona Marilyn, dopilnuje tego. Spojrzała na panią Quince, która zdawała się czytać w jej myślach.

– Carl – powiedziała pani Quince – może przejdiesz do stajni i obejrzysz nasze nowe żrebaki? Musimy porozmawiać o naszych kobiecych sprawach.

Marilyn była wdzięczna za ten brak taktu. Carl z ociąganiem wstał od stołu. Na jego twarzy malował się żal. Marilyn i pani Quince stłumiły śmiech.

Kiedy zostały same na werandzie osłoniętej bambusowymi żaluzjami, Marilyn zaczęła wypytywać panią Quince o sytuację dzieci na plantacji Drzewo Życia.

– To bardzo smutne – powiedziała pani Quince, popijając chłodny napój. – Niestety, to prawda. Baron nie traktuje dobrze swoich Indian i Murzynów. Warunki życia są okropne! Sebastian już od trzech lat stara się odzyskać dzieci. – Nagle na werandę wpadło coś jaskrawozielonego i usadowiło się na ramieniu pani Quince.

– Święci pańscy, święci pańscy – zaśpiewało skrzekliwym głosem. Pani Quince roześmiała się: – To moja papuga, Bartholomo.

– Gdzie jest moja ukochana? – zaskrzeczał Bartholomo. Marilyn wybuchnęła śmiechem.

– Przynajmniej mam z kim pogadać w ciągu dnia – powiedziała pani Quince ze śmiechem. W kącikach jej bystrych niebieskich oczu, pojawiły się delikatne zmarszczki. – Powiedz mi dziecko, co myślisz o właścicielu Drzewa Życia? Co sądzisz o Baronie?

– Był niezwykle uprzejmy. Widziałam go wczoraj wieczorem. Carl był także rycerski.

– A co powiesz o Jamiem? – spytała pani Quince ostrym tonem, a jej oczy nagle rozbłyły.

– Jest miły i przyjacielski. Zabrał mnie wczoraj na przejażdżkę konną. Wszyscy byli bardzo niezadowoleni. Najwidoczniej nie jest doświadczonym jeźdźcem. Baron zabronił mi z nim jeździć. Jamie był bardzo zdenerwowany. Czasem zachowuje się jak rozpieszczone dziecko, ale lubię go.

– A gospodyni?

– Ona także zabroniła mi jeździć konno w towarzystwie Jamiego. Obawiam się, że wtrąca się w nie swoje sprawy. I miała pani rację. Elena mnie nie lubi. Staralam się traktować ją przyjaźnie, ale ona jest taka zimna. Moje wysiłki spełzły na niczym. Ale proszę mi powiedzieć, o co chodzi z tą gorączką na plantacji?

– Wczoraj wieczorem przyjechał do nas Sebastian, aby spytać Alenza, czy słyszał o przypadkach zachorowań na żółtą febrę na plantacji Drzewo Życia. Jak dotąd to tylko pogłoski. Ostatnia epidemia także zaczęła się na plantacji Barona. Dotarła też na naszą plantację. Straciliśmy siedemdziesięciu dwóch Indian i czterdziestu pięciu Murzynów. Nie pamiętam, ilu niewolników stracił Baron. Na pewno znacznie więcej niż my. To jego wina. Nie dba o Indian. Oczekuje, że będą pracować dzień i noc, że zawsze będą zdrowi i silni.

Marilyn przypomniała sobie, co Sebastian opowiadał jej o wysiłkach pani Quince, by poprawić warunki życia Indian. Zauważyła, że pani Quince nie lubi Barona. Ma mu za złe obojętność na los niewolników.

– Baron to łobuz! Baron to łobuz! – zaskrzeczała nagle papuga.

Pani Quince roześmiała się na całe gardło. Marilyn przyłączyła się do niej, a papuga odfrunęła.

– Sama widzisz – wyjaśniła pani Quince. – Papuga słyszała te słowa tak wiele razy, że nauczyła się ich na pamięć. Kiedy Baron przyjeżdża, muszę zamykać ją w szopie – dodała, ocierając łzy z oczu. – Już ci mówiłam, dziecko, że skoro połowa plantacji należy do ciebie, powinnaś mieć prawo głosu w sprawach dotyczących jej prowadzenia. Jeżeli zdarzą się następne przypadki zachorowań, wszyscy będziemy mieć kłopoty. Musimy załadować kauczuk na statki, zanim woda w rzece opadnie. Kupcy przybędą do miasta tuż przed rozpoczęciem karnawału. Nie możemy sobie teraz pozwolić na żadne opóźnienia. I nie chcemy dopuścić do tego, by umierali nasi niewolnicy.

Marilyn skinęła głową i zapewniła panią Quince, że ma zamiar zająć się sprawą następnego ranka.

W chwili, gdy zajęły się omawianiem nadchodzącego karnawału, rozległ się tętent końskich kopyt.

– To Sebastian. Myślę, że on także zajrzał do stajni, by obejrzeć nasze źrebaki. A teraz pogalopował na swoim czarnym potworze. Czyż ten koń nie jest wspaniały?

Pani Quince przyglądała się siedzącej w niedbałej pozie Marilyn. Bystre oczy starszej pani dostrzegły ból w oczach dziewczyny. Poczła wyrzuty sumienia na myśl, że przypomniała jej o istnieniu Sebastiana.

Sebastian Rivera pędził, jakby go gnało stado dzikich bestii. Ale ma pecha! Że też musiał trafić na Carla Newsome'a i dziewczynę! Na myśl o Marilyn w towarzystwie Carla, zmarszczył czoło, choć właściwie nie wiedział dlaczego. Jeszcze jedna ładniutka Amerykanka! Jasna i złocista. Nie wytrzyma długo w tutejszym piekielnym klimacie. Wkrótce podwinie spódnicę i wróci z powrotem do Nowej Anglii. Na tę myśl posmutniał. Marilyn to piękna dziewczyna, a pani Quince ma o niej doskonale zdanie. Sebastian pokręcił głową i ścisnął obcasami boki swego wielkiego konia. Przypomniawszy sobie długie, delikatne palce Marilyn i jej kremowobiałą skórę. Nie wyglądała na osobę, która musiała kiedykolwiek pracować. Z pewnością pochodziła z bogatej rodziny. Miała służące, takie jak jego matka, gotowe na każde skinienie. Na myśl o matce zazgrzytał zębami. Przez całe życie pracowała po to, żeby mieć go przy sobie. Był to dowód największej miłości. Sebastian starał się nie myśleć o swoim nieznanym ojcu. Mężczyzna jest mężczyzną. I znaczy tyle, ile sam sobie wypracuje. Ale czy ta złocistowłosa Amerykanka mogła go uznać za równego sobie? Dla niej na pewno liczy się odpowiednie pochodzenie i wychowanie. Kiedy się dowie, że Sebastian jest nieślubnym dzieckiem, nie będzie chciała mieć z nim do czynienia. Przypomniawszy sobie chwile spędzone z Marilyn na statku. Jej oczy i gorące usta... Myślał, że jest gościem pani Quince. Była taka pociągająca. Ale okazało się, że Marilyn jest właścicielką połowy Drzewa Życia i zamieszka na plantacji Barona. Zaklął ze złością. Baron prawdopodobnie już zaplanował ślub Carla z dziewczyną, pomyślał z goryczą. Może są sobie warci. Przypomniawszy sobie wczorajszą rozmowę przy kolacji. Pani Quince mówiła do męża, że Marilyn ma prawo do połowy plantacji. Ano zobaczymy, czy będzie potrafiła nią zarządzać. Sebastian poganiał konia, jakby chciał uciec przed własnymi myślami. Nadszedł czas, by pojechać do Manaus i odwiedzić czarnokąpiękość, którą utrzymywał w swojej miejskiej rezydencji. Uśmiechnął się na myśl o nadchodzącym wieczorze i czekających go przyjemnościach. Nikt nie miał wątpliwości, że Sebastian lubi rozkosze, jakie ofiarowuje kobieta.

Carl wrócił na werandę, gdzie siedziały pani Quince i Marilyn. Przyłączył się do rozmowy na temat nadchodzącego karnawału, przyjęć i wielkiej parady.

– Czy służba bawi się podczas karnawału? – spytała Marilyn niewinnym tonem.

– Ależ oczywiście. Karnawał jest dla wszystkich. Służba ma swoje własne przyjęcia i rozrywki, nie tak wyszukane, ale miłe – wyjaśniła pani Quince. – Powiedz mi, dziecko, gdzie zamierzasz urządzić przyjęcie? W domu w mieście, czy na plantacji? Ja wolę dom w mieście. W czasie sezonu wszyscy są w mieście. Co o tym sądzisz, Carl?

Carl skinął głową.

Reszta dnia upłynęła spokojnie. Wszyscy zgodzili się, że przyjęcie powinno się odbyć w mieście. Rozmowa zeszła na tematy plantacji, służby, Indian i Murzynów. Pani Quince powiedziała Carlowi, by wpłynął na ojca, aby ten polepszył warunki życia niewolników. Spytała także, czy Baron odsprzeda dziewczynki na plantację Sebastiana, gdzie są ich rodzice.

Carl pokręcił głową i odparł, że Baron nie zrezygnuje z dzieci.

– Dziewczynki wrócą do swoich rodziców – powiedziała Marilyn lodowatym tonem. – Nie chcę, by ich los zaciążył na moim sumieniu.

Spojrzeni na nią zaskoczeni. W oczach pani Quince pojawiła się aprobata. Carl sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Marilyn czekała na ich reakcje. Milczeli. Pani Quince zaproponowała wczesny podwieczorek. Wiedziała, że goście chcą już odjechać, by zdążyć do domu przed zapadnięciem zmroku.

Marilyn podziękowała za gościnę. Carl był bardziej niż zwykle oficjalny.

W drodze powrotnej Marilyn czuła, że chce jej coś powiedzieć, ale nie wie, w jaki sposób to zrobić. Bez ogródek spytała, o co mu chodzi.

– Uważam, że pospieszyłaś się z deklaracją wobec pani Quince, Marilyn. Plantacją zarządza Baron. Nie zgodzi się, byś się wtrącała. Kobieta nie ma nic do powiedzenia w tych sprawach.

– Nawet jeśli należy do niej połowa plantacji? – spytała chłodnym tonem.

Carl jękając się, starał się odwieść ją od powziętego zamiaru.

– Chcę dopilnować, by warunki życia Indian i Murzynów stały się znośne. Nie będę żyć i czerpać zysków z czyjegoś cierpienia. Nie rozumiem, jak ty możesz znieść taką sytuację. Widzę, że chociaż inni plantatorzy nie wykorzystują tak swoich niewolników, żyją nieźle i mają zyski.

– Baron postępuje po swojemu i jak dotąd dobrze sobie radzi. Na twoim miejscu nie wtrącałbym się w te sprawy – cicho powiedział Carl.

– Cóż, nie jestem tobą. Postąpię w sposób, jaki uważam za słuszny – odparła Marilyn ostro.

Carl dał za wygraną. Reszta drogi upłynęła w milczeniu. Marilyn rozmyślała o przystojnym Sebastianie, a myśli Carla błędziły wokół zubożalej Alicji i uczuć, jakimi ją darzył.

6

Marilyn szybko przebrała się i czekała ze zniecierpliwieniem, aż Moriah wyszczotkuje jej włosy. Postanowiła porozmawiać z Baronem przed kolacją. Chciała rozwiązać problem dziewczynek i otrzymać sprawozdanie ze stanu swego majątku. Była podekscytowana. Wiedziała, że rozmowa z Baronem nie pójdzie łatwo, o czym uprzedził ją Carl. Mimo wszystko musiała spróbować. Jej ojciec oczekiwałby tego.

Odprawiła dziewczynki i lekko oprószyła policzki pudrem ryżowym.

Szybko wyszła z pokoju. Im prędzej spotka się z Baronem, tym prędzej zakończy tę sprawę.

Wkroczyła do biblioteki w chwili, kiedy Carl opowiadał, że miło spędzili czas.

Marilyn odruchowo napięła mięśnie. Podeszła do Barona i powiedziała:

– Czy mogę z panem porozmawiać, sir? Uważam, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Baron z uśmiechem spojrzał na piękną złotowłosą dziewczynę.

– Wyglądasz niezwykle poważnie, moja droga. Co zaprzęta twą śliczną główkę w tak uroczy wieczór?

Marilyn poczuła, że pod twardym spojrzeniem szarych oczu, jej determinacja słabnie. Odwróciła od nich wzrok. Skupiła uwagę na wydatnym gładko wygolonym podbródku oraz na starannie przyciętych wąsikach. Czuła, że Baron czeka w napięciu, przyglądając się jej modnej sukni, odsłaniającej piękne ramiona.

Już miała przemówić, kiedy Baron oblizał dolną wargę i prze-
niósł wzrok na biust Marilyn. Przypominał jej starego kocura, nale-
żącego do kucharki w domu ojca w Nowej Anglii. Stary kocur zach-
owywał się tak na widok spodeczka ze śmietanką. Tylko że zielone
oczy kocura nie zdradzały jego podniecenia, kiedy powoli oblizywał
brodę.

– Doszły mnie dziś pogłoski na temat choroby wśród Indian. Czy
to prawda? Czy zagraża nam żółta febra?

– Cóż to za bzdury, moja droga? – spytał Baron. – Mamy kilku
Indian, którzy być może są chorzy, ale podkreślam, być może – po-
owiedział, unosząc palec. – Jestem przekonany, że planują jakiś bunt.
Do moich uszu doszły nieokreślone pogrożki.

– A co z warunkami życia niewolników? Słyszałam, że są oplakane.
Policzki Barona poczerwieniały ze złości.

– Kto ci naopowiadał tych bredni? Odpowiedz mi – zażądał chłod-
nym głosem.

– Słyszałam o tym podczas pobytu na plantacji pani Quince. To
ona mi o tym powiedziała.

– Idę o zakład, że informacji udzielił jej sąsiad – powiedział Ba-
ron przez zaciśnięte zęby.

A więc wiedział już o spotkaniu z Sebastianem. Najwidoczniej
Carl szczegółowo zdał sprawę z przebiegu wizyty.

– Owszem, był tam Sebastian Rivera. Nie rozmawiał z nami jed-
nak. Szybko się pożegnał i odjechał. Pani Quince opowiadała, że kil-
ka lat temu na naszej plantacji zaczęła się epidemia żółtej febry, która
rozprzestrzeniła się także na inne plantacje i wielu Indian straciło
życie.

Baron strzelił palcami; dźwięk zawisł w ciężkim dusznym powietrzu.

– Człowiek nie powinien zawracać sobie głowy czymś tak mało
ważnym jak życie niewolników.

Marilyn poczuła gwałtowną falę gniewu, ale opanowała się. Nie
mogła sobie teraz pozwolić na wybuch niekontrolowanej złości.

– To znaczy, sir, że obecnie nie ma przypadków gorączki na tere-
nie naszej plantacji?

– Oczywiście, że nie ma, moja droga. Właśnie to staram ci się
oznajmić. Nie ma potrzeby, abyś sobie zawracała głowę sprawami
dotyczącymi zarządzania plantacją. Ty i twój ojciec przez wiele lat
wiedliście luksusowe życie dzięki plantacji. Nigdy nie kwestionował
moich metod. Sprawy są tak skomplikowane, że trudno byłoby ci je
zrozumieć.

– Chce pan, sir, powiedzieć że nie jestem zdolna zająć się własnymi interesami, że nie pojmę, o co w nich chodzi, nawet gdybym się bardzo starała?

– Nie, moja droga. Uważam wszakże, że nie powinnaś sobie tym zaprzętać głowy. Będę zarządzał plantacją w taki sam sposób, jak dotychczas. I zakończmy na tym tę niepotrzebną dyskusję – powiedział gwałtownie.

Marilyn okazała się nieodrodną córką swego ojca.

– Chwileczkę, sir. Jest jeszcze kilka innych spraw, które pragnę omówić. – Dygotała rozgniewana jego beczelnością. – Chodzi mi o dziewczynki. Chcę wiedzieć, dlaczego nie są ze swoimi rodzicami na plantacji Regalo Verdad.

– Tu jest ich miejsce. Stanowią część długu, który zaciągnęli u mnie ich rodzice. – Jego policzek zaczął drgać. Marilyn wiedziała, że jest rozgniewany. Niech sobie będzie. Ona także nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się równie wściekła.

– Ale z tego, co wiem, Sebastian Rivera oferował panu, sir, każdą sumę, jakiej by pan zażądał.

– Nie ma potrzeby dyskutować na ten temat. Nie życzę sobie, moja droga, byś wspominała o Sebastianie Riverze i jego plantacji.

Marilyn poczuła, że jej policzki płonęły. Spojrzała na Jamiego, który nie spuszczał z niej oczu. Wyglądał na zdenerwowanego. Pocięła kciuk pozostałymi palcami. Baron nie zwracał na niego uwagi, patrzył na Marilyn.

– Powtarzam: dziewczynki nie są na sprzedaż i nigdy nie będą. Czy to jasne? – zapytał z groźbą w głosie.

Marilyn poczuła smutek, poniżenie i zawód. Jeszcze raz spojrzała na Jamiego. Był odprężony, jego palce znieruchomiały. Spojrzała w oczy Carla i wyczytała w nich jedynie litość. Oczy Barona pozostały zimne i nieprzeniknione.

Nie dając za wygraną i nie przejmując się rumieńcami, które wykwitły na jej policzkach, Marilyn powiedziała hardo:

– Mam nadzieję, że zanim zaczniesz się karnawał, będę mogła zapoznać się z księgami, przedstawiającymi stan mego udziału w plantacji.

W jej spokojnym tonie zabrzmiała nuta chłodu. Zebrała fałdy spódnicy i ruszyła w stronę jadalni, bo Elena zapowiedziała kolację. Nie czekała, aż poprowadzi ją któryś z mężczyzn. Była właścicielką plantacji i mogła robić, co się jej podobało. Spojrzała w ciemne oczy gospodyni i nie wiedziała, co w nich dostrzeże – podziw czy nienawiść.

Podeszła do swego krzesła i zatrzymała się, czekając, by Jamie je dla niej odsunął.

Kolacja upłynęła w ponurej atmosferze. Marilyn przypomniała sobie tajemnicze zdania z dziennika ojca. Carl starał się jak mógł, by podtrzymać rozmowę. Jego serce było jednak gdzie indziej. Jamie opowiadał, że zamówił pięć nowych figurek żołnierzy. Miały zostać wykonane specjalnie dla niego i przysłane z Anglii najbliższym statkiem handlowym.

Marilyn skubała jedzenie i zdawkowo odpowiadała na pytania. Czuła się jak uczennica, która otrzymała nagane.

Baron powoli i starannie przeżuwał potrawę. Nie spuszczał wzroku ze szczupłej dziewczyny, siedzącej naprzeciw. Ile ta gąska wie? Jak śmie wydawać mu polecenia! Polecenia to jednak zbyt mocne słowo. Wszystkiemu winien Sebastian Rivera. Baron był pewien, że to właśnie Sebastian kryje się za wszystkimi jej pytaniami i podejrzeniami.

Dziewczyna najwidoczniej straciła głowę dla Rivery, jak zresztą wszystkie kobiety w Brazylii. Będą z nią kłopoty. Baron czuł to przez skórę. Jeżeli Carl nie przystąpi do zdecydowanego ataku, plantacja bardzo ucierpi. Jedząc, zastanawiał się nad sprawozdaniem, którego zażądała. Nie sposób go jej odmówić. Gdyby tak uczynił, postąpiłby niezgodnie z prawem i okazał się niegodny miana mężczyzny. Nienawidził jej teraz równie mocno, jak Sebastiana Rivery. Marilyn uniosła wzrok znad talerza i spotkała lodowate spojrzenie Barona. Była wstrząśnięta. Zadrżała i nie zwróciła uwagi na pytanie, które zadał jej Jamie.

Baron powtórzył pytanie syna. Przepraszyła i wymówiła się bólem głowy. Trzej mężczyźni patrzyli, jak opuszczała jadalnię. Na ich twarzach malowała się troska. U każdego z nich z innego powodu.

Przechodząc koło Barona, poczuła nieprzepartą chęć, by krzyknąć jak papuga Bartholomo:

– Baron to łobuz! Baron to łobuz!

Znalazła się na korytarzu i szybko pobiegła do swego pokoju. Po drodze minęła gospodynię, ale nawet na nią nie spojrzała. Padła na kanapę i pograżyła się w myślach.

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanął Jamie.

– Czy to znaczy, że nie będziesz dziś grała na szpinecie? – zapytał.

– Obawiam się, że nie będę, Jamie. Bardzo mnie boli głowa. – I rzeczywiście, poczuła silne pulsowanie w skroniach.

– Nie mogłabyś jakoś temu zaradzić? Cały wieczór czekałem, że zagrasz – prawie krzyknął, a potem szybko się opanował. – Przepraszam – powiedział. – Zachowałem się głupio. Tak bardzo kocham muzykę. Czy wiesz, że mamy operę? W Manaus.

Marilyn nie bardzo to interesowało. Nie mogła się doczekać, by Jamie zostawił ją samą. Ale on najwyraźniej miał jej jeszcze coś do powiedzenia. Czekała.

– Nie jesteś zadowolona, że dziewczynki są tutaj, by się tobą zajmować? – Jamie miał tak przejętą minę, że Marilyn skinęła głową. Była gotowa uczynić wszystko, żeby tylko sobie poszedł. Zamknęła oczy i Jamie wreszcie wyszedł.

Postanowiła, że kiedy ból głowy minie, przejrzy jeszcze raz papiery ojca. Będzie je czytać, aż zrozumie, choćby to miało trwać do białego rana. Podjąwszy taką decyzję, zapadła w niespokojny sen. Po jakimś czasie obudziły ją dziewczynki i pomogły przebrać się do snu. Marilyn ułożyła się w chłodnej, świeżej pościeli, a lekturę papierów ojca przełożyła na dzień następny.

Na dole Baron prowadził gwałtowną rozmowę z Carlem.

– Nie życzę sobie żadnych głupstw na temat tej dziewczyny, Alicji. Mówiłem ci, że masz o niej zapomnieć? Jest bez grosza. Nie potrzebujemy nędzarzy w naszej rodzinie.

– Ależ ojcze, jak mogę wyprzeć się miłości? – spytał Carl błagalnym tonem.

Baron spojrział na syna z niesmakiem. Wiedział, że chłopak nie wywiąże się z zadania.

– Musisz tak uczynić. Jestem twoim ojcem i nakazuję ci posłuszeństwo.

Carl skinął głową w milczeniu.

– Ta mała żąda sprawozdania. Słyszałeś ją? I co mam zrobić? Ostrzegam cię, Carl. Daję ci czas do rozpoczęcia karnawału. Jeżeli ci się nie uda, będę musiał uciec się do innych sposobów. I – dodał złowieszczym tonem – jeśli nie nakłonisz Marilyn, by za ciebie wyszła, wcale nie ożenisz się z Alicją. Nie pozwolę, by w moim Casa Grande zamieszkała dziewczyna ze zubożałej rodziny. Zrozumiałeś?

Carl wzdrygnął się, jakby ojciec zadał mu fizyczny ból. Dobrze wiedział, co Baron rozumie przez słowa „uciec się do innych sposobów”.

Jamie siedział na sofie, słuchając ostrych słów ojca. Zastanawiał się, dlaczego Baron jest taki rozgniewany. Przecież Marilyn zgodziła się ze wszystkim, co powiedział. Myśli Jamiego pożeglowały ku

zamówionym nowym żołnierzkom. Teraz ich liczba wzrosnie do osiemdziesięciu. Nie słyszał, jak Carl słabym głosem obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy.

Mijały tygodnie. Marilyn spędzała dni w towarzystwie Jamiego, a wieczory w towarzystwie Carla. Dużo czasu poświęciła na zwiedzanie Casa Grande. Zbierała barwne tropikalne kwiaty i układała je w wazonach we wszystkich pokojach. Trafiła do kuchni i ostrożnie dała kilka wskazówek kucharce. Ku jej zdziwieniu Elena wcale jej w tym nie przeszkadzała. Kiedy zaczynała się nudzić, uczyła Jamiego gry na szpinecie. Nie był zdolnym uczniem. Wolał, by Marilyn grała, a on siedział i beczynn timeruchał. Dziwiła się, że nikt na plantacji nie oczekuje jego pomocy. Baron był zadowolony, że chłopak całe dni spędza w domu w towarzystwie dziewczyny.

Carl był gorliwym konkurentem. W długie spokojne wieczory prześadywał z Marilyn w pergoli pod tropikalnym księżycem. Był miłym towarzyszem po godzinach spędzanych z Jamiem. Carl, w przeciwieństwie do brata, był odcytany i dobrze zorientowany w sprawach kauczuku. Miał nawet własne pomysły na temat jego wykorzystania.

Marilyn lubiła wieczory z Carlem. Jego zainteresowanie plantacją było zaraźliwe i wkrótce z przyjemnością brała udział w dyskusjach na temat jego nowych pomysłów. Coraz bardziej przywiązywała się do Carla; był jej drogi, bo cenił jej intelekt. Rzadko się to zdarzało w epoce, gdy kobiety chwalone były za maleńkie stópkimer, szczupłe kostki, cieką talię i ładną buzię. Mając takie zalety, kobieta nie potrzebowała rozumu. Kobiety rozumne wcale nie cieszyły się powodzeniem.

Marilyn zdawała sobie sprawę, że Carl kilkakrotnie był bliski poproszenia jej o rękę. Zrećhnie jednak unikała ostatecznej konfrontacji. Lubiała Carla, ale nie kochała go. Jego zabiegi stały się dla niej uciążliwe. Nie chciała go zranić, ale musiała mu powiedzieć prawdę: poradzić, by ulokował uczucia gdzie indziej.

Uważnie słuchała wykładów Jamiego i Carla na temat dżungli. Baron wreszcie pozwolił jej na samodzielną jazdę konną.

Marilyn wstała wcześniej, z poczuciem, że to jej pierwszy dzień wolności. Bo była to wolność! Może pojechać tam, dokąd zechce i robić to, na co będzie miała ochotę. Prawdę mówiąc, wystarczyło jej, że pojedzie sama, bez Jamiego i Carla. Była tak podniecona, że z trudem pozapinała haftki stroju do konnej jazdy. Cicho wymknęła

się z pokoju. Wybierała się na plantację Sebastiana Rivery, o dumnej nazwie Regalo Verdad. Właśnie otrzymała liścik od pani Quince. Zawiadamiła ją o bieglej szwaczce, która była gospodynią u Sebastiana. Z listu wynikało, że Anna jest gotowa uszyć stroje dla obu pań. Pani Quince miała czekać na Marilyn na plantacji Sebastiana. Przybyła tam poprzedniego dnia i została na noc.

Marilyn wybiegła z domu i radośnie pospieszyła do stajni. Świtało. Spojrzała na różową jutrenkę i zadrżała. Zanim koń będzie gotowy do drogi, nastanie dzień. Osiodłała jabłkowitego wierzchowca. Z trudem powstrzymywała chęć obejrzenia się, czy ktoś nie nadchodzi, by ją zatrzymać. Dosiadła konia i lekkim kłusem opuściła podwórze. Na ścieżce przez dżunglę spięła konia ostrogami. Poczła się wolna, jak wielobarwne ptaki szybujące w gąszczu. Ostrożnie wybierała drogę wśród gałęzi winorośli. Dobrze siedziała w siodle i było jej wygodnie. Zjadła dojrzałą papaję i wypluła pestkę. Jechała szybko i po upływie godziny znalazła się na terenie plantacji Sebastiana Rivery.

Wstrzymała konia. Z długiego podjazdu przyglądała się posiadłości Sebastiana. Dom miał osobowość właściciela. Czuło się, że żyjący tu ludzie dbają o swoją siedzibę. Nie widać było wałęsających się kur ani brudnych, zaniedbanych dzieci. Owszem, byli tam ludzie. Poruszali się wolno, bo powolność jest cechą Indian. Wszyscy byli czysti i uśmiechnięci. Małe dzieci spoglądały na nią z ciekawością, a wysoki muskularny mężczyzna odebrał z jej rąk cugle.

– Witamy panienkę w Regalo Verdad – powiedział, odsłaniając białe zęby w szerokim uśmiechu i uklonił się jej. Marilyn także się uśmiechnęła. Małe dziecko wzięło ją za rękę i poprowadziło ku wielkim ozdobnym drzwom.

Marilyn spojrzała na dziecko.

– Witaj – powiedziała z uśmiechem. – Jak ci na imię?

– Mary. A panience? – spytała dziewczynka w czystej angielszczyźnie.

– Marilyn Bannon. Mów mi Marilyn.

Mary uśmiechnęła się onieśmielona.

– Jest pani bardzo ładna – zauważyła z błyskiem w czarnych oczach.

– Ty także jesteś bardzo ładna. Lubię małe dziewczynki z mysimi ogonkami – powiedziała Marilyn, pociągając dziewczynkę za cienki warkoczyk.

– Co to jest mysy ogonek? – spytało dziecko.

Marilyn roześmiała się. Ujęła w dłoń swój gruby warkocz i wyjaśniła, że mysi ogonek to żartobliwa nazwa warkoczyka. Dziewczynka zachichotała, słysząc nowe słowo, a potem zaczęła je powtarzać, aby się nauczyć. Drzwi domu otworzyła gospodyni. Wprowadziła Marilyn do chłodnego pokoju, gdzie pani Quince popijała kawę, siedząc obok gospodarza.

Podobieństwo Sebastiana do Barona było uderzające. Ten sam kwadratowy podbródek, tak samo osadzone oczy. Marilyn odwróciła wzrok od jego twarzy.

Na jej widok Sebastian wstał i powitał ją w swoim domu, ale jego oczy pozostały chłodne i dalekie. Wkrótce przeprosił panie i pozostawił je same. Poinformował Annę, że wróci w porze lunchu. Ciemnoskóra kobieta uśmiechnęła się i powiedziała:

– Kiedy pan wróci, Sebastianie, lunch będzie gotowy. Doskonale pan wie, że potrafię zajmować się dwiema sprawami naraz.

Sebastian uśmiechnął się i jego przystojna twarz całkowicie się zmieniła. Widząc to, Marilyn pozazdrościła gospodyni przyjaznych stosunków z Sebastianem. Dlaczego nie uśmiechał się tak do niej?

Po jego wyjściu panie rozpoczęły ożywioną dyskusję o strojach karnawałowych.

– Co pani planuje na karnawał, pani Quince? A może to jest tajemnica?

– Nie trzymam tego w tajemnicy, Marilyn. Nie mam zamiaru się przebierać. Jestem już na to za stara. Wystąpię w swojej zwyczajnej, nieinteresującej postaci.

– Nie jest pani wcale stara, pani Quince! Pani jest ponadczasowa i z całą pewnością nie jest pani zwyczajna.

– Ona ma rację, pani Quince – wtrąciła się Anna. – Otacza panią szczególna, królewska aura. Przecież jest pani najbardziej szanowaną osobą w Manaus! – A potem zwróciła się do Marilyn. – Uważam, że pani Quince nie musi się przebierać. Ale pani powinna. Czy już się pani na coś zdecydowała? Ma pani postawę bogini. Czy przebranie za Dianę, boginię łowów, odpowiadałoby pani?

Marilyn zaniemówiła z wrażenia.

– Świetnie, a więc załatwione! – wykrzyknęła pani Quince. – Będziesz Dianą.

Anna przyjrzała się Marilyn i powiedziała:

– Szyjąc dla pani kostium, przejdę samą siebie. To będzie drobna przysługa za dobroć, jaką pani okazuje mojej córeczce.

Pani Quince wyjaśniła, że Anna jest matką Nessie.

Minęło południe i Anna poszła do kuchni.

– Powiedz mi, moje dziecko, jak ci się podoba w Regalo Verdad? Po portugalsku oznacza to Dar Prawdy.

– Bardzo – odparła Marilyn szczerze.

– Sebastian oddaje plantacji całe swoje serce i całą duszę. Myślę, że pracuje ciężiej niż jakikolwiek mężczyzna w Brazylii.

Po pewnym czasie Anna zaprosiła je na lunch. Obie panie poszły za nią do jadalni, gdzie wkrótce pojawił się Sebastian. Wskazał im miejsca, a sam zajął krzesło u szczytu stołu. Pochylił głowę i zmówił modlitwę. Lekki posiłek składał się ze świeżej ryby w jarzynach i smakował wyśmienicie. Na deser podano ananasa i sałatkę z guawy. Nie obyło się bez mocnej brazylijskiej kawy.

– Mój drogi Sebastianie – powiedziała pani Quince, znów wcielając się w rolę swatki – może zabierzesz Marilyn na przejażdżkę konną wokół plantacji? Anna wkrótce skończy pracę nad jej suknią.

Słyszając to, Marilyn stanęła w pąsach. Sebastian zmarszczył brwi, ale był dżentelmenem i usłuchał starszej pani. Powiedział, by Marilyn zaczekała na werandzie, aż osiodłają jej konia. Po kilku minutach wrócił. Marilyn spojrzała na niego.

– Przepraszam za panią Quince – powiedziała. – Jestem przekonana, że ma pan na głowie wiele innych spraw. Może odłożymy to na kiedy indziej. Skoro pani Quince nie chce, bym jej przeszkadzała, mogę posiedzieć na werandzie.

Sebastian spojrzał na złotowłosą dziewczynę i poczuł, że opuszcza go rezerwa.

– To będzie dla mnie wielka przyjemność, panno Bannon – powiedział. Pomógł Marilyn dosiąść wierzchowca.

– Ma pan wspaniałego konia, sir – powiedziała Marilyn przyjaznym tonem.

Sebastian skwitował to lekkim skinieniem głowy.

– Pojedziemy obejrzeć czworaki moich robotników. Chcę, aby poznała pani rodziców pozostałych dziewczynek, które służą w Drzewie Życia – powiedział chłodno.

Jechali w milczeniu. Wkrótce dotarli do małej osady. Wybudowane z kamieni chatki były czyste i starannie pobielone. Wszędzie bawiły się zdrowe i zadowolone dzieci. Kobiety w barwnych sukniach także wyglądały na szczęśliwe. Wszystko zdawało się być na swoim miejscu. Ludzie otoczyli Sebastiana. Uśmiechali się szeroko. Dla każdego miał dobre słowo. I do każdego zwracał się po imieniu. Wyciągnął ramię i uniósłszy małego Indianina, posadził go na koniu.

Spiął wielkiego ogiera ostrogami i wśród chichotów objechał placyk pośrodku wioski. Matka chłopca uśmiechała się z sympatią do właściciela plantacji. Marilyn odczuła podziw dla towarzyszącego jej mężczyzny. Sebastian zсадził chłopca z konia i zawołał coś po indiańsku. Pojawiły się trzy kobiety i patrzyły wyczekująco. Sebastian przedstawił im Marilyn. Powiedział, że mieszka w Drzewie Życia i zna ich córeczki.

Na twarzach kobiet odmalowały się rozpacz, nadzieja i miłość. Milczały. Stały nieruchomo i czekały, co powie Marilyn. Słowa uwięzły jej w gardle. Spojrzała na Sebastiana.

– Mój Boże, co mam im powiedzieć?

Sebastian rzucił jej kpiące spojrzenie. Marilyn zorientowała się, że nie może liczyć na jego pomoc. Chrząknęła. Boże, pomóż mi – modliła się w myśli. Spojrzała w nieruchome twarze kobiet. Nagle wioska ucichła. Wszyscy czekali na słowa Marilyn.

– Dziewczynki są szczęśliwe. Ojciec John uczy je pisać i liczyć. Moriah jest zadowolona i często się śmieje.

Jedna z kobiet, najwyraźniej matka Moriah, uśmiechnęła się szeroko, a w jej oczach pojawiły się łzy. Dwie pozostałe spytały o Rosy i Bridget. Marilyn starała się mówić szybko. Jąkała się jednak z wrażeń. Sebastian widział, ile ją to kosztuje, ale nie odezwał się słowem. Skoro dziewczynki zmuszono do pozostania na plantacji Drzewo Życia, Marilyn jest za to odpowiedzialna w równym stopniu co pozostali właściciele.

Matka Moriah patrzyła na Marilyn ciemnymi oczami. Ze złocistych oczu Marilyn popłynęły łzy i zmoczyły policzki.

Marilyn znowu odchrząknęła.

– Dziewczynki wrócą do was z końcem karnawału – wykrztusiła. – Daję wam moje słowo.

Kobiety skupiły się wokół jej nóg i płakały ze szczęścia. Marilyn spojrzała na Sebastiana, ale wyraz jego twarzy był nieprzenikniony.

– Dopilnuję, żeby zwrócono im dzieci – powiedziała, zwracając się do niego. – Nie rzucam słów na wiatr, sir.

– Nie wątpię w pani słowo, panno Bannon – powiedział Sebastian ponurym głosem. – Ale Carlyle Newsome dał słowo, że nie odda dzieci rodzicom. Nigdy!

– A ja dałam panu swoje słowo, Sebastianie Rivera. I to zamyka sprawę – rzekła Marilyn stanowczo.

Spięła konia strzemionami i odjechała. Sebastian dogonił ją bez wysiłku. Na jego twarzy zagościł nowy wyraz. Przyglądał się dumnie

uniesionej głowie i pewnej sobie postawie złotowłosej dziewczyny. Widać było, że ma silny charakter. Może się mylił. Pokręcił głową. A jednak trzy dni temu słyszał, jak w mieście mówiono, że Marilyn ma poślubić Carla Newsome'a.

– Niech mi pani powie, panno Bannon, kiedy zamierza pani poślubić Carla?

– Obawiam się, że ma pan błędne informacje, sir. Nie mam zamiaru poślubić Carla. Ani teraz, ani w przyszłości. Słyszał pan nieprawdziwe pogłoski, sir. Nie wygląda pan na człowieka dającego wiare plotkom – odparła Marilyn z wypiekami na twarzy.

Sebastian spojrzął na dziewczynę i nie miał wątpliwości, że powiedziała prawdę.

– I jeszcze jedno, panie Rivera – dodała, wymawiając jego nazwisko, jakby to była nazwa choroby – jeżeli kogokolwiek poślubię, to wyłącznie z miłości. Nie zgodzę się na małżeństwo z rozsądku. Rozumie pan? Człowiek, którego poślubię, musi być prawdziwym mężczyzną i kochać mnie równie mocno, jak ja jego. – Tu Marilyn oblała się rumieńcem. Dobry Boże! Czy naprawdę wyrzekła te słowa na głos? Nieodrodna córka swego ojca, mówiła to, co czuła. Uśmiechnęła się. Pani Quince byłaby nią zachwycona.

Marilyn spięła konia. Odjechała, zostawiając zdumionego Sebastiana.

Przyglądał się jej z uśmiechem. Ognista dziewczyna! Może da sobie radę w tej piekielnej krainie.

Nagle Sebastian dostrzegł na jej drodze zwisające pnące winorośli. Marilyn, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, zmierzła do niego galopem. Sebastian wbił ostrogi w boki ogiera i pognął naprzód. Zrównał się z koniem Marilyn, chwycił ją i w ostatniej chwili ściągnął z siodła.

Marilyn znalazła się w bardzo niezręcznej sytuacji. Mogła się wyrwać Sebastianowi i upaść na ziemię, lub pozwolić mu, aby ją przyciągnął do siebie, w taki sposób, żeby jej twarz znalazła się tuż obok jego twarzy. Sebastian spoglądał na nią ciekaw, jaką podejmie decyzję. Skinęła lekko głową i Sebastian przygarnął ją do siebie.

Jego oczy śmiały się do Marilyn. Ona także się uśmiechnęła.

Sebastian poczuł bliskość dziewczyny i jego wesołość przygasła. Wdychał zapach jej włosów. Jaskrawe słońce sprawiało, że złote włosy lśniły niczym aureola. Przygarnął ją bliżej i zachwycił się jej jasną cerą i szczupłą kibicią. Poczuł przy udzie ciepło jej ciała. Zajrzał głęboko w oczy Marilyn i spostrzegł tańczące w nich złociste błyski. Na jej

gładkie policzki wypłynął różowy rumieniec. Sebastian pochylił głowę i dojrzał pulsującą tętnicę na jej szyi. Zdał sobie sprawę, że ją całuje. Ją, tę złotowłosą boginię, a ona oddaje mu pocałunek, w sposób, o jaki nie podejrzewał amerykańskiej dziewczyny. Głęboko, gorąco, namiętnie!

Usta Sebastiana były ciepłe, czułe, bezwzględne. Marilyn poczuła, że odpowiada mu z równą żarliwością. Nigdy dotychczas nie doznawała podobnych uczuć. Pragnęła, by ten cudowny ogień trwał.

Sebastian odsunął się pierwszy. Przepraszał ją zawstydzony. Jego twarz była nieprzenikniona. Marilyn poczuła wielkie zakłopotanie. Nie rozumiała. Czyżby Sebastian nie czuł tak wielkiej rozkoszy jak ona? Jeszcze raz spojrzała w jego oczy, ale nic z nich nie wyczytała.

Zarumieniała się zawstydzona. Najwidoczniej Sebastian przywykł do całowania kobiet; pocałunek niewiele dla niego znaczył! Skoro utrzymywał kochankę w swojej rezydencji w Manaus, o czym szepnął jej Jamie, z pewnością nie potrzebował Marilyn! Wstyd sprawił, że stała się kaśliwa.

– Proszę mnie wypuścić! – wysyczała jadowicie.

Teraz zdumiony był Sebastian.

Kobiety! – pomyślał z niesmakiem. Wszystkie są takie same! W jednej chwili wydaje ci się, że rozumiesz, czego pragną, a w następnej zachowują się zupełnie inaczej.

Mógłby przysiąc, że jego pocałunek sprawił jej przyjemność. Teraz decyzja należy do niej.

Marilyn wsiadła na swego konia i ruszyła w stronę plantacji. Dotarła na podwórze, ześliznęła się z siodła i popędziła do domu. Pani Quince i Anna patrzyły na nią ze zdumieniem.

Powściągliwość nigdy nie należała do cnót starszej pani.

– Co ci się stało, dziecko? – zawołała donośnie.

Marilyn patrzyła prosto przed siebie i milczała z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Do pokoju wszedł Sebastian. Spojrzał na kobiety. Natychmiast zaatakowała go gospodyni.

– Co pan jej zrobił? Co pan zrobił tej pięknej dziewczynie? Nie widzi pan, że to dama? Dlaczego jest taka zdenerwowana? Niech mi pan powie, wielki potworze! – krzyczała. – Co pan zrobił?

Sebastian znosił jej wymówki tak, jakby była jego matką.

– Święci pańscy, Sebastianie, co jej zrobiłeś? – spytała pani Quince. – Dziewczyna milczy i martwo wpatruje się w przestrzeń!

Sebastian przestąpił z nogi na nogę, mnąc w dłoniach kapelusz, zupełnie jakby był małym chłopcem.

– Ja ją tylko pocałowałem – powiedział nieśmiało.

– Ach, tak! – rzekła gospodyni z uśmiechem.

– Święci pańscy! – wykrzyknęła pani Quince.

Sebastian odtajał pod wpływem aprobaty dwóch kobiet.

Marilyn spojrzała na uśmiechniętego Sebastiana. Obie panie zdawały się być po jego stronie.

– Niech mnie pan nigdy więcej nie całuje! – zażądała wyniosłym tonem. – Kiedy zechcę być pocałowana, sama o tym powiem.

Jej oczy zaszyły łzami, które spłynęły po policzkach.

Sebastian spojrzał na kobiety. Teraz wszystkie trzy patrzyły na niego lodowatym wzrokiem. Złotowłosa dziewczyna płakała przez niego!

Potykając się, wybiegł z pokoju, mamrocząc coś o humorach kobiet. Pojedzie do Manaus, do swojej czarnookiej piękności. Ona przynajmniej nie miewa humorów.

Carl jechał obok ojca. Milczeli, zatopieni we własnych myślach. Carl, jak zwykle, rozmyślał o swojej Alicji. Dlaczego ta złotowłosa kobieta musiała przybyć z Ameryki i postawić go w tak niezręcznej sytuacji? Dlaczego nie została tam, gdzie było jej miejsce? Gdyby nie ona, może udałoby mu się przekonać ojca, że wspaniale jest mieć dobrze wychowaną żonę, ozdobę domu na plantacji? Teraz, kiedy Marilyn znalazła się w Brazylii, szansa na to była niewielka. Los okazał się przekorny, a Carl musiał przyznać, że Marilyn jest piękna. To jeszcze jeden powód, który utrudniał mu sprzeciw wobec żądań ojca. Nie powie mu przecież, że nie może skonstruować małżeństwa z Marilyn. Gdyby była brzydka, wszystko byłoby prostsze, bo ojciec cenił sobie urodę kobiet. Alicjo, Alicjo, dlaczego twój ojciec wpakował się w tak przykrą sytuację, a potem zszedł z tego świata, pozostawiając ciebie i twoją matkę, byście cierpiały za jego głupotę?

Baron rzucił okiem na swego starszego syna i z niesmakiem zaciśnął usta. Przypuszczał, że ten głupiec znów rozmyśla o tej małej myszce Alicji. Co ten głupiec w niej widzi. Baron odczuwał zawód, że syn tak mało troszczy się o Drzewo Życia i pragnie wprowadzić do domu zubożałą dziewczynę. Dlaczego nie rozumie, że poślubiając Marilyn, zapewni rodzinie pieniądze, a sobie piękną żonę, która będzie dzielić jego łożo? Na myśl o Marilyn poczuł żądzę, mimo że tak go rozgniewała. Marilyn była najpiękniejszą dziewczyną, jaką widział w Brazylii od czasu, gdy Elena była młoda. Elena, kiedyś tak piękna i słodka, teraz jest sztywna i zimna. Od czasu gdy o zmroku

wciągał ją do swego łóżka i cieszył się jej ciepłym i młodym ciałem, minęło wiele lat. Kiedy zwróciła się przeciwko niemu? Chyba zaraz po śmierci jego żony. Zakłopotany wzruszył ramionami. Kobiety zawsze pozostaną zagadką dla mężczyzn. Ale Marilyn, Marilyn jest warta zachodu. Stanowi nie lada gratkę. Jakże żałował, że nie jest już młody. W mig by ją przekonał, by została panią jego domu i panią jego namiętnych uczuć. Gdybyż Jamie był zdolny do...

– Ojciec – odezwał się Carl ściszym głosem – wiem, że nie chcesz rozmawiać na ten temat, ale dla mnie jest to bardzo ważna sprawa. Proszę cię, abyś mnie wysłuchał.

– Podejrzewałem, że rozmyślasz o tej szarej myszce. Już ci mówiłem, że nie życzę sobie rozmawiać na jej temat. To zamknięta sprawa! Masz obowiązki wobec Drzewa Życia i nie pozwolę, byś się z nich wykpił. Rozumiesz mnie, Carl? Nic nie jest równie ważne. Drzewo Życia to cały twój świat. Nie pozwolę, by stało się inaczej!

– Ale tym razem mnie wysłuchasz ojciec. Nie ma tu służby, która by nas podsłuchiwała, ani gości, którzy by nam przeszkadzali. Wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia.

Widząc stanowczość syna, Baron skinął głową i utkwiał wzrok w przestrzeni. Pozwolił Carlowi, by po raz ostatni rozmawiał z nim o Alicji.

– Kocham Alicję, ojciec. Czuję, że nie mógłbym bez niej żyć. Potrzebuję jej, ojciec. To nie z jej winy rodzina zubożała. To jej ojciec okazał się nieudolny. Musisz mi pozwolić na poślubienie Alicji. Kocham ją, ojciec. – Ostatnie słowa wypowiedział z łkaniem. Słumił je natychmiast, pamiętając, że ojciec nienawidzi emocji niegodnych mężczyzny.

– Jej ojciec był głupcem, a ona urodzi ci głupich synów. Załatwiając swoje sprawy, miałem z nim do czynienia i wiem z pierwszej ręki, jak bardzo brakowało mu zmysłu do interesów. Jak sobie wyobrażasz, skąd pochodziły pieniądze na ostatnie sześć dywidend wysłanych ojcu Marilyn?

– Więc to ty? Ty byłeś przyczyną bankructwa ojca Alicji! Droga Alicja powiedziała mi, że jej ojciec został oszukany. Jest jednak damą i kocha mnie, nigdy więc nie wspomniała o tym, kto go oszukał! Zrujnowałeś dobrą starą rodzinę, a teraz odmawiasz córce szansy nowego życia! Jak możesz być tak okrutny? Nie masz za grosz serca. Nie rozumiesz, że ja ją kocham?

– Twoje krzyki nie robią na mnie wrażenia. Nie ma nic ważniejszego od Drzewa Życia. Kiedy mój ojciec wydziedziczył mnie, była

to znacznie mniejsza obraza niż brak lojalności wobec plantacji. Dopiero, kiedy umarł, nie pozostawiając innych spadkobierców, mogłem po powrocie z Anglii zająć przysługujące mi miejsce na plantacji. Uważaj, Carl. Jeżeli będziesz się sprzeciwiał moim rozkazom, wyrzeknę się ciebie! Opuścisz plantację i poszukasz sobie miejsca w dżungli. Zapamiętaj sobie moje słowa! Nie chcę więcej rozmawiać na ten temat. Musisz podjąć decyzję i wytrwać przy niej!

Baron przyjrzał się wyrazowi twarzy syna i poczuł, że wygrał. Młody lekkoduch przestraszył się, że grozi mu utrata dziedzictwa. Tak, Carl był zbyt przywiązany do wygodnego życia i przyjemności związanych z majątkiem. Zrozumiał, że przegrał bitwę. Baron spojrział na zegarek i uśmiechnął się na myśl, co w tej samej chwili stało się w Regalo Verdad. Spiął konia ostrogami i odjechał tak szybko, że Carl nie spostrzegł uśmiechu na jego twarzy.

Sebastian zajrzał do pokoju i zobaczył Annę wynoszącą tacę po podwieczorku.

– Czy pani Quince i panna Bannon odjechały, Anno?

– Tak, sir. Przed chwilą. Gdzie się pan ukrywał?

– Nie bądź wścibska. – Uśmiechnął się. – Byłem w ogrodzie, żeby sprawdzić, jak idzie karczowanie dżungli. A więc odjechały? Nie słyszałem. Chętnie bym się z nimi pożegnał.

– Nie sądzę, by panna Bannon pragnęła pana zobaczyć, Sebastianie. Jestem przekonana, że odczuła wielką ulgę, nie żegnając się z panem.

– Tak – zgodził się Sebastian, wspominając odprawę, jaką dostał od Marilyn. – Z pewnością. Mimo to chciałem pożegnać panią Quince i przekazać jej mężowi wyrazy żalu, że nie mógł się do nas przyłączyć. Lepiej by było, gdybym ja także zajął się plantacją, zamiast zabawiać damy.

– Nalej mi kieliszek wiśniówki, Anno. Napiję się na werandzie – dodał, wychodząc na werandę i siadając na jednym z białych trzciniowych foteli.

Popijał wiśniówkę, przeglądając dokumenty, kiedy nadbiegł Jesus, nadzorca robotników.

– Niech pan szybko przyjdzie, panie Rivera! Mamy kłopoty!

– Jakie kłopoty, Jesusie? – zapytał przejęty Sebastian.

– W nowych pomieszczeniach do wulkanizacji gumy wybuchł pożar. Kiedy stamtąd odchodziłem, żeby pana zawiadomić, ogień był

prawie ugaszony. Większość zebranego soku została zniszczona, rozlana i spalona. Obawiam się, że jest nie do odratowania. Niech pan sam zobaczy, może będzie pan wiedział, co się da zrobić.

– Pożar? Jak to możliwe? Kadzie do wulkanizacji były dokładnie sprawdzane. Zadbalem o wszelkie środki ostrożności. Ktoś musiał przez niedbalstwo zaprószyć ogień. Ale kto?

Sebastian dostrzegł strach na twarzy nadzorcy. Mężczyzna zawałał się, zanim powiedział:

– Nie, panie Rivera. To nie było niedbalstwo. Ktoś celowo podłożył ogień. Jeden z robotników znalazł szmaty nasączone naftą.

– Celowo? Jak to możliwe? Gdzie byli ludzie, zajmujący się wulkanizacją?

– Pobito ich i związano. Żaden nie widział twarzy napastników. Mieli na głowach kaptury.

– Nie musisz nic więcej mówić, Jesusie. Doskonale wiem, kim są ci ludzie. W każdym razie wiem, kto ich wynajął. Ale nie mam na to dowodu.

– Mieliśmy szczęście. Gdyby nie przypadek, że wóz do przewożenia kauczuku stracił koło i transport opóźnił się o ponad dwie godziny, stracilibyśmy cały kauczuk, zebrany w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

– Tak, Jesusie. To prawdziwe zrzędzenie losu. Zwulkanizujemy kauczuk w starych pomieszczeniach. Będziemy gotowi na czas dostaw do Manaus. Nie traćmy ani chwili, bo strumienie wyschną, zanim przygotujemy ładunek. Chodźmy na miejsce pożaru.

8

Marilyn siedziała w swoim pokoju, obmyślając strategię działania wobec Barona. Była rozdrażniona, ponieważ jej wysiłki, by uwolnić dziewczynki, spełzły na niczym. Musiała teraz wymyślić jakiś sposób, by zaszachować Barona.

Otworzyła walizkę, do której spakowała dokumenty ojca. Przejrzała je, szukając papierów dotyczących tytułu własności Drzewa Życia. Natrafiła na zdania, których poprzednio nie zrozumiała. Postanowiła je wyjaśnić z pomocą ojca Johna. Nie miało sensu pytać Barona lub jego prawnika. Odpowiedzieliby jej, że to sprawy, którymi nie powinna zaprzętać „swojej ślicznej małej główki”. Tak, ojciec John będzie najodpowiedniejszą osobą.

Odkładając dokumenty do walizki, trafiła na dziennik ojca.

Otrząsając się ze smutnych wspomnień, otworzyła go na intrygujących ją stronach. Pomyślała o panu Quintonie, prawniku, który napisał do jej ojca, informując go o... no właśnie, o czym? Co takiego zakomunikował jej ojcu, że ten chciał zerwać umowę z Baronem? Z pewnością nie chodziło tylko o to, że Baron lekceważył *Ventre Livre* księżniczki Izabeli. Nie, to coś, czego Richard Bannon nie mógł wybaczyć. Zabijanie niewolników? Tak, to także. Ale chodziło o coś więcej; Marilyn była tego pewna. Jej oczy spoczęły na zdaniu: „w okrutny sposób pobił niewolnika na śmierć”.

Poczuła dreszcz na plecach. Mężczyzna o lśniących stalowych oczach był zabójcą.

Ostrożnie odłożyła dziennik i umieściła walizkę na dnie bielizniarki. Postanowiła zejść do kuchni i porozmawiać z Eleną. Może gospodyni powie jej, gdzie można znaleźć pana Quintona.

W kuchni było chłodno i ciemno, nie docierał do niej żar tropikalnego dnia. Elena przeglądała spiżarnię, sporządzając listę zakupów i wydając dyspozycje kucharce. Na widok Marilyn uniosła głowę i zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem.

– Eleno, chciałabym z tobą chwilę porozmawiać, jeśli masz czas. Chciałabym zadać kilka pytań. – Zaczęła nieśmiało, ale po chwili zbuntowała się; dlaczego jestem taka łagodna i potulna? Zła na siebie, dodała tonem nie znoszącym sprzeciwu. – I to zaraz!

Elena odłożyła ołówek i z pełną szacunku miną podeszła do Marilyn.

– Tak, panno Bannon, w czym mogę pani pomóc?

– Pamiętam, że mój ojciec opowiadał o swoim starym znajomym, panu Quintonie. Zastanawiałam się, czy będziesz mi umiała powiedzieć, gdzie mogłabym go znaleźć. Wiem, że był adwokatem ojca, a potem odszedł na emeryturę.

– Owszem, mogę pani pomóc, panno Bannon – odparła Elena, a w jej ciemnych oczach zapłonął ognik ciekawości. Marilyn odczuła zadowolenie, że udało jej się przełamać obojętność gospodyni.

– Pan Quinton był adwokatem rodziny Newsome za życia ojca naszego Barona. Bywał częstym gościem w starym Casa Grande. Po śmierci starego Barona i pożarze domu, już go nie widywałam. Przez wiele lat nawet nie wspominano o nim w tym domu. Baron nie chciał go tu widzieć. Wkrótce po śmierci starego Barona pokłócił się z panem Quintonem. Zapewniam panią, panno Bannon, że Baron nie byłby zachwycony pomysłem spotkania się z panem Quintonem. – W tonie Eleny zabrzmiała pogróżka.

– Nie dbam o to, czy Baron będzie zachwycony. Nie ma nade mną władzy, nie ma też prawa dyktować mi, z kim mam się spotykać. A teraz odpowiedz na moje pytanie, Eleno. Czy wiesz, gdzie mogę znaleźć pana Quintona?

Elena ściszyła głos do szeptu.

– Może go pani znaleźć w jego miejskiej siedzibie w Manaus. Crampton Avenue, jeśli się nie mylę. To duży dom z kamiennymi lwami u podjazdu.

– Dziękuję, Eleno. Zechcesz powiedzieć stajennemu, żeby osiodłał mi konia? Pojadę na przejażdżkę, jak zwykle.

Marilyn spięła konia obcasami. Nadszedł czas, by obejrzeć wioskę Indian i Murzynów. Sebastian nie powiedział na ich temat ani słowa. Marilyn chciała porównać warunki życia tutejszych niewolników z tymi, które widziała w Regalo Verdad. Czas zobaczyć, z czego czerpie pieniądze. Przypomniała jej się przejażdżka z Sebastianem i chwila, gdy znalazła się w jego ramionach. Poczuła, że się rumieni. Wiedziała, że ten rumieniec nie ma nic wspólnego z upałem. Była tak pogrążona w myślach, że nie spostrzegła Jamiego, dopóki nie zajechał jej drogi. Szybko wstrzymała wierzchowca i roześmiała się.

– Grosik za twoje myśli – zażartował Jamie.

– Myślę o kostiumie na bal karnawałowy – odparła z uśmiechem.

Na wzmiankę o balu i o kostiumach twarz Jamiego poweselała.

– Jak się ubierzesz? – spytał.

– Dowiesz się na balu – odparła. – Będziesz zaskoczony, kiedy mnie zobaczysz – powiedziała. – A jak ty się przebierzesz?

– Nie powiem ci – odparł tajemniczo. – Chcę, żebyś miała niespodziankę. Dokąd jedziesz?

– Chcę zobaczyć wioskę Indian. Pojedziesz ze mną?

Jamie sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Czy mój ojciec wie, dokąd się wybierasz? – zapytał nerwowo.

– Nie, Jamie. Nie potrzebuję pytać o pozwolenie, kiedy chcę obejrzeć ziemie, które w połowie należą do mnie – odparła oschle.

Jamie przyglądał się jej, nie wiedząc, co powiedzieć.

– To już niedaleko, zaraz za...

Marilyn usłyszała głosy. Stała w strzemionach, by dostrzec, co się dzieje na polanie. Kiedy podjechali bliżej, nie wierzyła własnym oczom. Nigdy w życiu nie widziała takiej nędzy. Na odgłos końskich kopyt hałasy ucichły. Dzieci, mężczyźni i kobiety znieruchomieli. Mieli na sobie łańchmany, ich twarze pokryte były strupami. Dzieci miały krzywe nóżki – niewątpliwą oznakę krzywicy. Patrzyli na przybyszów z nieukrywaną niechęcią. Marilyn dziwiła się, jak Jamie może być tak spokojny. To on budził takie emocje. Marilyn była tego pewna. Mężczyźni patrzyli bezmyślnie przed siebie. Kobiety stały nieruchomo, dzieci popłakiwały z głodu. Marilyn poczuła mdłości. Rozejrzała się po wiosce. Smród aż gryzł w oczy. Boże! Spięła obcasami konia i, wstrzymując oddech, rozpoczęła powolny objazd wioski. Murzyni byli oddzieleni od Indian, ale ich wioska była podobna. Jedyna różnica polegała na tym, że Murzyni wyglądali na bardzo chorych. Wzrok Marilyn padł na kopczyk ziemi za nędznymi chatami. Grób! Po chwili spostrzegła jeszcze dwa świeże kopczyki. Na placyk

wszedł wysoki Murzyn. W jaskrawym słońcu zaśniły na jego plecach pręgi od uderzeń bata. Opanowując nudności, Marilyn spytała, ilu ludzi jest chorych. Nie otrzymała odpowiedzi.

– Jamie! – zawołała. – Podjedź tu! Zapytaj, ilu jest chorych. Szybko!

Jamie spojrzał na nią gniewnym wzrokiem, ale usłuchał polecenia.

– Chyba dwunastu – odparł zwięźle.

– Czy coś dla nich zrobiono? – spytała Marilyn.

– Był u nich weterynarz – odpowiedział Jamie.

– Lekarz dla zwierząt? – spytała zdumiona Marilyn.

Jamie skinął głową.

– Powiedział, że są leniwi. Nie są chorzy, tylko nie chce im się pracować – odparł uradowany.

– Nie są chorzy! Gołym okiem widać, że chorują – powiedziała rozgniewana Marilyn.

Podjechała jeszcze kawałek. W najdalszym końcu polany dostrzegła zagrodę. Zobaczyła w niej kilkanaścioro małych dzieci, bawiących się w kurzu.

– Czemu są zamknięte w zagrodzie? – spytała Jamiego.

– Hodujemy je oddzielnie, bo są najlepsze. Dostają najlepsze jedzenie i najlepsze ubrania. Są najlepsze z miotu – zachichotał Jamie.

– Przecież to niemowlęta! – wykrzyknęła Marilyn wstrząśnięta do żywego.

Spojrzała na stojące w milczeniu kobiety. Na ich twarzach malowały się strach i nienawiść. Nienawiść mogła zrozumieć, ale czego się obawiały. Jej i Jamiego? Chyba się nie bały, że Marilyn odbierze im dzieci?

Marilyn nigdy w życiu nie widziała podobnej nędzy i cierpienia. W tych ludziach nie było nawet iskielki nadziei. Los przeznaczył im tylko harówkę ponad siły, głód i choroby. Marilyn przypomniała sobie wioskę robotników na plantacji Sebastiana. Jakaż była między nimi różnica! Zastanawiała się, czy Sebastian wie, w jakich warunkach żyją tutejsi niewolnicy. Miała nadzieję, że nie. Nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że jest za to w połowie odpowiedzialna.

– Dlaczego tak się złościysz? – zapytał Jamie.

– Uważasz, że nie mam powodu?

– Ale dlaczego? To przecież tylko niewolnicy – powiedział Jamie, strzelając lekceważąco palcami.

– Nie waż się więcej mnie lekceważyć, Jamie. Słyszysz? Nigdy więcej! – krzyknęła Marilyn i odjechała z polany. – Nigdy więcej! – powtórzyła.

Jamie ruszył za nią. Wiedział, że jest wściekła, tak jak czasami wściekła była Elena. Nie rozumiał dlaczego. Przecież robił to samo, co jego ojciec. Dlaczego tak się rozzłościła?

Marilyn cierpiała fizycznie i moralnie. Na myśl o swoim szczęśliwym i dostatnim życiu czuła niesmak. Wiedziała, że cały jej dobrobyt opiera się na pocie i nędzy tych gnębionych ludzi. Niewielką pociechą była myśl, że jej ukochany ojciec nie zdawał sobie sprawy, skąd pochodzi jego majątek. Gdyby tylko wiedział, na pewno wprowadziłby na plantacji duże zmiany. Zdała sobie sprawę, że jest bardzo podobna do ojca. Skoro on zrobiłby coś, by poprawić sytuację, ona także musi to uczynić. Ale teraz czuła się bezsilna. Nie mogła popsuć wszystkim karnawału. Kiedy karnawał dobiegnie końca, weźmie sprawę w swoje ręce. Jeżeli nie uda jej się w pojedynkę, poprosi o pomoc panią Quince i jej męża. Nie może żyć z takim ciężarem na sumieniu. Jeśli będzie musiała, zwróci się do Sebastiana Rivery. I do Barona! Jeszcze nie pokazał jej sprawozdania ze stanu majątku!

Jamie odprowadził spienione konie do stajni. Marilyn weszła na werandę i opadła na trzcinowy fotel. Po kilku minutach zapadła w głęboki sen. Nie wiedziała, jak długo spała. Obudziły ją głosy. W pierwszej chwili była zakłopotana, że podsłuchuje rozmowę. Jamie i Elena kłócili się o coś w głębi domu. Marilyn zdawała sobie sprawę, że powinna im dać znać, że nie śpi, ale upał zupełnie ją obezwładnił. Nie miała siły się ruszyć. Spróbuje nie słuchać. Niestety, podniesiony głos Jamiego rozbrzmiewał donośnie.

– Wszyscy są zbyt zajęci, żeby się ze mną bawić, Eleno! – skarżył się płaczliwie. – Ojciec i Carl nie mają dla mnie czasu. Ty także masz pracę. Marilyn jest rozgniewana z powodu Indian i nie chce ze mną rozmawiać. Dziewczynki powiedziały, że mają inne zajęcia. Czuję się opuszczony i samotny.

– Jamie – odparła Elena łagodnie. – Weź żołnierzyki i ustaw na werandzie. Wkrótce zrobi się chłodniej i przyniosę ci coś do picia.

– Nie chcę ustawiać żołnierzyków i nie chcę pić. Chcę, żeby ktoś się ze mną pobawił.

– Służba jest zajęta. Mają mnóstwo pracy, Jamie. Musisz wreszcie zrozumieć, że na plantacji trzeba pracować. Każdy ma swoje obowiązki. A zresztą chłopcy powinni się bawić z chłopcami.

– Tu nie ma żadnych chłopców – westchnął Jamie. – A Moriah jest taka ładna i miękka w dotyku.

Elenę przeszedł dreszcz.

– Dotykałeś jej, Jamie? Jamie, odpowiedz mi. Dotykałeś Moriah?

- Uszczypnąłem ją w ramię – nadaśał się Jamie.
- Ile razy ci powtarzałam, Jamie? Ile razy cię ostrzegałam, że Indianie są bardzo źli, kiedy „się bawisz” z ich córeczkami?
- Głupi Indianie. Nikt mnie nie widział.

Marilyn siedziała cichutko. Zastanawiała się nad dziwną rozmową Eleny i Jamiego. Wyglądało na to, że Jamie jest opóźniony w rozwoju. Jej serce zamarło. Niemożliwe. A jednak. Nagle przypomniała sobie, jak widziała Jamiego ciągnącego Moriah za warkoczyki. Przypomniała sobie wyraz przestrochu na twarzach dziewczynek, kiedy rzucił jakiś żarcik. Marilyn myślała, że to dlatego, że Jamie jest synem Barona. Teraz przebiegł ją dreszcz, teraz już rozumiała.

Nagle usłyszała tupot. Chłopak zbiegł po schodach, nie zwracając uwagi na rozpaczliwe krzyki Eleny.

- Jamie, wracaj! Wracaj, Jamie!

Marilyn siedziała nieporuszona. Nie chciała się wtrącać w rodzinne sprawy. Słuchając łkań Eleny, zaczęła rozumieć wiele rzeczy.

Elena opadła na twarde krzesło i zapłakała. Biedny Jamie. Czyżby była dla niego zbyt surowa? Nie, Jamie wreszcie musi nabrać rozumu, bo w przeciwnym razie będzie miał kłopoty. Mogą go nawet odesłać z domu. Na myśl o życiu bez Jamiego rozszochała się na dobre. Był dla niej wszystkim. Życie bez Jamiego byłoby nie do zniesienia. Jakie to dziwne, pomyślała. Teraz kocham go, jakby był moim rodzonym synem. Kiedyś nienawidziłam tego tłustego, różowego niemowlaka. Przypomniała sobie zmarłą lady Newsome. Baron biorąc sobie Elenę na kochankę, okłamał ją, mówiąc, że nie sypia już ze swoją angielską żoną. A potem angielska żona zaszła w ciążę, a Elena została jej pokojówką. Wróciła pamięcią do narodzin Jamiego i tego jednego dnia, kiedy lady Newsome i Baron pojechali powozem na sąsiednią plantację. Jamie został pod opieką Eleny. Rozzłościła się i zostawiła dziecko samo. Kiedy wróciła, Jamie leżał na podłodze nieprzytomny. Odzyskał przytomność po czterech dniach. Nigdy też nie zapomniał dnia, w którym Baron przyszedł do niej i oświadczył, że musi się pozbyć jego dziecka, które nosiła w swym łonie. Powiedział, że nie życzy sobie w domu bękartów. Elena pozbyła się własnego dziecka i zajęła małym synem Barona.

Wkrótce stało się oczywiste, że Jamie nie rozwija się tak dobrze, jak Carl, kiedy był w jego wieku. Był opóźniony w rozwoju. Miał ciało mężczyzny, a umysł dziecka. Elena pamiętała, jak lady Newsome na wiadomość, że Jamie jest niedorozwinięty umysłowo, zaczęła chorować i zupełnie odwróciła się od syna. Po roku umarła. Od tamtej pory

Elena znenawidziła Barona. Czując się winna, że zaniedbała dziecko, zaopiekowała się Jamiem. Wkrótce pokochała go tak, jak kochałaby dziecko, które kiedyś nosiła w swym łonie.

Przypomniała sobie czasy, kiedy została kochanką Barona. Była dumna, ale bardzo w nim zakochana. Poczula dreszcz przebiegający ciało na myśl o jego kłamstwach.

A teraz to. Jamie interesuje się małymi Indiankami, myślała. Mam nadzieję, że panna Bannon znajdzie sposób i dziewczynki zostaną odesłane do rodziców. Tak byłoby najlepiej dla wszystkich. Zwłaszcza dla Jamiego. Przynajmniej pozbyłby się pokus. Elena opowiedziała Baronowi o apetytach Jamiego, a on tylko się roześmiał:

– Zaskakujesz mnie, Eleno! I jak delikatnie dobierasz słowa! Powiedz no mi – ściszył głos do szeptu i boleśnie ścisnął jej łokieć – dlaczego starasz się być taka delikatna? Przecież obydwójce pamiętamy chwile, kiedy wyzbywaliśmy się wszelkiej delikatności, by zyskać coś znacznie bardziej podniecającego. – Jego szare oczy spoglądały na Elenę znacząco, a ona czuła na policzkach bolesny rumieniec. – A co do Jamiego – ciągnął Baron, wyraźnie zadowolony z zakłopotania Eleny – jak sądzisz, po co zgromadziłem majątek, jeśli nie po to, by móc dać synowi to, czego pragnie?

Elena szybko wyswobodziła się z jego uścisku. Odchodząc, słyszała okrutny śmiech Barona.

9

Sebastian wbiegł do swego miejskiego domu, przeskakując po dwa stopnie. Po wielu tygodniach nieobecności nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy Aloni. Awantura w dokach nie poprawiła mu humoru, ale wiedział, że Aloni ukoji jego zszarpane nerwy.

Otworzył drzwi, a dziewczyna wybiegła mu na powitanie. Jej drobna figurka znalazła się w ramionach Sebastiana. Aloni całowała go, szepcząc czułe słówka.

– Chodź – powiedziała, odrywając się od Sebastiana. – Przygotuję ci coś zimnego do picia.

– Potrzebuję czegoś innego, Aloni – wyszeptał ochryple, przyciągając ją do siebie.

Aloni zachichotała uwodzicielsko.

– Och, mój silny, przystojny panie, powiedz Aloni, czego ci potrzeba. Powiedz mi, Sebastianie – drażniła się z nim przekornie.

– Ty mała figlarko – odparł, czując dobrze znane ciepło.

Aloni uciekła przed nim na schody, wiodące do sypialni. Sebastian dogonił ją w kilku krokach, śmiejąc się z jej gierek. Ten rytuał nigdy nie przestawał go bawić.

Wbiegł za nią na szczyt schodów i patrzył, jak po kolei wyrzuca ubrania przez otwarte drzwi sypialni, przy akompaniamencie namiętych westchnień.

Najpierw zobaczył pantofelki Aloni i jej halki; kolejne fatalaszki sfruwały coraz szybciej. Sebastian schwytał koszulkę, podziwiając biegłość Aloni.

Kiedy na podłogę opadła ostatnia sztuka bielizny, Sebastian wszedł do mrocznej sypialni. Pomimo popołudniowego upału, panował tu chłód dzięki zasuniętym roletom. Kiedy oczy przywykły do półmroku, Sebastian ujrzał Aloni leżącą na łóżku. Stał naprzeciw niej i zaczął zdejmować koszulę. Spoglądali na siebie spod opuszczonych rzęs. Sebastian zajął się rozsznurowywaniem spodni. Aloni oblizła wargi koniuszkiem różowego języka. Sebastian, jak zwykle, był pod wrażeniem jej urody. Jej szczupłe, jędrne ciało nie przestawało go podniecać. Jej zmysłowe usta obiecywały spełnienie. Jej lśniące oczy szacowały go bezwstydnie i ze znawstwem. Aloni wiedziała, jakie wrażenie robi na Sebastianie jej uroda i uważała ją za swój wielki atut.

Serce Sebastiana biło szybciej, gdy z zachwytem przyglądał się piersiom Aloni i czekoladowym brodawkom. Spuściła oczy i wyciągnęła ku niemu otwarte ramiona.

Sebastian stał przed lustrem. Odwracał oczy od swego odbicia, które przypominało mu największego wroga, Barona. Spostrzegł w lustrze sylwetkę Aloni. Przyglądała mu się zaniepokojona. Cierpliwie znosił jej pytania. Słyszał je tak często.

– Czy Aloni nie jest wystarczająco ładna? Dlaczego nie mogę pójść z tobą? Wstydzisz się swojej Aloni?

Będzie tak marudziła, dopóki Sebastian nie ubierze się i nie wyjdzie. Bez niej.

Nagle przestraszyła się, że wyrzuci ją ze swego domu. Szybko zmieniła taktykę. Stała się znów słodką i cierpliwie czekającą Aloni.

– Myślę, że może Aloni będzie musiała odejść – powiedziała przez łzy.

Sebastian odwrócił się od lustra i spojrział na nią zdumiony.

Spostrzegła jego pytające spojrzenie.

– To prawda. Myślę, że Aloni będzie musiała odejść. Mój Sebastian myśli o innej.

– Co ty opowiadasz, Aloni? Nie myślę o innej. – Jego słowa jeszcze nie przebrzmiały, gdy zdał sobie sprawę, że kłamie. Aloni miała rację; kochając się z nią, myślał o Marilyn. W pewnej chwili omal nie powiedział jej imienia.

– Czuję to. Sebastian znalazł sobie inną. Czy to jedna z owych białych jak mleko, przekarmionych dam, które widzisz w operze? Nie, Sebastian nie zainteresowałby się tłustą kobietą. A może –

dodała nieśmiało – to ta złotowłosa dziewczyna, o której mówiono na targu?

Sebastian gorąco zaprzeczył tym przypuszczeniom i oświadczył, że nie chce ich więcej słuchać.

– Tak – upierała się Aloni płaczącym tonem. – To ta złotowłosa dziewczyna!

Zły, że kochanka tak go rozgryzła, włożył surdut i wyszedł z pokoju.

Aloni wybiegła za nim, tłumiąc łkanie. Sebastian poczuł przypływ gniewu i miał ochotę uderzyć ją, aby nie słyszeć więcej oskarżeń. – Co we mnie wstąpiło, pomyślał zawstydzony. – Czyżbym postradał zmysły? To wszystko przez Marilyn Bannon.

– Muszę załatwić ważne sprawy, Aloni. Wrócę wieczorem. Przygotuj coś lekkiego na kolację. Może wyjdziemy potańczyć do Chancor Gardens. Miałabyś ochotę?

Wiedział, że będzie miała. Zawsze go błagała, żeby z nią wychodził. – Aloni nie potrzebuje tych wszystkich pięknych sukien. Aloni i tak nigdzie nie wychodzi – mawiała nadąsana.

Jej twarz pojaśniała. Podeszła do Sebastiana i zarzuciła mu rękę na szyję.

– Uszczęśliwiasz swoją Aloni! – powiedziała radośnie, całując go.

– Tak – zgodził się zwięźle. – Bądź gotowa, kiedy wrócę.

Wsiadł do powozu i rzucił stangretowi:

– Crampton Avenue. Jedziemy do pana Quintona.

Rozsiadł się wygodnie w powozie, który jechał zatłoczonymi ulicami.

Był zdenerwowany. Kiedy ta Aloni wreszcie wydorosłeje? Po chwili zastanowienia, doszedł do wniosku, że jest nią znudzony od czasu powrotu ze Wschodu. Od spotkania Marilyn Bannon. Do diabła, zaklął w myślach. Ta złotowłosa diablica miała swoje sposoby, aby mu zaleźć za skórę! Opadł na oparcie i oderwał myśli od Marilyn, wspominając popołudniowe targi z kupcami kauczuku.

Na miejscu wyskoczył z powozu i skierował się do budynku z czerwonej cegły, który pan Quinton nazywał swoim domem.

Służący Victora Quintona uśmiechnął się z zadowoleniem na widok Sebastiana. Stanley służył u rodziny Quintonów od wielu lat i wiedział, jak bardzo pan Quinton nudzi się po przejściu na emeryturę. Odwiedzali go nieliczni starzy przyjaciele, a Sebastian zawsze był jednym z jego ulubieńców.

– Pan Quinton właśnie kogoś przyjmuje, panie Rivera. Ale jestem pewien, że spotkanie wkrótce dobiegnie końca. Zechce pan udać się do salonu i wypić szklaneczkę brandy?

– Tak, Stanley. Z przyjemnością. Ma gościa, powiadasz? Kogoś, kogo znam?

– Nie wiem, proszę pana. Nigdy przedtem nie widziałem tej damy, chociaż pan Quinton był bardzo zadowolony, kiedy ją zaanonsowałem.

Sebastian zwalczył chęć, by wykorzystując przyjaźń Stanleya, wydobyć z niego nazwisko owej damy. Przyjął kieliszek brandy i zapalił krótkie cygaro.

Po niedługim czasie drzwi do salonu otworzyły się i pojawił się pan Quinton w towarzystwie Marilyn Bannon.

Na widok Marilyn Sebastian spochmurniał.

– Sebastian! Jakże się cieszę, że cię widzę! Kiedy przyjechałeś do Manaus?

Sebastian odpowiedział przyjacielowi, nie odwracając wzroku od Marilyn.

– Ach – zawstydził się pan Quinton. – Panno Bannon, pozwoli pani, że jej przedstawię Sebastiana Riverę.

– Pan Rivera i ja już się poznaliśmy. Dziękuję panu, panie Quinton. Jak się pan ma, panie Rivera? – rzuciła obojętnym tonem.

– Dziękuję, dobrze. A pani, panno Bannon?

– Też dobrze.

Nastąpiła chwila milczenia. Pan Quinton zdumiał się, że tych dwoje młodych ma sobie tak niewiele do powiedzenia.

– Dziękuję, że mnie pan przyjął, panie Quinton. Wkrótce znów się do pana odezwę – cicho powiedziała Marilyn.

Sebastianowi wydawało się, że Marilyn spogląda porozumiewawczo na starego prawnika.

Po wyjściu Marilyn, pan Quinton nalał sobie kieliszeczek brandy.

– Nie wiedziałem, że znasz pannę Bannon, Victorze. Jesteś starym hulaką. Powinienem się być domyślić, że znasz wszystkie ładne kobiety przybywające do Manaus.

Victor Quinton spojrział na niego poważnym wzrokiem.

– Chcę, żebyś się nią zajął, Sebastianie.

Sebastian omal się nie zachłysnął.

– Chyba nie mówisz poważnie, Victorze! Ona jest bardzo samowolna!

Zaskoczony nagłym wybuchem, Victor Quinton przyjrzał się Sebastianowi.

– Możesz to chyba zrobić dla starego przyjaciela. Przecież nie stronisz od ładnych kobiet.

– Poznałem pannę Bannon i zgadzam się z opinią, że jest ona ładną kobietą. Niestety, również bardzo przebiegłą.

Sebastian opowiedział przyjacielowi, jak poznał Marilyn. Krzywiąc usta z niesmakiem, opisał swoje rozczarowanie, które poczuł na wiadomość, że Marilyn nie jest gościem pani Quince.

– Zapewniam cię, Victorze, gdybym wiedział, że celem podróży Marilyn jest Drzewo Życia, trzymałbym się od niej z daleka. A teraz dowiaduję się, że jest ona współwłaścicielką plantacji, na której w nieludzki sposób wykorzystuje się niewolników.

– Zastanów się, Sebastianie. Dziewczyna jest tutaj zaledwie kilka tygodni. Z całą pewnością nie możesz jej winić za warunki, w jakich żyją Indianie na plantacji. Proszę, rozważ to. Dziewczyna napyta sobie biedy. Doświadczenie podpowiada mi, że będzie potrzebowała przyjaciela. Czy twoi informatorzy powiedzieli ci również, że usiłuje doprowadzić do tego, by dzieci z plantacji Barona zwrócono rodzicom? Czy powiedzieli ci, że Marilyn jest zaszokowana warunkami życia niewolników w Drzewie Życia i tym, że czerpała zyski z ich nieszczęścia? – Widząc na twarzy Sebastiana wyraz zawstydzenia, pan Quinton nieco złagodniał. – Znałem jej ojca, Sebastianie. Richard Bannon na pewno by ci się spodobał. On nigdy by nie dopuścił do tego, co dzieje się na plantacji Barona. Miej litość nad dziewczyną i nade mną, Sebastianie. Pilnuj jej.

– Obawiam się, że zło już się stało, Victorze. Panna Bannon żywi do mnie uczucia równie przyjazne jak do jadowitego węża.

– Możliwe – odparł pan Quinton z błyskiem w oku. – Ale ty przecież potrafisz być bardzo dyskretny, prawda?

– Przypuszczam, że tak – odparł Sebastian z ciężkim westchnieniem.

Marilyn odrzuciła głowę na oparcie i potarła dłonią zmarszczone czoło. Tak wiele, a jednak nic. Pan Quinton nie wyjaśnił jej wszystkich tajemniczych zapisków w dzienniku ojca.

– Jeszcze nie pora – upierał się. Wymogła jednak na nim obietnicę, że wkrótce wyjaśni jej więcej. Przypomniała sobie okrągłą i sympatyczną, ale zatroskaną twarz starego prawnika. Dlaczego mężczyźni wyobrażają sobie, że muszą chronić kobiety? Dlaczego nie chcą być szczerzy i otwarci? Mimo wszystko, pan Quinton bardzo jej pomógł,

wyjaśniając, co wynika z jej tytułu własności. Spotkanie zmęczyło Marilyn, a na dobitkę spotkała tam jeszcze Sebastiana!

Jej uwagę przykuł tumult na ulicy. Kilku Murzynów wznosiło wieże z *papier-mâche* pomalowane w krzykliwe kolory. Za dwa dni zaczynał się karnawał, a Marilyn była chyba jedyną osobą w Manaus, która nie cieszyła się z czekających ją rozrywek.

10

Marilyn siedziała przed lustrem, wprowadzając ostatnie poprawki do swego stroju.

Rozległo się energiczne pukanie i do pokoju weszła pani Quince.

– Marilyn! Nie jesteś gotowa? Państwo DuQuesnes oczekują nas za pół godziny. Musisz się pospieszyć. W przeciwnym razie będziemy spóźnione!

– Nie jadę! Może im pani powiedzieć, że rozboleła mnie głowa i nie jestem w stanie wziąć udziału w jeszcze jednej nocnej zabawie – odparła Marilyn wrogim tonem.

– Co też ty mówisz, moje dziecko? – wykrzyknęła pani Quince. – Nie możesz sprawić zawodu DuQuesnesom. Bez ciebie będzie nieparzysta liczba gości i państwo DuQuesnes nie otrząsną się z rozpaczy aż do następnego karnawału.

Marilyn nie mogła opanować śmiechu. Pocieszające, że pani Quince również czuła się znudzona i zmęczona niekończącymi się przyjęciami.

– Tylko dzięki pani ta parada towarzyska jest dla mnie znośna. Świadomość, że pani uczucia są podobne do moich, powstrzymuje mnie od ucieczki na plantację.

– Wiem, kochanie. Suzanne także tego nienawidziła. Niemniej jednak, jesteśmy oczekiwane. Obowiązek wzywa – westchnęła pani Quince.

– Jak pani znosi to coroczne karnawałowe szaleństwo? Zapowiadam pani, pani Quince, że jeśli jeszcze raz będę musiała uczestniczyć

w tym połączanym niczym, zafunduję sobie staromodne wapory. Ci ludzie napawają mnie niesmakiem! Skąd się wzięło ich nieznośne przekonanie, że mocne perfumy zastąpią kąpiel? – Marilyn uniosła buteleczkę perfum i cisnęła ją na łóżko. – Przysięgłam sobie, że nigdy więcej się nie uperfumuję. A biżuteria! – krzyknęła. – Drogie kamienie samej królowej są blade i matowe w porównaniu z pierścieniami i zegarkami, noszonymi przez tutejszych mężczyzn! Nie wspomnę ozdób, z którymi obnoszą się kobiety! To takie ostentacyjne! Uważam to za niesmaczne i pozbawione gustu!

– Wiem, wiem, moja droga. Spróbuj ich jednak zrozumieć! Dzięki kauczukowi ci ludzie są niewyobrażalnie bogaci. Nie mają tu, na co wydawać swoich pieniędzy. Wydają je więc na domy i stroje. Naucz się im współczuć. Gdyby byli w swoich ojczystych krajach, w Ameryce lub we Francji, nie odczuwaliby potrzeby takiej ostentacji. Ale tutaj, w brazylijskiej głuszy, daje im to poczucie bezpieczeństwa.

– Pani to nazywa domami? Te przeładowane ozdobami mauzolea? Wolałabym żyć w krytej palmowymi liśćmi chatce niż w którymś z tych pretensjonalnych pomników złego gustu. Ozdobne sufity w salonach mogą konkurować z Kaplicą Sykstyńską. Ostatniego wieczoru u Beaumontów walczyłam z przesolonym i przyprawiającym o mdłości siedmiodaniowym posiłkiem. Czekałam tylko, kiedy suknia pani Griswald pęknie na jej obfitym biuście. Wszystko zaś odbywało się pod okiem słodko uśmiechniętego cherubina, pochylającego się na kamiennym piedestale. Obrzydliwość! Powiadam pani! Nigdy w życiu nie oglądałam równie nieprzyzwoitej sukni!

– To najnowsza moda prosto z Paryża – wyjaśniła pani Quince, klepiąc się po płaskiej klatce piersiowej. – Ach, gdybym została równie hojnie obdarzona przez naturę – dodała z żalem.

– Jak pani to wytrzyma, pani Quince? – wykrzyknęła Marilyn ze śmiechem. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Ukazywało skromny dekolt, który był jednak bardziej pociągający niż przesadne wycięcia sukien innych kobiet.

Marilyn, ze złotymi lokami spiętrzonymi nad gładkim czołem, wyglądała po królewsku. Jej cera lśniła zdrowiem, złociste oczy pięknie harmonizowały z szafirowym jedwabiem sukni.

Już miała ozdobić szczupłą szyję naszyjnikiem, ale zmieniła zdanie i zdecydowała się na małą topazową broszkę. Zadowolona ze swego wyglądu, wsunęła na wąskie stopy parę szafirowych pantofelków.

– Chodźmy, pani Quince. Nie możemy się spóźnić do państwa DuQuesnes.

Pani Quince uśmiechnęła się i obie opuściły sypialnię.

– Pani Quince, czy zechciałaby pani zapiąć mi te małe haftki? Nie mogę ich dosięgnąć! – zawołała Marilyn.

– Za chwileczkę, kochanie. Jeszcze nie jestem gotowa – odparła pani Quince.

Marilyn siedziała przed toaletką, wiążąc złotą wstążkę na pięknie splecionym warkoczu. Wróciły już z kolacji u państwa DuQuesnes i przebierały się na bal karnawałowy.

– Nigdy nie zrozumiem – mruzczała Marilyn pod nosem – dlaczego zaczynają bal o tak nieodpowiedniej porze. W pół do jedenastej – westchnęła głęboko. Nie miała ochoty iść. Wiedziała, że spotka tam Sebastiana.

– Złości mnie, że wszystkie dziewczyny w mieście spoglądają na niego cielęcymi oczami. Myślałby kto, że ten cały Sebastian to jakieś bóstwo – myślała. Nie przyszło jej do głowy, że ten gniew wynikał z zazdrości.

– Pan Rivera to, pan Rivera owo – mamrotała oburzona. – A on pławi się wśród zachwyków. Obrzydliwość!

Poprzedniego wieczoru widziała go na kolacji u Roswellów. Prawił tam tam komplementy pulchnej i chichoczącej córce właściciela domu, ku zadowoleniu pani Roswell, która uśmiechała się z wyższością do matek pozostałych dziewcząt. Dziewczyny zaś rzucały zawistne spojrzenia Nancy Roswell. A Sebastiana to bawiło! Obmierzły typ! Jakby naprawdę interesowała go ta nudziara Nancy!

Potem porzuci nieszczęsną zakochaną dziewczyninę i omami następną tymi samymi wypróbowanymi komplementami! Marilyn kilkakrotnie przyłapała Sebastiana na tym, że spoglądał w jej stronę. A raz zbliżył się do grupy dziewcząt, z którymi rozmawiała, i zaprosił do tańca Cynthię Taylor, skinąwszy głową wszystkim oprócz Marilyn!

Pani Quince weszła do garderoby i zastała Marilyn skrzywioną.

– Co się stało, moje dziecko? Żle się czujesz? Wiem, kaczka w sose była ciężko strawna, ale przecież ledwie jej skubnęłaś! – Na widok sukni Marilyn dodała: – Widzę, że Anna przeszła samą siebie. Wyglądasz prześlicznie, po prostu prześlicznie.

Marilyn zarumieniła się, słysząc te pochwały. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Prosta biała suknia skrojona w stylu cesarstwa, tak

bardzo popularnym za panowania Józefiny. Złota wstążka okalała dekolt w kształcie litery V i krzyżowała się poniżej biustu, aby kilkakrotnie opasać Marilyn w talii. Śnieżną biel lśniącego jedwabiu podkreślały ciężkie złote bransolety na ramionach i lekkie złote pantofelki. Stroju dopełniały miniaturowy łuk i strzała.

Pani Quince obejrzała Marilyn od stóp w złocistych pantofelkach po czubek złotowłosej głowy.

– Myślę, że starożytni nie mogli sobie wyobrazić piękniejszej Diany, bogini łowów.

– Proszę mnie nie nazywać pięknością, pani Quince. Doceniam pani uprzejmość, ale uważam, że pani zachwyt jest przesadny.

– Bzdury, moje dziecko. Kiedy się jest w moim wieku, ma się prawo szczerze wyrażać własne zdanie. Miej się dziś wieczór na baczności. Znajdziesz się w otoczeniu zachwyconych mężczyzn i rozżłoszczonych matek panien na wydaniu. Zauważyłam, jakie wrażenie wywierasz na kawalerach z Manaus. Zapewniam cię, że nie opędzisz się od chętnych, by z tobą zatańczyć.

Rosalie Quince przystąpiła do zapinania małych haftek z tyłu sukni Marilyn.

Pani Quince miała rację. Marilyn zdawała sobie sprawę, że dobrze wygląda w stroju uszytym przez Annę. Suknia podkreślała szczupłość jej sylwetki, a skromny dekolt tylko uwydatniał obfity biust.

– Pospiesz się, dziecko. Pan Quince czeka na nas na dole. – Marilyn w roztargnieniu słuchała przyjaciółki. – Ten człowiek jest przesadnie punktualny.

Podeszły do schodów. Pani Quince umilkła na widok męża. Marilyn nie po raz pierwszy była świadkiem ich pełnych miłości spojrzeń. Alenzo Quince był wysokim, siwowłosym mężczyzną o rumianych policzkach. Jego wyblakłe, niebieskie oczy spoglądały na żonę z nieustającą czułością. Alenzo w sposób oczywisty był nią oczarowany, a pani Quince odwzajemniała jego uczucie. Obrzucił komplementami błękitną satynową suknię żony i dopiero wtedy przyszło mu do głowy, by pochwalić kostium Marilyn.

Marilyn nie uznała tego za afront. Jak zawsze była zachwycona niegasnącym uczuciem, którym obdarzali się małżonkowie.

Kiedy dojeżdżali do domu Parradayów, którzy w tym roku wyprawiali bal karnawałowy, utknęli w korku tłoczących się powozów.

– O, Boże – powiedziała pani Quince zmartwionym tonem – a ja mam przyjmować gości. Należy to do obowiązków członka jury, oceniającego kostiumy.

Alenzo spojrział na żonę z uśmiechem, a Marilyn poczuła się współwinna opóźnieniu.

– To musi trochę potrwać, moja droga. Jeżeli nie uważasz, że to zbyt daleko, możemy tu zatrzymać powóz i przejść resztę drogi piechotą.

– Ach, Alenzo, po raz nie wiem który podziwiam twoją pomysłowość. Oczywiście, że pójdziemy piechotą! – Marilyn wiedziała, że pani Quince pierwsza wpadła na ten pomysł. Pozwoliła jednak, by mąż sądził, że to on jest jego autorem. Pan Quince wyskoczył z powozu i pomógł wsiąść obu paniom. Kiedy wydawał polecenia strażnikowi, Marilyn obróciła się w stronę pani Quince, która mrugnęła do niej porozumiewawczo. Następnie wszyscy trzej ruszyli w stronę domu państwa Parraday.

Podchodząc do wejścia, Marilyn spostrzegła dobrze znaną wysoką sylwetkę obok filigranowej, ciemnowłosej dziewczyny. Carl był tak zatopiony w rozmowie, że nawet nie zauważył Marilyn. Kiedy mijali parę, Marilyn usłyszała słowa Carla:

– Proszę cię, kochanie, spróbuj mnie zrozumieć. Baron żąda, bym to uczynił, a ja muszę być mu posłuszny. Będę się z tobą widywał możliwie jak najczęściej. Proszę cię, kochana, zrób to dla mnie.

Dziewczyna uniosła do twarzy chusteczkę, jakby ocierała łzy. Zakłopotana Marilyn zastanawiała się, co takiego powiedział Carl, że doprowadził nieszczęsną dziewczynę do płaczu. A potem zdała sobie sprawę, że zwracał się do dziewczyny „kochana i kochanie”. W pierwszej chwili doznała wstrząsu, widząc, że Carl interesuje się inną kobietą, chociaż w sposób oczywisty zaleca się do niej. Wkrótce poczuła ulgę na myśl, że go nie zrani, oświadczając, że nie ma zamiaru go poślubić. Kolejny raz doznała dziwnego uczucia, że na plantacji Drzewo Życia dzieją się jakieś tajemnicze sprawy.

Marilyn nie miała czasu zastanawiać się nad tym. Właśnie zbliżali się do jasno oświetlonego wejścia wspaniałego domu Parradayów.

Popatrzyła na tłoczących się gości i spostrzegła Barona, który wypatrywał powozu państwa Quince. Kiedy podeszli bliżej, Baron odwrócił się nagle i zauważył Marilyn. Przepchnął się przez ciżbę i podszedł do dziewczyny.

– Pięknie wyglądasz, Marilyn! – Skinął głową panu Quince, pochwalił suknię jego żony i dodał: – Wiem, że pełni tu pani obowiązki członka jury. Dotrzymam towarzysztwa Marilyn.

Rosalie Quince mruknęła słowa pożegnania i weszła po marmurowych schodach.

– Poczekajmy chwilę, aż zrobi się luźniej, Marilyn. Nie chciałbym, by cię stratowano.

Mówiąc to, ujął dziewczynę za ramię. Zaintrygowana tą poufałością Marilyn pytająco spojrzała na Barona. Zachowywał się tak, jakby nie stało się nic nadzwyczajnego.

– Jesteś piękna – powiedział z uśmiechem. – Doskonale wybrałaś przebranie. Tak właśnie wyobrażam sobie Dianę, boginię łowów.

W tej chwili napanarli na nich tłoczący się goście i Marilyn poczuła, że dłoń Barona przywarła do jej piersi. Zirytowana spojrzała na niego, ale on zdawał się tego nie zauważać. Czy aby na pewno? Po plecach Marilyn przebiegł dreszcz. Chciała jak najszybciej uwolnić się od tego poufałego dotyku.

Wbiegła na schody i Baron wypuścił jej ramię.

Sala balowa jarzyła się od lamp gazowych. Ogromny kryształowy kandelabr rozsiewał blask, odbijający się w klejnotach pań. Pod ścianami stały kryte purpurowym brokatem fotele, na których można było usiąść i przyglądać się tańczącym parom. Naprzeciw wejścia ustawiono dwa fotele dla króla i królowej balu przyozdobione tropikalnymi kwiatami.

W kilka minut karnecik Marilyn zapełnił się. Baron zażądał od niej pierwszego tańca. Marilyn pozostawiła jeden walc wolny. Nawet przed sobą nie chciała przyznać, że ma nadzieję na taniec z Sebastianem.

Podszedł do niej Carl i obsypał ją komplementami. Zachowywał się swobodnie. Nic nie zdradzało emocji, które towarzyszyły scenie, jaka kilka minut wcześniej rozegrała się przed oczyma Marilyn.

– Mam nadzieję, że zachowałeś taniec dla mnie, Marilyn?

– Tak, Carl. Pozwoliłam sobie zachować dla ciebie trzeci taniec. Jeżeli ci to nie odpowiada, mogę go zamienić.

– Bardzo mi odpowiada. Choć muszę przyznać, że pragnąłbym, by wszystkie należały do mnie.

Marilyn zaczęła się zastanawiać, czy się nie przesłyszała. Może przed kilkoma minutami widziała kogoś innego, kto wyglądał jak Carl i kto przemawiał do swojej ukochanej? Nie, wiedziała, że ma rację; nie rozumiała jednak przyczyn takiego zachowania Carla. Dlaczego udaje zainteresowanie? Jej rozmyślenia przerwał Baron.

– Wszystkie oczy utkwione są w tobie, Marilyn – powiedział, spoglądając lekceważąco na Carla. – Masz szczęście, synu, cały wieczór z najpiękniejszą partnerką. Ufam, że wyłącznie jej poświęcisz swoją uwagę. Poradziłeś sobie z kłopotem, prawda? – powiedział Baron

tonem drwiącym i nieznoszącym sprzeciwu. Aby złagodzić swoją wypowiedź, uśmiechnął się do Carla. – Mam nadzieję, Marilyn, że pierwszy taniec należy do mnie. O, właśnie zaczynają grać, wybacznam, synu.

Stanęli na parkiecie. Baron objął Marilyn w pasie i uśmiechnął się do niej. Rozległa się muzyka i zaczęli wirować w walcu. Baron był doskonałym tancerzem i Marilyn pochłonał wdzięczny rytm na trzy.

– Gdzie jest Jamie? Nie widziałam go dzisiaj.

– Jest tutaj. Przyjechaliśmy razem. O, stoi tam. Prawdopodobnie szuka cię, by wpisać się do twego karneciku.

Marilyn dostrzegła Jamiego. Był przebrany w jaskrawoczerwony mundur wojskowy. Mosiężne guziki i szamerunki lśniły w jasnym świetle.

– Powinam się była domyślić, że Jamie przebierze się za wojskowego – Marilyn roześmiała się, czując ulgę, kiedy Baron przestał ją obejmować.

– Tak – odparł Baron. – Jak widzisz, ja nie zawracam sobie głowy kostiumem, dlatego mam na sobie wieczorowy surdut. Jamie nigdy by nie przepuścił okazji, by się przebrać. Lecz cóż, tacy właśnie są młodzi.

Marilyn zdała sobie sprawę, że Baron przymawia się, szybko więc powiedziała to, czego się spodziewał.

– Chyba nie uważa się pan za starego? Bo ja na pewno tak nie myślę!

Natychmiast wzmocnił swój uścisk. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Cieszę się, Marilyn. Bardzo się cieszę – wyszeptał znacząco.

Poczuła zakłopotanie i przypomniała sobie jego wcześniejszą poufałość. Pełna niesmaku skupiła się na tańcu.

Carlyle Newsome prowadził ją po parkiecie, czując w ramionach szczupłą sylwetkę i rozkoszując się nią. Marilyn bez wątplenia była najbardziej zachwycającym stworzeniem, jakie widział od wielu lat. Baron zawsze gustował w wysokich kobietach, a Marilyn przewyższała wzrostem większość obecnych pań. Jej naturalny wdzięk sprawiał, że inne kobiety wyglądały przy niej na pozbawione gustu. Baron przyglądał się jej i porównywał z innymi kobietami widywanymi w ciągu wszystkich niekończących się przyjęć karnawałowych. Marilyn nosiła się z godnością, wręcz majestatycznie. Ten Carl to przekłety głupiec! Ma się oświadczyć najpiękniejszej dziewczynie w Brazylii, a woli tę skromną myszkę, Alicję!

Trzymając Marilyn w ramionach, doznał znajomego uczucia. Zaczął się zastanawiać, dlaczego nie przyszło mu do głowy, by zachować Marilyn dla siebie. Zaledwie przekroczył pięćdziesiątkę, więc nie był za stary dla kobiety tak dojrzałej jak Marilyn. Czyż sama mu nie powiedziała, że nie uważa go za starego?

Zwrócił ją twarzą do siebie i mocno przytulił. Poczł wypukłość jej piersi i szczupłość sylwetki. Zauważył, że wstrzymała oddech i niesłusznie uznał to za objaw podniecenia.

Roześmiał się cicho, ale ze zdumieniem spostrzegł na jej twarzy rumieniec gniewu.

– Nie życzę sobie takiego przytulania, sir! Tak nie traktuje się damy! – Złościście nakrapiane oczy załśniły gniewnie. Baron poczuł się zawstydzony. Jej spojrzenie i ton pełne były niewątpliwej antypatii i niesmaku.

Gdyby znajdowali się gdzie indziej, upokorzyłby tę pełną wyższości dziewczynę. Pozbawiłby ją godności i doprowadził do tego, że drżałaby na dźwięk jego głosu. Carlyle Newsome poczuł gwałtowną nienawiść do Marilyn. Nienawiść zmieszana ze strachem. Przyłapała go na nieostrożności i zadała dotkliwy cios jego męskiemu poczuciu godności.

Nagle odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno, ściągając na siebie uwagę innych tancerzy. Niech ją sobie weźmie Carl; Marilyn zasługuje na niego. Ta zimnokrwista panna z Nowej Anglii, która ośmiela się żądać sprawozdania ze stanu odziedziczonego majątku! Wart Pac pałaca! Na tę myśl Baron roześmiał się jeszcze głośniej.

To szalenie, pomyślała Marilyn. Dostrzegła w szarych oczach Barona błysk okrucieństwa, który ją przeraził. Zanim zdążyła to przeanalizować, muzyka umilkła i Baron odprowadził ją do pani Quince.

Wkrótce Marilyn tańczyła z Jamiem. Wspaniale prezentował się w wojskowym stroju, a jego dworskie maniery pozostawały bez zarzutu. Jednak Marilyn wciąż pamiętała podsłuchaną rozmowę Jamiego z Eleną i czuła niepokój.

Jamie tańczył zaskakująco dobrze i wkrótce Marilyn zatraciła się w muzyce.

– Kiedy wracasz do domu na plantacji, Marilyn? – spytał Jamie. – Brak mi twojej gry na szpince. – Marilyn odczuła wzruszenie, słysząc, że Jamie nazywa siedzibę na plantacji jej domem.

– Wrócę do domu za jakiś dzień lub dwa, Jamie. Kiedy tylko pani Quince wywiąże się ze swoich obowiązków w jury. Pan Quince

nie chce, żeby się przepracowała. Już niedługo. – Marilyn uśmiechnęła się do Jamiego. Po raz kolejny uderzył ją wspaniały wygląd chłopaka. Włosy barwy piasku, gęste i lśniące; mocny, zdecydowany podbródek. Carl był przystojny, ale w typie dandysa. Uroda Jamiego była bardziej surowa, przypominał Sebastiana. Marilyn spojrzała ukradkiem na Jamiego. Tak, nie myliła się; chłopak wykazywał podobieństwo do Sebastiana. Szybko odwróciła wzrok. Nie chciała, by Jamie zauważył jej zaintrygowane spojrzenie. Nagle ogarnął ją gniew, gniew na Sebastiana za jego niezrozumiałą postawę wobec zagadki własnego pochodzenia. Poczuła też złość na Carla z powodu jego fałszywych zalotów i złość na Barona za jego lubieżność. Pomyślała, że to on wykorzystał matkę Sebastiana, a potem ją porzucił. Stało się dla niej jasne, że to Baron jest ojcem Sebastiana. Nagle ją oświeciło; może to właśnie dlatego stary Baron wydziedziczył Carlyle Newsome’a? Dady by się zgadzały. Z tego, co Marilyn wiedziała od przyjaciela ojca, stary Baron zażądał, by syn wypełnił swój obowiązek wobec dziewczyny i, być może z powodu odmowy Carlyle’a, wyrzekł się go. Marilyn postanowiła wyjaśnić tę zagadkę.

– Powiedz mi, Jamie, znałeś swego dziadka?

– O, nie. Umarł przed moim urodzeniem. Zaraz po powrocie ojca z Anglii, gdzie ojciec poznał i poślubił moją matkę.

– Słyszałam pogłoski – powiedziała ostrożnie – że dziadek wydziedziczył ojca. Jak to więc możliwe, że ojciec wrócił do domu jeszcze za życia dziadka?

– Myślę, że postąpił wbrew jego woli. Carl powiedział mi kiedyś, że ojciec jest właścicielem Drzewa Życia tylko dlatego, że nie znaleziono nikogo innego, komu można by przekazać cały majątek. – Intuicja podpowiadała Marilyn, że brzmi to jak wyuczona na pamięć lekcja.

– Ale skoro dziadek wydziedziczył ojca, majątek mu się nie należał – dopytywała się Marilyn.

– Och, nie wiem, Marilyn. Te sprawy mnie nie interesują. Wydają mi się nierealne. Rozmawiajmy o moich żołnierzach – one są realne. Ten strój uszyto na wzór stroju mego ulubionego oficera brytyjskiego z czasów wojny krymskiej. – Jamie nie zaspokoił jej ciekawości dotyczącej dziadka. – Jeśli chcesz, mogę cię zabrać na przejażdżkę konną, żebyś zobaczyła stary dom. Ojciec skopiował go do ostatniego szczegółu. Wszystkie pomieszczenia są identyczne. Chyba już ci to kiedyś mówiłem, prawda?

– Tak. Ale z przyjemnością obejrzę ruiny. Wspomniałeś chyba o pożarze?

– Tak. Na samą myśl ogarnia mnie smutek. Dziadek zginął w pożarze.

Marilyn uniosła brwi.

– Nie wiedziałam o tym. Myślałam, że umarł ze starości.

– Och, nie – powiedział Jamie i pobladł. – W naszej rodzinie mężczyźni zawsze giną gwałtowną śmiercią.

– Kto ci to powiedział, Jamie?

– Nikt. Ale ja lubię sobie wyobrazać, że to prawda. Dzięki temu mogę wszystkim pokazać, jaki jestem odważny.

– Nie opowiadaj głupstw, Jamie.

– Ale to prawda, Marilyn. Te małe Indianki, które zajmują się tobą, myślą, że jestem dziecinny, ale ja im jeszcze pokażę.

Na wzmiankę o dziewczynkach Marilyn zamarła. Dotyk dłoni Jamiego przyprawił ją o dreszcz. Poczowała przerażenie, słysząc jego zdecydowany ton.

Była bardzo zadowolona, gdy muzyka ucichła. Z ulgą wróciła do pani Quince, której mogła całkowicie zaufać. Była uczciwą kobietą i nie znosiła dwuznaczności.

Ku jej zadowoleniu starsza dama była zajęta ożywioną rozmową z prawnikiem, panem Quintonem. Pan Quinton wstał i serdecznie powitał Marilyn.

– Nie będę pani przeszkadzać, pani Quince – powiedziała Marilyn. – Jeśli omawiacie państwo jakieś ważne sprawy, zostawię was samych.

– Wprost przeciwnie, moja droga – przerwał jej pan Quinton. – Rozmawialiśmy właśnie na pani temat.

– Jeśli tak, to przykro mi, że stałam się przyczyną nieporozumień między państwem – powiedziała Marilyn.

– Nonsens, moje dziecko. Po prostu nie zgadzamy się co do czasu i miejsca, w którym należy ci powiedzieć coś, co masz prawo wiedzieć – powiedziała pani Quince z wyrazem twarzy, którzy zaniepokoił Marilyn.

– Cokolwiek to jest, widzę, że uważa to pani za poważną sprawę. – Marilyn powoli przeniosła wzrok na pan Quintona. – Czy chodzi o to, o czym rozmawialiśmy u pana w domu?

– Tak – krótko odparł pan Quinton.

– Ja także uważam, że to obrzydliwe, że Baron nie uznał pana Rivery za swego syna. Skoro jednak tak się nie stało i Sebastian wiele

lat temu odziedziczył majątek po Farleighu Mallardzie, uważam, że omawianie tej sprawy byłoby rozmową o zeszlórocznym śniegu. Co się stało, to się nie odstanie. – Marilyn odwróciła się na pięcie, pozostawiając zaskoczonych panią Quince i pana Quintona. Ruszyła na spotkanie następnego partnera do tańca. Czowała, że na twarzy wykwita jej rumieniec.

Muszę go odnaleźć, pomyślała. Dlaczego nie zostawią go w spokoju? Przecież te wszystkie plotki na temat spadku z pewnością ranią Sebastiana. Może gdyby pozwolili mu o tym zapomnieć, nie odczuwałby nienawiści do wszystkiego, co wiąże się z Drzewem Życia. Łącznie ze mną, pomyślała ze smutkiem.

Rzuciła okiem na swój karnecik i upewniła się, że następny walc zarezerwowała dla Sebastiana. Ale on nie zaprosił jej do tańca. Marilyn poczuła przyływ gniewu i wyszła na balkon, aby chwilę odechnąć.

Podziwiała wspaniały ogród różany. Nocne powietrze było świeże i chłodne. Poczwała, że jej ciało się odpręża, pozbywa napięć ostatnich kilku dni. Oparła się o marmurową balustradę i wychyliła, aby powąchać różę, która wspięła się prawie na wysokość balkonu.

– Ostrożnie, lepiej będzie, jeśli ja po nią sięgnę.

Marilyn obejrzała się gwałtownie i spojrzała wprost w ciemne oczy Sebastiana Rivery.

Sebastian wyciągnął ramię. Z łatwością zerwał różę i poodrywał kolce z łądygi. Marilyn przyglądała się jego kostiumowi. Miał na sobie czarny garnitur z krótką, obcisłą marynarką, spod której wystawała śnieżnobiała koszula. W talii opasywała go jaskrawoczerwona szarfa. Na głowie miał nasunięte na bakier czarne sombrero.

– Proszę, oto róża bez kolców.

– Czy mam się w tym doszukiwać jakichś podtekstów, panie Rivera?

– Nie mam na myśli nic osobistego, panno Bannon – odparł obojętnym tonem. – Jest pani gotowa na czekające nas wydarzenie wieczoru?

– Nas, panie Rivera?

– Tak. Została pani królową balu.

Marilyn gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Naprawdę? Skąd pan wie?

– Mam swoje sposoby. Zwłaszcza że pani Quince poradziła mi, bym nie zrażał pani moją gburowatością. Mam być uroczym partnerem i wyzbyć się całej niechęci.

– Pan? Dlaczego właśnie pan? – Nie mogła uwierzyć, że pani Quince powiedziała Sebastianowi, że Marilyn została wybrana królową balu. A potem przyszło jej do głowy, że mogła tak uczynić, jeżeli Sebastian został królem. Miała jednak nadzieję, że tak się stało. Nie chciała spędzić reszty wieczoru w jego towarzystwie.

– A pan został królem?

– Tak, panno Bannon, jestem pani królem. Ale proszę udawać zaskoczenie, kiedy werdykt zostanie ogłoszony. Wiem, że można polegać na pani zdolnościach aktorskich.

– Jak pan śmie!

– Muszę jeszcze wyjaśnić, jakimi pobudkami kierowała się pani Roswell, nalegając, bym został królem balu. Miała nadzieję, że jej córka, Nancy, zostanie królową. Kiedy usłyszy, że tytuł ten przyznano pani, będzie gorąco. Ale niech się pani nie obawia, panno Bannon, ma pani w mojej osobie najbardziej troskliwego króla.

– Och, jest pan...

– Czymże jestem, panno Bannon? – zapytał, przytrzymując rękę Marilyn, która zamierzała go spoliczkować. Marilyn poczuła zakłopotanie.

– Śmiało, proszę mi powiedzieć. Odrobina sarkazmu nie zaszkodzi. A co do pani aktorstwa, czy nie jest pani dobrą aktorką? Czyż nie po to wybrała się pani ze mną na przejażdżkę, by odciągnąć mnie od miejsca, w którym dokonano sabotażu?

Trzymał jej rękę w żelaznym uścisku; bolało tak, że omal się nie rozpląkała. Zdał sobie z tego sprawę i natychmiast puścił jej dłoń. Stała nieruchomo, zaintrygowana słowami Sebastiana. Cokolwiek jej zarzucał, widoczne było, że pragnie Marilyn. Nagle przyciągnął ją do siebie i gwałtownie pocałował.

Walczyła z nim, odpychała z całych sił, czując jego gorące wargi. Nagle brutalność Sebastiana ustąpiła miejsca słodyczy, łagodności i czułości. Marilyn poddała się i odwzajemniła pocałunek. Nie odrywając ust od jej warg, Sebastian westchnął głęboko. Marilyn poczuła smak ponczu. Zakreśliło jej się w głowie i objęła Sebastiana, aby nie upaść.

Odsunął ją od siebie. Czarne jak węgiel oczy spojrzały w twarz Marilyn. Jęknęła.

– Diablica – westchnął i przyciągnął ją do siebie, by pocałować jeszcze raz. Zadrżała w ramionach Sebastiana. Odsunął się od niej i omal nie upadła. Ujrzała jego gniewny wyraz twarzy i zbielełe, zacisnięte wargi.

Sebastian odwrócił się i szybko opuścił balkon. Jedynym śladem jego obecności była zdeptana róża.

Marilyn straciła rachubę czasu. Nie wiedziała, jak długo stała na balkonie. Niejasno zdawała sobie sprawę, że zaczyna się następny taniec i któryś z tancerzy będzie jej szukał. Ale nie mogła wrócić na salę balową. Nie w tym stanie.

Usłyszała czyjeś kroki. Odwróciła się i spostrzegła pana Quintona.

– Tutaj jesteś, moje dziecko. Wszędzie cię szukam. To nasza ostatnia szansa, by porozmawiać, zanim wrócisz na plantację. Muszę ci coś powiedzieć.

Marilyn opanowała się. Pan Quinton jeszcze się wahał.

– Proszę mi powiedzieć, panie Quinton.

– To coś bardzo nieprzyjemnego, ale pani Quince zapewniała mnie, że masz dość hartu ducha, by to znieść.

– Mam nadzieję, panie Quinton.

– Jestem pewien, Marilyn.

Pan Quinton podszedł bliżej i położył dłoń na ramieniu Marilyn.

– Twój ojciec był moim przyjacielem, a także przyjacielem starego Barona Newsome’a. Stary Farleigh Mallard także go znał i zawsze był o nim jak najlepszego zdania. Myślę, że córka Richarda Bannona może wysłuchać prawdy i potrafi ją znieść.

Spojrzał na Marilyn zatroskanym wzrokiem. Marilyn nie wątpiła, że usłyszy coś bardzo ważnego.

– Proszę mi powiedzieć, jestem gotowa.

– No, tak. Pamiętasz, jak do mnie przyszedłeś i prosiłeś, żebym ci pomógł ustalić, jakie masz prawa do Drzewa Życia? Oczywiście, że pamiętasz. Wybacz staremu człowiekowi. Pytałeś mnie również o znaczenie tajemniczych zapisków w dzienniku twego ojca. Nie mam na to dowodów, moje dziecko, ale napisałem twemu ojcu, że podejrzewam Carlyle Newsome’a o zamordowanie starego Barona oraz o zniszczenie jego testamentu.

Biedny pan Quinton patrzył, jak wstrząśnięta Marilyn gwałtownie wciąga powietrze.

– Nie mam na to dowodów. Jestem jednak przekonany, że tak właśnie się stało. Mówię ci o tym, ponieważ się boję. Skoro Carlyle zabił własnego ojca, aby wejść w posiadanie plantacji, może też pozbyć się ciebie, jeśli zaczniesz dochodzić swoich praw własności. Zastanów się nad tym, moje dziecko. W księgach na pewno znajdziesz dowody, że Baron przekroczył swój kredyt. Jego plantacja nie

przynosi tak wielkich dochodów, by pokryły jego wydatki. A jednak zawsze jakoś udaje mu się spłacać długi. Mam podstawy sądzić, że Carlyle od kilku lat korzysta z twojego majątku. Twój biedny ojciec wierzył, że jego udział został zainwestowany w rozwój plantacji. Z zapisów bankowych, do których mam dostęp jako członek zarządu, wnoszę, że tak nie jest.

Dlatego proszę cię, moje dziecko, nie żądaj sprawozdania ze stanu swego majątku. Powstrzymaj się do czasu, aż dam ci znać. Sytuacja, w jakiej się znajdujesz, jest bardzo niebezpieczna.

Marilyn miała właśnie odpowiedzieć, gdy w sali balowej rozległy się histeryczne krzyki.

– Na Boga, co się tam dzieje? – wykrzyknął pan Quinton.

Balkon, na którym stali, ciągnął się aż nad frontowe drzwi, skąd dobiegał największy hałas. Marilyn i pan Quinton pobiegli tam i zastylili przerażeni. Jeden ze stangretów starał się cofnąć konie. Pod ich kopytami leżało sponiewierane ciało młodej kobiety. Marilyn patrzyła jak zahipnotyzowana. Przez tłum przedarł się Carl. Nachylił się nad stratowaną kobietą. Marilyn rozpoznała w niej dziewczynę, z którą Carl rozmawiał przed wejściem na salę balową. Po jego twarzy płynęły łzy. Czule głaskał małą główkę dziewczyny, ścierając z jej twarzy smugi pyłu. Marilyn była pewna, że kocha tę dziewczynę.

Do Carla podszedł Baron i położył mu dłoń na ramieniu. Carl spojrział na ojca z nienawiścią.

– To twoja sprawka! – krzyknął. – Ty to zrobiłeś!

Marilyn z niedowierzaniem patrzyła, jak Carl podnosi rękę, by uderzyć Barona. Jakiś człowiek przytrzymał jego ramię. Marilyn wiedziała, że gdyby teraz dosięgnął Barona, zwałiby go z nóg.

– Ty to zrobiłeś, ty...!

Nagle Carl zamilkł zdruzgotany; ramiona mu opadły. Załkał.

– Ty to zrobiłeś, a ja... Boże zmiłuj się nade mną... ja ci w tym pomogłem!

Gromadzący się tłum gapiów przesłonił widok. Dlaczego Carl obwiniał Barona o ten wypadek, zastanawiała się Marilyn. Dlaczego. Chyba że... Oczywiście. Nagle wszystko stało się przerażająco jasne. Carl zalecał się do niej, a był zakochany w innej. To Baron zawsze nalegał, by Carl zabrał Marilyn na spacer po ogrodzie lub na przejażdżkę konną. Marilyn poczuła mdłości. Omal nie zemdląła. Wszystko rozumiała. Baron chciał, aby Carl poślubił Marilyn, bo dzięki temu Drzewo Życia w całości stałoby się własnością rodziny Newsome. Usunął więc dziewczynę Carla, jakby rozgniatał robaka.

Marilyn serdecznie współczuła Carlowi. Zastanawiała się, jak mogłaby mu pomóc.

Tłum rozstał się. Dostrzegła mężczyzn niosących drzwi. Chcieli ułożyć na nich nieszczęsną dziewczynę. Carl odepchnął wszystkich, sam podniósł poranione ciało ukochanej i położył je na prowizorycznych noszach. Kiedy ją uniósł, Marilyn dostrzegła słaby ruch ręki dziewczyny. Patrząc z balkonu, odniosła wrażenie, że dziewczyna wyciąga rękę do Carla. Zaczęła się modlić, aby nie umarła. Modliła się, by Bóg przebaczył Carlowi. Nie prosiła jednak o przebaczenie dla Barona.

11

Głośna wrzawa na sali balowej ucichła. Raptem od strony drzwi dobiegły krzyki. Marilyn odwróciła się w ich kierunku i usłyszała „żółta febra”.

– Na plantacji Drzewo Życia. Mówię wam. Widziałem na własne oczy! Leżą na ziemi i umierają – krzyknął jakiś mężczyzna.

– Kiedy to widziałeś? – spytał chłodny głos Sebastiana Rivery.

– Dwa dni temu. Teraz jest jeszcze gorzej.

Nagle obok Marilyn znalazła się pani Quince.

– Lepiej będzie, jeśli natychmiast wrócimy na plantację! – zawołała do swego męża. Alenzo skinął głową i wyszedł. Za nim podążyli inni mężczyźni.

– To śmieszne! – zawołał Baron. Jego twarz była purpurowa. – Kim jest ten człowiek? Pojawia się na najpiękniejszym balu karnawałowym i rozprzestrzenia oszczerce plotki? Żądam wyjaśnień – krzyknął, chwytając przybysza za kłapy marynarki.

– To mój nadzorca – wyjaśnił Sebastian. – Jeśli twierdzi, że na plantacji Drzewo Życia są przypadki zachorowań na żółtą febrę, to wie, co mówi. Stracił ojca, matkę, dzieci oraz żonę. Wszyscy umarli na tę chorobę – powiedział Sebastian rozwścieczonym tonem.

– A nasi ludzie? – spytał, zwracając się do nadzorcy. – Co z naszymi?

– Na razie są zdrowi. Ale jedno dziecko źle się czuje. Jeszcze nie wiadomo, czy nie zachoruje na febrę.

– Odizolowaliście to dziecko?

– Dopilnowałem tego. To była pierwsza rzecz, jaką zrobiłem – odparł nadzorca.

– Dobrze. Chodźmy, Jesusie, musimy stąd natychmiast wyjechać. Nie chciałbym tego przeżywać jeszcze raz. Zbyt dobrze pamiętam ostatnią zarazę. A pan, sir – Sebastian zwrócił się jeszcze do Barona – nie ma pan zamiaru wracać na plantację? Myślę, że lepiej będzie, gdy powróci pan, zanim inni plantatorzy wezmą sprawę w swoje ręce. Doskonale pan wie, że w kilka tygodni możemy wszyscy umrzeć. Ostrzegałem pana wiele razy, Carlyle, ale nie słuchałeś mnie. I oto mamy skutki – powiedział Sebastian złowieszczy tonem i wyszedł z sali balowej.

Marilyn spojrzała na Barona. Jego twarz była wykrzywiona wściekłością.

– Jak ten bękart śmie zwracać się do mnie takim tonem?

Marilyn nie wierzyła własnym uszom. Jak on może przejmować się taką błahostką, kiedy dzieją się straszne rzeczy?

– Wrócę na plantację, żeby pomóc – powiedziała cicho.

– Nie ma takiej potrzeby, moja droga. Jestem pewien, że to jedynie początek niegroźnego buntu niewolników. A jeśli rzeczywiście zdarzyły się jakieś przypadki zachorowań, mój nadzorca i Elena poradzą sobie.

– Jeśli jest tak, jak pan powiedział, dlaczego inni plantatorzy wracają do domów? Najwyraźniej traktują sprawę z całą powagą. I ja, jako właścicielka połowy plantacji, także podchodzę poważnie do sprawy. Wracam bezzwłocznie. A pan robi, jak zechce, Baronie.

Marilyn szybko wyszła z sali, szukając kogoś, kto by ją odwiózł na plantację. Uważała, że przebieganie się u pani Quince byłoby niepotrzebną stratą czasu. Może pojechać tak, jak stoi. Czowała, że pośpiech jest najważniejszy. Za wszelką cenę musi natychmiast wrócić na plantację.

Na podjeździe dołączył do niej Jamie.

– Jak myślisz, Jamie, dotrzemy we dwójkę na plantację? Jesteś duży i silny. Potrafisz powozić?

Jamie skinął głową. W tej samej chwili Baron rozkazał stangretowi, by ruszał w drogę powrotną.

– Wracamy do domu.

Marilyn i Jamie wsiedli do powozu. Baron usadowił się wygodnie i zapalił cygaro.

Podróż była okropna. Powóz podskakiwał na wyboistej drodze. Marilyn była głodna i zmarznięta. Myślała, że jazda nigdy się nie skończy.

Mijały godziny, a Baron beztrzesko rozmawiał z Jamiem. Marilyn zaciśnięta zęby. Czowała, że gdy wspomną o kolekcji żołnierzyków, zacznie krzyczeć. W końcu dotarli do domu. Zmęczeni wysiedli z powozu i zaczęli szukać Eleny. Nigdzie jej nie było. Piękny dom sprawiał wrażenie wymarłego. Na wszystkich sprzętach zalegała warstewka kurzu i wilgoci. W dużej kuchni nie było znaku życia. Na stole stała misa z gnijącymi owocami, a nad nimi unosił się rój muszek. Marilyn zadrżała. Obok misy leżał bochenek chleba z wbitym w środek ogromnym nożem kuchennym. Chleb powlekała warstewka zielonożółtej pleśni. Marilyn obejrzała się i dostrzegła ponury wyraz oczu Barona.

Po raz pierwszy dotarło do niego, że sprawa jest naprawdę poważna. Elena powinna być na miejscu. Nigdy dotąd nie opuściła domu w ten sposób.

Baron wybiegł z kuchni i popędził w stronę stajni. Marilyn za nim. Jamie został w kuchni, sprawa go nie dotyczyła. Dosiedli koni. Marilyn nie jeździła dotąd bez siodła, ale w stajni nie było nikogo, kto by osiodłał konia. Zresztą szkoda było na to czasu.

Upał się wzmagał i Marilyn poczuła zmęczenie. Pot zalewał jej oczy i z trudem oddychała. Grzbiet siwka stał się wilgotny i musiała bardzo uważać, by z niego nie spaść. Baron jechał bez wysiłku. Wkrótce dotarli na miejsce. Marilyn szybko zsunęła się na ziemię. Rozejrzała się po polanie, na której była wioska Indian i Murzynów. Gdziekolwiek spojrzała, widziała leżących na rozłożonych na ziemi matach mężczyzn, kobiety i dzieci. Jęczeli w agonii. Tam, gdzie poprzednio widziała małe kopczyki grobów, teraz przybyło wiele nowych. Przynosiła oczy dłonią i usiłowała je policzyć. Zamrugnęła z niedowierzaniem. Na prawo od grobów zobaczyła przykryte kawałkiem płótna wzniesienie. Marilyn spojrzała pytającym wzrokiem na Elenę, która właśnie podeszła do Barona.

Kobieta skinęła głową, odpowiadając na nieme pytanie Marilyn.

– Nie ma komu ich grzebać. Nie ma nikogo, kto by wykopał groby. Ostatni zdrowi mężczyźni zachorowali trzy dni temu. Ja nie mam już siły – dodała umęczonym głosem.

Baron rozejrzał się z niesmakiem.

– Stać cię tylko na tyle? – zapytał lodowatym tonem, krzywiąc się z powodu odoru rozkładających się ciał.

– Ilu zostało? – zapytał.

Elena wzruszyła ramionami.

– Umarło pięćdziesięciu niewolników – powiedziała – a ci – dodała, wskazując na odleglejszą część polany – nie przeżyją. Są w ostatnim

stadium choroby. Nie można dla nich nic więcej zrobić, jedynie podać wodę i położyć chłodną szmatę na głowie. Tamci – powiedziała, wskazując na kilka chat za jej plecami – dostali gorączki kilka dni temu. Robię, co mogę, Baronie, ale muszę otrzymać jakąś pomoc, bo inaczej wszyscy umrą. Może Carl...

– Carl? Mój syn? – wrzasnął Baron. – Myślisz, że chcę, aby zaraził się tą paskudną chorobą? Jego noga tu nie postanie. Zrozumiałś, Eleno?

Skinęła głową.

– Ja ci pomogę, Eleno – powiedziała Marilyn cicho. – Jeśli mi tylko powiesz, co mam robić, pomogę ci.

Elena spojrzała na złotowłosą dziewczynę o spokojnych oczach, spojrzała na jej kunsztownie ułożoną fryzurę, na połyskującą suknię, na szczupłe ramiona i delikatne dłonie, na nieskazitelnie gładką skórę. Jeszcze raz skinęła głową ze znużeniem, a jej wzrok padł na własne brudne łachmany i na czerwone, spierzchnięte i popękane od pracy ręce.

– Chodź – powiedziała. – Pomożesz przy dzieciach. Mam nadzieję, że kilkoro z nich przeżyje.

– Bridget i Rosy? – spytała Marilyn niespokojnie.

Elena skinęła głową.

– Jestem pewna, że Rosy wyzdrowieje. Bridget jakoś się trzyma.

Elena poprowadziła Marilyn do walącej się chaty. Leżały w niej na słomianych matach dwie drobne postacie. Miały spękane od gorączki wargi, wypieki na policzkach i szkliste oczy. Marilyn zebrała tren swojej pięknej sukni, wsunęła go pod złotą przepaskę i uklękła koło dziewczynek. Leciutko dotknęła ich policzków. Żadna z nich nie zareagowała.

– Trzeba im podać trochę wody do picia i otrzeć pot. Możesz to zrobić?

Marilyn skinęła głową i zabrała się do pracy. Elena podniosła się z klęczek i martwym wzrokiem odprowadziła odjeżdżającego z polany Barona. Nie wiedziała, czego się po nim spodziewała. Miała cichą nadzieję, że jej pomoże. Ramiona opadły jej bezsilnie.

Marilyn uniosła głowę i powiedziała:

– Na nic by się tu nie zdał, Eleno. Nie miałby pojęcia, co robić. Tylko by nam przeszkadzał. Ja ci pomogę i jestem pewna, że za kilka dni przyjedzie pani Quince. Jeśli, oczywiście, nie chorują niewolnicy na jej plantacji. Zrobię, co w mojej mocy. Nie będę wymigiwać się od pracy.

Marilyn dotrzymała słowa. Przez cztery dni i cztery noce pracowała ramię w ramię z Eleną. Kopały nowe groby i układały w nich rozkładające się ciała. Miała czerwone, popękane i krwawiące dłonie. Jedwabne pantofelki spadły z jej stóp w strzępach. Chodziła boso. Stopy miała poranione i krwawiące od ostrych kamieni i kłujących pnaczy. Złote włosy odgarnęła z twarzy i związała kawałkiem grubego sznura. Wyglądała jak ulicznica w łachmanach. Twarz miała błądą, a oczy podkrążone.

Rankiem piątego dnia stała przy ognisku, gotując chudy bulion dla chorych, kiedy na polanę wjechała Rosalie Quince.

– Święci pańscy! – wykrzyknęła. – Czy to ty, moje dziecko?

Szybko zeskoczyła z konia i objęła Marilyn.

– To przegrana bitwa – powiedziała Marilyn, wskazując ręką na polanę.

– Przyjechałam, żeby pomóc – odparła pani Quince. – Zdejmij zupę z ognia i opowiedz mi, jak wygląda sytuacja.

Marilyn posłusznie zdała relację. Pani Quince w milczeniu skinęła głową.

– Zatrzymałam się w Casa Grande. Baron jest pijany do nieprzytomności. Wygląda na to, że jest w takim stanie od kilku dni. Jamie przemierza dom wielkimi krokami. Masz jeszcze siłę, drogie dziecko?

Marilyn skinęła głową.

– Jestem silna jak koń, pani Quince. Mogę robić wszystko, co potrzeba. Niech mi tylko pani powie, co mam robić.

– Teraz będziemy pracować razem. Przede wszystkim musimy wszystko spalić. Rozpalimy ognisko na bagnach. Zabrałam z mojej plantacji kilku silnych mężczyzn. Rozpalą ogień w specjalnych kotłach, żeby wytworzyć gęsty dym. Zabrali ze sobą bębny. Gorączka bierze się z zatechłego powietrza, które stoi nieruchomo i jest trujące.

Twarz Rosalie Quince zastygła w bezruchu. Jej oczy spoglądały gdzieś w dal. Zbierała siły do walki z odwiecznym nieprzyjacielem plantatorów – z żółtą febrą. W wilgotnej ziemi Brazylii wiele było grobów, które pani Quince wykopała własnoręcznie. Niegdyś pochowała zmarłe na żółtą febrę niemowlę, którego drobne kosteczki użyły glebę, karmiąc jakieś egzotyczne drzewo.

Rosalie Quince wzdrygnęła się i uwalniając od wspomnień, wróciła do terażniejszości.

– Ale najpierw musimy oddzielić chorych. Ilu z nich wymiotuje krwią?

– Ponad tuzin, pani Quince – odparła Marilyn cicho. – Pomimo braku doświadczenia, zauważyłam, że tym, którzy wymiotują krwią nie da się już pomóc.

W kilka godzin, ku zadowoleniu pani Quince, oddzieliły chorych. Przeniosły ich na brzeg polany. Pani Quince własnoręcznie walczyła z pnączami i ciągnęła chorych w stronę dżungli.

– Musimy mieć dużo miejsca na rozpalenie ognia.

Marilyn posadziła dzieci i starała się nakarmić Bridget bulionem. Dziewczynka krztusiła się i zupa ściekała jej po brodzie. Nagle zaczęła wymiotować. Marilyn patrzyła na to przerażona.

– Boże! Nie to dziecko. Ona jest taka mała. Musi być jakiś sposób.

Zrozpaczona zawołała panią Quince, która pokręciła tylko głową.

– Wiem, co czujesz, moje dziecko. Ale tak już jest.

– Musi być jakiś sposób, pani Quince. Musi. Co mogę zrobić? – Błagała, zalewając się łzami. – Nie wierzę, że Bóg godzi się na to, by coś takiego spotkało bezbronne dziecko – dodała z goryczą. – Z całą pewnością po tylu latach spędzonych w dżungli, zna pani jakiś sposób.

– Gdyby tak było, moje dziecko, Elena także by go znała. Niektórzy z tych ludzi to jej krewni.

Marilyn skinęła głową, ocierając łzy.

– Chodźmy, moje dziecko, mamy dużo pracy. Nie możemy już pomóc małej Bridget, ale możemy uratować innych chorych. Wiem, że ci trudno, ale z czasem nauczysz się z tym godzić.

– Nigdy! – krzyknęła Marilyn żarliwie.

Przez resztę dnia obie kobiety pracowały ramię w ramię. Żar buchający od huczących ognisk wyczerpał Marilyn, która potykała się raz po raz. Była od stóp do głowy umazana sadzą. Kiedy zapadła noc, wszystkie opustoszałe chaty i pozostawione ubrania spaliły na popiół. Przy świetle ogniska płonącego na środku polany, pani Quince i Marilyn zgrażyły popiół na stertę w najdalszej części wioski niewolników.

Marilyn chwiała się na nogach.

– Chodź, moje dziecko. Musimy coś zjeść. Pracowałyśmy długo i ciężko. Jutro czeka nas następny dzień ciężkiej pracy.

– Dlaczego nie przyszli nam pomóc ludzie z innych plantacji? – spytała Marilyn.

– Oni mają swoje problemy. Zapomniałaś, że wkrótce ma odpłynąć transport kauczuku. Nie myśl, że są gruboskórni, po prostu muszą się zająć chorymi na swoich plantacjach. U nas jest tylko

dwoje chorych, którzy zaczęli już zdrowieć. Alenzo da sobie radę beze mnie. Wielokrotnie przestrzegaliśmy Barona, że warunki, w jakich żyją niewolnicy, spowodują, że jego plantacja stanie się ogniskiem zapalnym epidemii. Indianie są z natury czysti, jeśli tylko zapewni się im odpowiednie warunki. Ale pracują przy drzewach kauczukowych szesnaście godzin na dobę. Do wioski wracają tylko po to, żeby jeść i spać. Wyżywienie nie jest wystarczające. Nie mają więc siły, by zadbać o swoje otoczenie. Chodź, zjemy trochę tego bulionu, który ugotowałaś.

– Najpierw zajrzę do Bridget. Zjem później, pani Quince.

Przyjaciółka tylko skinęła głową i usiadła przy ognisku. Rozumiała, że Marilyn musi zobaczyć, co dzieje się z dziewczynką. Patrzyła, jak złotowłosa dziewczyna myje twarz i ręce, a potem wchodzi do chaty.

Marilyn długo z niej nie wychodziła. Pani Quince w zamyśleniu spoglądała na polanę. Wiedziała, że jutrzejszy dzień będzie jeszcze trudniejszy. Wiedziała, że będą musiały wykopać wiele grobów. Modliła się o siłę, by przetrwać i za dzielną dziewczynę, która pracowała u jej boku. Elena mogłaby pewnie pomóc, ale ktoś musiał doglądać chorych i dzieci. Tak więc ona i Marilyn zdane były na siebie. Czarno widziała przyszłość Drzewa Życia. Nie wyobrażała sobie, by plantacja mogła przetrwać po takim całopaleniu. Pani Quince czuła, że się starzeje. Bolała ją każda kosteczka, bolało całe ciało. Była bardzo zmęczona. Sięgnęła po swoją matę i przysunęła ją bliżej ogniska. Chciała odpocząć, dopóki nie wróci Marilyn. Zamknęła oczy i zapadła się w nicość. Obudziła się rankiem. Usłyszała ciche łkanie. Rozejrzała się po ogołoconej polanie i zobaczyła Marilyn z małą dziewczynką w ramionach.

– Robiłam, co mogłam, pani Quince – szlochała Marilyn. – Naprawdę wszystko.

Opanowała się i owinęła pokryte pęcherzami dłonie grubymi zielonymi liśćmi. Przygnębienie ustąpiło miejsca zacieklej złości. Marilyn wywijała łopatą, a dziura w ziemi stawała się coraz większa i głębsza. Pani Quince poczuła przyływ sił i także chwyciła za łopatę. Wkrótce grób był gotowy. Ułożyły w nim małe sztywne ciało. Zasypały je ziemią. Rosalie Quince czuła, że budzi się w niej furia dorównująca złości jej młodej przyjaciółki.

– Musi być jakiś sposób – modliła się błagalnym tonem. – Musi.

– Kto zawiadomi rodziców dziewczynki? – spytała Marilyn. – Są na plantacji Sebastiana Rivery.

– Ja to zrobię, moje dziecko. Ale nie teraz. Nie możemy opuścić tego miejsca, sama wiesz. W całej Brazylii nie ma plantacji, gdzie byłybyśmy mile widziane.

Dopełniwszy ponurej powinności, obie kobiety powróciły na polanę.

– Marzę o kąpeli i czystym ubraniu – powiedziała Marilyn cicho.

– Nie masz ze sobą ubrania na zmianę, moje dziecko? Elena mogłaby pójść do domu i przynieść ci czyste rzeczy.

– Myślałam o tym, ale Baron nie pozwoliłby żadnej z nas przestąpić progu domu, a sam nie wyjdzie za próg, żeby coś przynieść choćby na skraj trawnika.

– Ten człowiek jest skażony wieloma truciznami. Alkohol jest pierwszą z nich – prychnęła Rosalie Quince. – Ileż to razy słyszałam, jak inni plantatorzy błagali go, by oczyścił to miejsce. Najbardziej nalegał Sebastian. To musiało się stać! Za śmierć niewolników i wszelkie straty winę ponosi Baron. Wszystko z powodu egoizmu jednego człowieka. Nie mogę zrozumieć, jak Carl mógł bez protestów godzić się na coś takiego. – Pani Quince westchnęła bezsilnie. – Te łachmany są podejrzenie podobne do sukni, którą nosiłaś w czasie balu. Mam rację?

– Obawiam się, że tak, pani Quince. Chodźmy, posilimy się owocami i zabierzemy do pracy. Zaglądałam do Eleny, ale spała tak mocno, że nie miałam sumienia jej budzić. Jest równie zmęczona jak my. Obeszłam całą wioskę. Wydaje mi się, że przed wieczorem stracimy troje następnych ludzi. Sześcioro ma się lepiej. I mam nadzieję, że Elena nie myli się, mówiąc, że mała Rosy wygląda lepiej. Jest jeden stary człowiek, który wyzdrowiał i trzyma się na nogach. Pomagał Elenie w cięższych pracach, ale jest słaby i musi często odpoczywać, bo inaczej znów zachoruje.

Marilyn jeszcze raz obejrzała swoich sześciu pacjentów. Dołączyła do pani Quince i zjadły kilka świeżych owoców mango. Wysywały sok ze słodkich owoców, ale nie miały dość siły, by przeżuwać ich miąższ.

Obie powlokły się na moczary i rozpały ogniska. Marilyn patrzyła na chmurę moskitów unoszących się w powietrzu. Klaszcząc w dłonie zapędzały krwiopijczce insekty w stronę ognia, które pochłaniały gęste chmury owadów.

– Chodźmy, dziecko. Ogień się nie rozprzestrzeni, a nawet gdyby do tego doszło i tak nic się nie stanie. Wszędzie dookoła jest tylko dżungla. Chodźmy.

Marilyn potknęła się o jakieś pnącze. Była tak zmęczona, że leżała dobrą minutę. Pani Quince pomogła jej wstać i poprowadziła z powrotem na polanę. Przyniosła mały stołeczek i posadziła ją, by odpoczęła.

– Niech no obejrzę twoje stopy, dziecko. Boże w niebiesiech, co się stało? – spytała na widok ran i strupów. – Zostań tu, zaraz przyjdę.

Po kilku minutach wróciła z Eleną. Pokazała jej stopy Marilyn i Elena obejrzała je z troską.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? – spytała wstrząśnięta.

– I bez moich stóp miałyśmy dosyć kłopotów – uśmiechnęła się Marilyn. – Już mnie tak bardzo nie bolą. Byłam taka zajęta, że nie miałam czasu myśleć o bólu. Błagam was, nie martwcie o mnie. Inni bardziej potrzebują pomocy. Nic mi nie będzie. Jak się ma ta stara kobieta i jej córka?

– Obie zmarły godzinę temu.

Marilyn wstała i chwyciła łopatę.

– Skoro ty i pani Quince możecie nosić ciała, ja będę kopać groby. Dobrze wiecie, że nie możemy zostawiać ciał na tym upale.

Marilyn czuła się tak, jakby każda łopata ziemi była jej ostatnią. Ale w jakiś cudowny sposób miała wciąż nowe siły. Myślała o wszystkich dobrodziejstwach, które zawdzięczała pieniądзом pochodzącym z plantacji. Każde wspomnienie pomnażało jej siły. Mogłaby tak kopać aż do śmierci. Chciała odplacić za to wszystko, co dostała. Wiedziała jednak, że całe to cierpienie nie było przez nią zawinione. Wiedziała, że płaci za grzechy Carlyle Newsome’a.

Kiedy umieścili ciała w płytkim grobie, Marilyn odpoczęła chwilę, zanim zaczęła usypywać kopczyk ziemi. Słaniała się ze zmęczenia i modliła o siłę do ukończenia pracy. Kiedy spojrzała na stertę ziemi, wydawało jej się, że jest gigantyczna. Musi coś zrobić, przecież nie może teraz zemdleć. Chwyciła trzonek w krwawiące dłonie i, mamrocząc pod nosem, wbiła łopatę w miękką, kwaśno pachnącą ziemię.

To za kosztowne lekcje tańca i maleńki grzebyczek i żółtą suknię z jedwabiu, o którą błagała ojca i za sznur pereł – one same są warte wielu łopat ziemi, jedną łopatę za jedną perłę. Tak będzie sprawiedliwie. Ile pereł liczy sznur? Nie miała pojęcia. Sznur był długi – pewnie z pięćdziesiąt. Już nigdy nie włoży tych pereł. Kop, nie zastanawiaj się, jedna łopata, druga łopata; jedna perła, druga perła. Boże, musi teraz przerzucić pięćdziesiąt łopat za pięćdziesiąt pereł. Brudnym ramieniem otarła pot z twarzy i na kremowej skórze pojawiły się

smugi krwi z pokaleczonej ręki. Jeszcze raz spojrziała na stertę ziemi. Zmniejszyła się nieznacznie. Teraz pomagały jej pani Quince i Elena. Nie przerywaj kopania. Pamiętaj o perłach. Jeśli przestaniesz, nigdy nie odpokutujesz za perły. Po prostu przerzucaj ziemię.

Kiedy wreszcie skończyła kopać, spróbowała rozprostować przygarbione plecy. Czuła się jak stuletnia staruszka. Zarzuciła łopatę na ramię i pokuśtykała za Eleną i panią Quince. Patrzyła, jak przyjaciółka potyka się i zatacza. Nie podtrzymałaby jej nawet za cenę życia.

Kiedy wróciły na polanę, Elena przyniosła garnek z bulionem i podała im napełnione miseczki. Marilyn usiłowała utrzymać naczynie, ale ręce jej nie słuchały. Spojrzała na własne rany, dziwiąc się, że nie odczuwa bólu. Chwyciła miseczkę pomiędzy nadgarstki, co było nie lada sztuką, i chciwie wypłała zupę. Miseczka wysliznęła się, ale Marilyn nie wykonała najmniejszego ruchu, by ją złapać. Spojrzała na swoją postrzępioną suknię, która zmieniała się w łachmany. Nie zakrywała kolan. Marilyn była tak zmęczona, że z trudem unosiła powieki. Marzyła o tym, by zapaść się w nicość, a potem obudzić i stwierdzić, że wszystko, co przeżyła, było tylko złym snem.

– Muszę coś zrobić z rękami, pani Quince. Co pani sądzi? – spytała, wstając z małego stołeczka, na którym odpoczywała. Jaskrawe słońce grzało ją w głowę i Marilyn zatoczyła się osłabiona upałem. Obejrzała się, słysząc tętent nadjeżdżających koni. Usiłowała przesłonić oczy dłonią, ale nie miała dość siły. Stała milcząc, dopóki jeźdźcy nie znaleźli się bliżej. Stojąca u jej boku pani Quince również milczała.

Rozległ się ochryply krzyk i Marilyn zdała sobie sprawę, że naprzeciw niej stoi jakaś ciemna postać. Starła się spojrzeć w górę, ale słońce osłepiło ją.

– Sebastian? To ty? Na miłość boską, co tu robisz? – wydyszała pani Quince.

– Zobaczyłem dym. Domyśliłem się, że sytuacja jest krytyczna, skoro uciekacie się do pomocy ognia. Proszę mi powiedzieć, co mógłbym zrobić.

– Obawiam się, że już nic, Sebastianie. Jest za późno na jakiegokolwiek działanie. Marilyn i Elena zrobiły już wszystko, co było do zrobienia. Ja przyjechałam dopiero wczoraj.

Po co ona tak papple, zastanawiała się znużona Marilyn. Czemu nie siedzi cicho i nie pozwoli, by sam się przekonał?

Tak, Sebastian miał rację. Teraz mógł jedynie zapytać: „A nie mówiłem?”. Marilyn czekała na te słowa. W końcu uniosła zmęczone

oczy i spojrzała na wysokiego mężczyznę, który stał naprzeciw niej. Chciała się do niego odezwać. Miała mu powiedzieć coś ważnego. Ale co? Nie mogła sobie przypomnieć. Pomimo straszliwego zmęczenia, przeżyła wstrząs, stwierdzając, jak bardzo jest przystojny. Starła się opanować przyspieszone bicie serca. Że też ze wszystkich możliwych dni, kiedy mógł ją zobaczyć, wybrał właśnie dzisiejszy. Jeszcze raz spojrzała na jego zimną i smagłą twarz. Nie wierzyła własnym oczom. To z przemęczenia. Przecież on jej nie kocha. Jednak jego spojrzenie pełne było miłości. Zaklął donośnie.

– Och, niech pan zamilknie, panie Rivera. Nie widzi pan, że tu są chorzy ludzie? Nie potrzebujemy tu żadnych hałasów – wyszeptwała. Mówiąc to, zachwiała się. Nagle poczuła, że obejmują ją silne ramiona i Sebastian przyciąga ją do swego gorącego, silnego ciała. Nigdy w życiu nie czuła się równie bezpieczna. Błogosławiona chwila. Boże spraw, by się nigdy nie skończyła. Uniosła powieki i spojrzała w czarne jak węgiel oczy Sebastiana Rivery. Kocham go, pomyślała. Kocham mężczyznę, który trzyma mnie w ramionach. On także mnie kocha. Pobożne życzenia, Marilyn, napomniała się w myślach. Zamknęła oczy. Nie miała siły walczyć z wyczerpaniem i sennością. Czy jest na świecie lepsze miejsce niż ramiona ukochanego mężczyzny?

Poczuła, że Sebastian łagodnie ją unosi. Jak przez mgłę słyszała pełne oburzenia przekleństwa. Nie wiedziała i nie obchodziło ją, kto przeklina.

– Zostawcie mnie w spokoju. Pozwólcie mi spać – szeptała raz po raz. Nie słuchali jej. Jakieś nieznane dłonie zajęły się jej ciałem. O czym śniła? Ach, tak, o miłości. O miłości, która nie zna granic.

– Tak, kocham go, kocham – wyszeptwała. – Kocham tego wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, w którego ramionach czuję się taka bezpieczna.

Chciała coś powiedzieć; ale co i komu? Nie pamiętała. Jęknęła zrozpaczona.

– Odpoczywaj – usłyszała stanowczy głos.

Starła się otworzyć oczy i zobaczyć, kto to powiedział. Udało jej się uchylić powieki i ujrzała wpatzonego w nią Sebastiana. Uśmiechał się do niej tak czule, że była przekonana, że śni. Od czasu, kiedy widziała jego uśmiech, minęło tak wiele czasu. Po raz ostatni uśmiechnął się do niej podczas podróży statkiem po rzece.

Zanim przyjechał na plantację Barona, Sebastian długo spoglądał na dymy ponad Drzewem Życia. Odczuwał niepokonowaną wściekłość. Pomyśleć tylko, że jeden idiota może doprowadzić do takich zniszczeń, a potem jeszcze oczekuje, że inni plantatorzy nie będą mu tego mieli za złe.

Sebastian spojrzął ze współczuciem na ponure oblicze swego nadzorca, Jesusa. Jesus stracił wszystkich najbliższych. Teraz, oglądając śmierć i cierpienie, z pewnością przechodził katusze. To zaniedbanie i brak higieny były winne tej sytuacji.

Do tej pory mieli szczęście. Na plantacji Sebastiana zdarzyło się zaledwie kilka zachorowań. Inni właściciele posłuchali Sebastiana i oczyścili bagna i mokradła. Słuchali również, kiedy opowiadał im o konieczności poprawy warunków sanitarnych. I nie pożałowali tego. Wielu plantatorów dziękowało Sebastianowi; prawdę powiedziawszy, wszyscy z wyjątkiem Carlyle'a Newsome'a. Sebastian był pewien, że syn Barona, Carl, wysłuchałby go, gdyby ojciec nie zacisnął sakiewki. Sebastian wzdygnął się na wspomnienie dnia, w którym zaproponował Carlowi pracę na swojej plantacji. W pierwszej chwili chłopak ucieszył się. W jego oczach zabłyśły nadzieja i wdzięczność, ale zaraz zrezygnował. Nie mógł opuścić Drzewa ani swoich korzeni, jakiegokolwiek by były. Sebastian rozumiał to. Zapewnił jednak Carla, że gdyby kiedykolwiek zechciał opuścić plantację ojca, zawsze będzie mile widziany.

W dżungli panowała taka cisza, że Sebastian poczuł się nieswojo. Umilkły pokrzykiwania ptaków. Nie drgnął żaden liść. Ku niebu unosiły się potężne słupy dymu. Kiedy dotarł na polanę, ocenił sytuację jednym rzutem oka.

Nie do wiary. Piękny złotowłosy anioł z Nowej Anglii zniknął. Zamiast niego pojawiła się brudna istota w łachmanach. Złociste kiedyś włosy teraz były szare i brudne; zwisały w tłustych, skołtunionych strąkach. Na żałośnie obnażonym ramieniu wiło się wyschnięte pnącze. Patrząc na to brudne stworzenie, poczuł niepokonowaną wściekłość. Ryknął ze złości, zsiadając z wierzchowca, by chwycić ją i podtrzymać, kiedy się zachwiała. Porwał ją w ramiona i poczuł falę litości. Równie sponiewierana pani Quince szybko zdała mu sprawę z sytuacji i opowiedziała o wysiłkach Eleny i Marilyn.

Sebastian przyglądał się zmęczonej twarzy dziewczyny leżącej w jego ramionach. Obejrzał jej krwawiące dłonie i pokaleczone stopy. Zaklął ze złością i oburzeniem. Szybko wydał polecenie Jesusowi, który odjechał z polany, jakby go goniły demony. Po upływie godziny

na polanę przybyło kilku silnych Indian oraz gospodyni Sebastiana. Sebastian, nie wypuszczając z ramion Marilyn, wydawał rozkazy. Wszyscy słuchali go z nabożeństwem i szybko wykonywali polecenia. Marilyn ułożono na wozie; pani Quince i Elena wsiadły do niego o własnych siłach. Sebastian chwycił lejce i ruszył w stronę swojej plantacji. Był tak zły, że chętnie zabiłby Barona. Jednocześnie doznawał jakichś nowych, nieznanych emocji. Przypomniawszy sobie, jak matka opowiadała mu kiedyś, że nie ma na świecie uczucia równie mocnego jak miłość. Sebastian czuł, że właśnie to mu się przytrafiło. Bo czymże innym mogło być to przepełniające go uczucie? Pragnął zabijać i kochać, ale nie potrafił ani jednego, ani drugiego. Mógł jedynie kierować tym przeklętym wozem. Czuł się bezsilny. Przez głowę przemykały mu tysiące myśli. Od czasu do czasu oglądał się za siebie, by rzucić okiem na leżącą na wozie dziewczynę. Jeszcze raz wspomniawszy matkę i jej mądre rady. Nie chciał myśleć o miłości i o więzach, jakie nakładała. Nie chciał oddawać swej duszy. Chciał pozostać panem siebie. Jak to powiedziała matka? Kochać, to znaczy dawać z siebie wszystko. Zaklął pod nosem i pogonił konie po nierównej drodze. Usłyszał jednak jęki dziewczyny, więc zwolnił.

Kiedy podjechał przed dom, wóz otoczyły kobiety. Odepchnęły Sebastiana na bok. Złotowłosą dziewczynę wniesiono do domu i zamknięto mu drzwi przed nosem.

– Odejdź, Sebastianie. Tylko byś przeszkadzał! – krzyknęła pani Quince. – To zajęcie dla kobiet. Zapal sobie cygaro lub zajmij się czymś innym.

– Cygaro – powtórzył Sebastian bezmyślnie.

– Na miłość boską, Sebastianie! Mam ci powtórzyć, czy może narysować? – krzyknęła zniecierpliwiona. – Kiedy będziesz nam potrzebny, zwołamy cię. Masz na to moje słowo.

Sebastian słabo skinął głową i usłuchał energicznej pani Quince. Poczul się jak mały chłopiec, trzymający się spódnicy matki.

Dni wlokły się w żółtym tempie. Marilyn leżała, majacząc w gorączce. Sebastian był wyczerpany fizycznie i psychicznie. Przebył wiele kilometrów, spacerując po werandzie wokół domu. Gardło piekło go żywym ogniem od niezliczonej liczby wypalonych cygar. Od czasu do czasu oczy zachodziły mu łzami. To od dymu cygar, mówił sobie.

Opadł znużony na jeden z trzcinowych foteli i z roztargnieniem gładził jedwabiste uszy psa, który położył się u jego stóp. Zwierzę pomrukiwało z zadowolenia. Nagle Sebastian uniósł wzrok i znieruchomiał

na widok kanciastej sylwetki Rosalie Quince. Gwałtownie zerwał się na nogi, przydeptując łapę psu, który umknął, skomląc z bólu. Rosalie Quince powstrzymała uśmiech. Po raz pierwszy w życiu była świadkiem takiej niezręczności Sebastiana.

– Najgorsze minęło, Sebastianie. Gorączka nareszcie opadła. Powiadam ci, Sebastianie, że gdyby jeszcze złapała żółtą febrę, już by jej nie było wśród żywych. Nie rozumiem, jakim cudem uniknęła choroby. Ale jest bardzo wycieńczona. Teraz czeka ją rekonwalescencja. A ty, Sebastianie, możesz się znów spokojnie zająć plantacją. – Pani Quince patrzyła, jak wysoki mężczyzna wyrzuca niedopałek cygara za barierkę werandy.

– Przyniosła mi pani dobre nowiny, pani Quince – powiedział Sebastian, spoglądając na nią pytającym wzrokiem. Jednak nie śmiał zapytać, czy może zobaczyć Marilyn.

Teraz dziewczynie nie groziło już żadne niebezpieczeństwo, a on bardzo zaniedbał plantację. Uśmiechnął się krzywo i zszedł z werandy. Dziś wieczorem pojedzie do miasta; wróci w południe następnego dnia. Nie można się oszukiwać. Wyobraził sobie łyż Aloni na wiadomość, że musi zerwać ich związek. Złagodzi wstrząs obietnicą hojnego wynagrodzenia. Nie miał zamiaru się oszukiwać. Aloni znacznie bardziej była zainteresowana wygodnym życiem niż samym Sebastianem.

Marilyn szybko wracała do zdrowia. Pani Quince karmiła ją łyżką, dopóki dziewczyna nie odzyskała sił. Po dziesięciu dniach Marilyn wstała z łóżka. Z każdą chwilą czuła się lepiej. Ani razu nie widziała Sebastiana. Przyjęła jego gościńcę na czas choroby i teraz pragnęła mu podziękować. Zawsze jednak, kiedy miała o niego zapytać, coś stawało na przeszkodzie. Pani Quince miała dość rozsądku, by o nim nie wspominać. Marilyn zastanawiała się, dlaczego.

Nadszedł dzień poprzedzający jej powrót na plantację Drzewo Życia. Nadzorca Sebastiana miał zabrać Marilyn wozem, a potem odwieźć panią Quince na jej plantację.

Marilyn starannie ubierała się do kolacji, mając nadzieję, że zobaczy Sebastiana. Martwiła się swoim wyglądem. Wciąż była blada. Pani Quince przyglądała się rozbawiona, jak Marilyn układa loki.

Kiedy nadeszła pora kolacji, a Sebastiana wciąż nie było. Marilyn poczuła się zawiedziona. Nie zjawił się na kolacji! Najwyraźniej jej unika. Pani Quince rozglądała się niespokojnie.

– Wygląda na to, że zjemy kolację same, pani Quince – powiedziała Marilyn, zmuszając się do uśmiechu. Nie pokażę po sobie, że

jest mi przykro, pomyślała ponuro. Ci w gorącej wodzie kąpani Brazylijczycy nie mają dobrych manier. Marilyn pokaże im, co znaczy dobre wychowanie. Kiedy była jeszcze mała, ojciec powiedział jej, że gdy ktoś jej dokuczy, powinna odpowiedzieć uśmiechem. To postawi przeciwnika w niezręcznej sytuacji; przekona się, że jego złośliwości na nic się nie zdały. Marilyn stosowała się do rad ojca.

– Mam wilczy apetyt. Nie mogę doczekać się powrotu do domu – szczebiotała radośnie. – Ciekawa jestem, co słyhać na naszej plantacji. Bardzo tęsknię za Drzewem Życia i za Jamiem. Czy pani wie, co tam słyhać, pani Quince? Myślę, że po powrocie będę spędzała więcej czasu z Jamiem. I z dziewczynkami. Może będę im mogła pomóc w nauce. Tak, to bardzo dobry pomysł – paplała bez chwili wytchnienia. – Rosy jest taka zdolna i bystra. Wydaje mi się, że ma także zdolności do rysowania. Widziałam raz, jak narysowała piękny zamek. Spytałam ją, gdzie widziała coś podobnego, a ona odparła, że w jednej z ksiązek Jamiego. To wspaniałe, nie uważa pani? – I nie czekając na odpowiedź przyjaciółki, trąkotała dalej.

Zwykle rozmowna pani Quince nie miała szans wtrącić ani słówka. Od czasu do czasu kiwała głową. Nie uszło jej uwagi, że wygłodniała rzekomo Marilyn natychmiast odsunęła talerz. Kiedy kolacja dobiegła końca, Marilyn nagle opadła z sił. Poczowała, że nie jest w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa więcej. Dobry Boże, jak pani Quince może tyle gadać? Odsuwając krzesło, usłyszała kroki na korytarzu. Gorący rumieniec oblał jej twarz i szyję. Więc jednak! Wreszcie przyszedł! Za późno, ja wychodzę.

Marilyn uniosła oczy i na widok wysokiego mężczyzny serce zabiło jej młotem.

– Dobry wieczór, panie Rivera – odezwała się pierwsza. – Cieszę się, że pana widzę. Chcę panu bardzo podziękować za to, że gościł mnie pan w czasie choroby. Jestem panu bardzo wdzięczna – powiedziała lodowatym tonem. Skinęła głową i z gracją wyszła z jadalni.

Wróciła do pokoju, który jej przydzielono, opadła na łóżko i zalała się łzami.

Nie pozwolę, Sebastianie Rivera, żebyś robił ze mnie idiotkę, myślała. Dlaczego traktował ją jak kogoś obcego? Marilyn jeszcze nigdy w życiu nie czuła się podobnie upokorzona.

Pani Quince i Sebastian szli korytarzem.

– Sebastianie – odezwała się pani Quince cierpkim głosem. – Mam ci do powiedzenia tylko tyle, że jesteś głupcem.

Sebastian spojrział na nią zdumiony.

– Boże, chroń mnie przed nieszczęsnymi zakochanymi. Wszyscy jesteście osłami.

– K... kto jest zakochany? – wyjąkał Sebastian.

– Kto? Kto? I ty mnie jeszcze pytasz? Nie zachowuj się, jakbyś nosił krótkie spodenki.

– Co tu mają do rzeczy krótkie spodenki? – mruknął Sebastian.

– Kiedy nosiłeś krótkie spodenki, miałeś prawo zachowywać się jak dzieciak. Ale tamte czasy dawno minęły. Teraz nosisz długie spodnie i powinieneś się zachowywać jak dorosły mężczyzna.

Sebastian ruszył długim korytarzem, spoglądając na własne nogi. Nie dziwiłby się, gdyby stwierdził, że ma na sobie krótkie spodenki. Czuł się jak chłopaczek. Rozgniewany wszedł do stajni. Może przejażdżka w chłodnym powietrzu nocy pomoże mu zebrać myśli. W głowie kłębiło mu się jak w ulu.

12

Po powrocie Marilyn na plantację Drzewo Życia dni płynęły leniwie. Jamie z jakiegoś niezrozumiałego powodu unikał jej. Carla nie było widać i Elena ostrzegła Marilyn, by nie wypowiadała jego imienia przy Baronie. Natomiast Baron, po wypiciu całego zapasu alkoholu, wyjechał do domu w mieście i do tej pory nie wrócił. Lekcji z dziewczynkami nie udało się rozpocząć. Po śmierci małej Bridget pozostałe nie miały na nic ochoty. Siedziały bez ruchu i wpatrywały się w siebie nawzajem. Nie śmiały się ani nie bawiły. Marilyn nie miała nic do roboty i nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Ufała, że z czasem wszystko wróci do normy. Gorąco się o to modliła.

Pewnego dnia, zmęczona przesiadywaniem na werandzie, postanowiła przejść się po ogrodzie. Patrzyła na śmigające nad głową ptaki, słuchając ich śpiewu i pokrzykiwań. Nagle jej wzrok przykuła jakaś postać. Czyżby jedna z dziewczynek? Co by tu robiła? Dziewczynki miały teraz sprzątać jej sypialnię; Marilyn słyszała, jak Elena wydawała im polecenia. Może przed pracą chciały się trochę pobawić w ogrodzie? Ostrożnie ukryła się w krzakach i obserwowała postać. Zdumiona zamrugwała oczami. Zobaczyła dziwną scenę. Jamie rzucał piłkę, a Nessie posłusznie ją łapała. Rosy stała w milczeniu i przyglądała się im. Jamie uśmiechał się uszczęśliwiony. Dziewczynki były wystraszone. Nagle Jamie chwycił Nessie za ramię.

– Myślałem, że lubisz grać w piłkę! – krzyknął rozzłoszczony.

Marilyn zlekła się o nie. Co się dzieje z Jamiem? Na drżących nogach wyszła z ukrycia.

– Nessie! Rosy! – zawołała.

Cisza.

Szybko weszła na małą polankę i jej wzrok padł na trzy postacie, które znieruchomiały na jej widok.

– Tu jesteście! – krzyknęła Marilyn. – Dziewczynki, Elena was woła. Biegnijcie do niej szybko, zanim się rozgniewa.

Marilyn uśmiechnęła się ze smutkiem, patrząc, jak pędzą co tchu w stronę domu. Westchnęła ciężko i spojrzała na Jamiego, który nerwowo pocierał dłonie. Zaczęła iść, oglądając się na Jamiego. Ruszył za nią.

– Już ci chyba lepiej, Marilyn – powiedział – skoro spacerujesz w upalne południe.

– O, tak, Jamie, czuję się znacznie lepiej. Ale, prawdę mówiąc, okropnie się nudzę. Muszę sobie znaleźć jakieś zajęcie. – Czy tak będzie przez całe życie?, pomyślała z goryczą. Mam wysiadywać na werandzie, spać, jeść i czekać na nadejście karnawału? Spojrzała na Jamiego i powiedziała gniewnym tonem:

– Najchętniej wróciłabym do Nowej Anglii.

– Dlaczego? – zapytał Jamie.

– Nie mam co robić w tej głuszy. Nie mam tu przyjaciół i obawiam się, że nigdy nie przywyknę do tutejszego piekielnego upału. Nie rozumiem wielu spraw związanych z plantacją i handlem kauczukiem. Uważam, że powinnam się wiele nauczyć, ale twój ojciec chce, żebym pozostała ciemna jak tabaka w rogu.

– Prowadzenie plantacji to ciężka praca, Marilyn. Zgadzasz się ze mną?

– Pewnie, że się zgadzam. Ale ty mnie wcale nie słuchasz, Jamie. Powiedziałam, że chcę się dowiedzieć, na czym polegają operacje finansowe. A to nie znaczy, że będę je sama prowadziła. Chcę, żeby twój ojciec pokazał mi księgi rachunkowe dotyczące mego udziału. Ale on z jakiegoś powodu nie chce tego zrobić. Czy wiesz, dlaczego nie chce spełnić mojej prośby ani odpowiadać na moje pytania?

Jamie tylko wrzucił szerokimi ramionami.

– Nie pytaj mnie o ojca. On się nie zwierza ani mnie, ani nawet Carlowi. Z czasem – dodał – wszystko się wyjaśni.

Marilyn zadrżała w wilgotnym i upalnym powietrzu. Dręczyły ją jakieś złowrogie przeczucia, których nie potrafiła wyjaśnić. Szybko spojrzała na Jamiego, któremu powrócił już dobry humor. Uśmiechnął się do niej, ale ona wzdrygnęła się po raz drugi.

Marilyn powróciła na werandę i upiła łyk ciepłego już soku. Poszła do kuchni, by poprosić o świeży i chłodny napój.

Elena spojrzała znad potrawy, którą przygotowywała. Uśmiechnęła się do Marilyn i zaproponowała jej plaster guawy. Marilyn poprosiła o coś do picia.

– Chciałabym z tobą porozmawiać o czymś, co mnie niepokoi, Eleno.

Gospodyni spuściła wzrok, a Marilyn zastanawiała się, skąd Elena wie, jaki temat zamierzała poruszyć. Szybko opowiedziała, co zobaczyła na polanie w ogrodzie.

– Uważam, że dziewczynki nie powinny bawić się z Jamiem. Czy on nie ma nic lepszego do roboty, niż bawić się z dziećmi?

– Tutejsze zwyczaje są trochę inne niż te, które panują w Nowej Anglii.

– To nie ma nic wspólnego ze zwyczajami, Eleno. To sprawa bezpieczeństwa dziewczynek. Jamie był dzisiaj jakiś dziwny. Co by się stało, gdybym go nie zaskoczyła? Mógł skrzywdzić Nessie. Mam nadzieję, Eleno, że porozmawiasz z Jamiem. Nie chciałabym, żeby dziewczynkom stało się coś złego.

Elena przechyliła głowę na bok.

– Porozmawiam z Jamiem, panno Bannon. Oto napój, którego sobie pani życzyła. Proszę przysłać do mnie Jamiego. Sądzę, że jest na werandzie.

Marilyn przekazała Jamiemu prośbę Eleny i usiadła na fotelu trzcinowym. Przymknęła znużone powieki i marzyła, by mieć kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Nagle trzasnęły drzwi. Odwróciła się zaniepokojona. Na werandę wszedł Jamie i stanął, zaciskając pięści. Był bardzo zdenerwowany, pomaszzerował w przeciwny koniec werandy, gdzie na barierce ustawił swoje wojsko. Nawet nie spojrzał na dziewczynę.

Marilyn patrzyła z przerażeniem, jak wysoki muskularny mężczyzna odłamuje głowy drewnianym żołnierzynom. Małe główki spadały na werandę i turlały się ze złowieszczym hałasem. Jak zahipnotyzowana liczyła kolejne głowy. Jamie pracował powoli i metodycznie.

Nagle jego furia zaczęła się wzmacniać. Odłamywał główki coraz szybciej i szybciej.

Marilyn spojrzała na barierkę. Zostało już tylko kilka zabawek! Za chwilę i one stracą głowy. Dobry Boże! Marilyn zerwała się i pobiegła do kuchni. Powiedziała Elenie, co się wydarzyło. Gospodyni była wstrząśnięta. Wybiegły razem na werandę. Na podłodze leżały drewniane główki, ale Jamie zniknął bez śladu.

– Eleno, gdzie są dziewczynki? – spytała Marilyn.

Elena zastanawiała się przez chwilę.

– Moriah jest na górze i sprząta sypialnie. Rosy poszła do źródła po wodę, a Nessie wyrzuca śmieci. Wyszły razem.

Obie kobiety spojrzały na siebie. Nie były już panią i służącą, ale dwiema zaniepokojonymi kobietami.

– Chodźmy, musimy je znaleźć! – wykrzyknęła zdenerwowana Elena. – Niech pani idzie ze mną, panno Bannon.

Pobiegły do małego źródelka, a potem na śmietnisko. Ani śladu dziewczynek. Wróciły biegiem do kuchni. Nie było tam wiadra z wodą. Kubek na śmieci także zniknął. Oczy Eleny i Marilyn znów się spotkały.

Jamie zbiegł z werandy i pomknął do stajni. Chciał pojeździć konno, tak jak ojciec. Co złego zrobił, że Elena skarciła go tak srogo? Na Carla gospodyni nigdy tak nie krzyczała. Zobaczymy, co powie, kiedy zobaczy żołnierzyki, pomyślał z goryczą. Zezłości się jeszcze bardziej. Nie dbał o to. Żołnierzyki należały do niego i mógł z nimi zrobić, co tylko zechciał. Zastanawiał się, która z dziewczynek powiedziała o grze w piłkę. I dlaczego gra w piłkę była zła? Wszystkiemu zawiniła Nessie. Kiedy ją dostanie w swoje ręce, da jej porządnego klapsa. Jamie nie lubił, kiedy Elena gniewała się na niego. Nagle uniósł głowę i zobaczył Nessie i Rosy, idące w stronę źródła. Teraz ukarze Nessie za to, że rozgniewała Elenę. Przekłęte smarkule! Ruszył za nimi. Gdy usłyszały jego ciężkie kroki, zatrzymały się przestraszone i czekały, co Jamie im powie. Popatrzył badawczo na ich ciemne twarzyczki niepewny, która z nich na niego naskarzyła.

– Która z was rozmawiała z Elena? – zapytał ostrym tonem.

Milczały, wpatrując się w niego przerażonym wzrokiem.

– Jeżeli mi nie powiecie, złoję skórę wam obu.

Nie odzywały się. Ich milczenie jeszcze bardziej rozgniewało Jamiego.

Rozwścieczony schwycił Rosy i przyciągnął do siebie.

– Już ja cię nauczę skarżyć na mnie, smarkulo! – ryknął. Jedną ręką trzymał dziewczynkę za ramię, a drugą zdzielił ją w twarz. Rozplakała się i próbowała oswobodzić się z mocnego uścisku. Im bardziej się wrywała, tym bardziej złościł się Jamie. Jej gwałtowne ruchy doprowadzały go do szaleństwa. Zaślepiiony emocjami, trzymał dziewczynkę z całych sił. Jej ruchy wydawały mu się zmysłowo rytmiczne.

Poczuł ogień w lędźwiach. Spojrzał na małą przerażoną twarzyczkę mokrą od łez. Poczuł, że do jego oczu także napływają łzy. Co się z nim

dzieje? Mała ciemna rączka podrapała go po twarzy. Zaklął, czując piekący ból. Ogień stawał się nie do zniesienia. Jamie rzucił Rosy na ziemię i przyglądał się jej. Musi uwolnić ten ogień, bo inaczej spłonie od wewnątrz. Nachylił się nad przerażoną dziewczynką, potknął się i upadł na nią, jęcząc ekstatycznie.

Gdzieś w mrocznych zakamarkach jego mózgu pojawiło się wspomnienie. Chudy, dwunastoletni Jamie stoi wraz z ojcem w zagrodzie dla koni. Ze stajni dochodzi pokwikiwanie klaczy i parskanie ogiera. Zwierzęta właśnie zaczęły się parzyć. Jamie przypomniał sobie cichy śmiech ojca. „Ta klacz krzyczy zupełnie jak kobieta. Ogier nauczył ją zachowania” – zwrócił się do stajennego.

Ale klacz nie zamilkła. Jamie wciąż ją słyszy. A może to krzyczy Rosy?

Wydawało się, że upłynęły całe wieki, nim podniósł się na klęczki. Rozejrzał się po pustej polanie i nagle wszystko sobie przypomniał. Wydawało mu się, że śnił. Poprawił na sobie ubranie i ruszył w stronę stajni. Dobrze wiedział, że kiedy wróci do domu, Elena powita go nową burą. A zresztą w domu i tak nie było co robić. Przecież zniszczył swoje wojsko. Nie miał po co wracać do domu. Szybko osiodłał klacz. Nie oglądając się za siebie, wyjechał ze stajni i pomknął w dżunglę. Nie miał zamiaru trzymać się ścieżek. Był już wystarczająco dorosły, by jechać, gdzie mu się spodoba. Nie był dzieckiem. Czyż nie udowodnił tego? Zachichotał. A potem przypomniał sobie o Elenie i raptownie spoważniał. Poczuł, że koń zaczyna ponosić, więc ściągnął wodze. Przemawiał uspokajająco, ale coś denerwowało wierzchowca.

– Ach, tak. Wodze.

Jamie poluzował wodze. Zwierzę natychmiast stanęło dęba i Jamie zsunął się z siodła, ale nie zdążył wysunąć lewej stopy ze strzemienia. Koń biegł, wlokąc Jamiego za sobą. Chłopak usiłował chwycić się jakiejś gałęzi. Na próżno. Zbyt późno spostrzegł pnącze. Liana owinęła mu się wokół szyi. Starał się wcisnąć ręce w pętlę. Znowu zbyt późno. Rozległ się głośny trzask, zagłuszony stukotem końskich kopyt.

– Gdzie się podziały? I gdzie jest Jamie? – pytała Marilyn z niepokojem.

– Znajdziemy ich, panno Bannon. Niech się pani nie denerwuje. To szkodliwe w tym upale. Rozdzielimy się, pani pójdzie ścieżką w lewą stronę, a ja obejdę stajnie. Spotkamy się w domu. Dobrze?

Marilyn skinęła głową. Szła, nawołując dziewczynki. Odpowiadały jej tylko krzyki ptaków. Niemal podskoczyła, kiedy tuż obok rozległ się przeraźliwy skrzek. Znów zawołała. Żadnej odpowiedzi. Skierowała się w stronę małego źródelka. Już z daleka widziała, że nikogo przy nim nie ma. Skręciła w lewo, wciąż głośno nawołując. Nagle, tuż obok dużego krzaka, spostrzegła wielobarwną chustkę Rosy. Podniosła ją z ziemi. Rozejrzała się dookoła i zawołała głośniejszym głosem niż dotychczas. Stała, nasłuchując. Doszedł do niej jakiś dziwny odgłos. Rozsunęła gałęzie i spojrzała w gęstwinię. Zobaczyła skulone postacie Nessie i Rosy. Patrzyły na nią dwie pary wystraszonych oczu.

– Dlaczego nie odpowiadałyście na moje wołanie? – zapytała Marilyn cicho. – Szukam was wszędzie.

Milczenie.

– Chodźcie, musimy wracać do domu. Zbliża się pora kolacji.

Dziewczynki ani drgnęły. Marilyn pochyliła się i przyjrzała im dokładniej. Nessie była przerażona. Rosy, zwykle taka gadatliwa, patrzyła prosto przed siebie niewidzącym wzrokiem. Marilyn poczuła ucisk w żołądku. Przyklękła nad Rosy.

– Rosy, co się stało?

Spojrzała na Nessie.

– Powiedz mi – zażądała.

Dziewczynki milczały.

Marilyn odsunęła Nessie. Wydawało jej się, że Nessie osłania Rosy własnym ciałem.

Oślania przed czym? – zastanawiała się Marilyn.

Wzięła Rosy na ręce i wyniosła z gęstych zarośli na słońce. Ułożyła na ziemi i uważnie jej się przyjrzała. Coś z nią było nie w porządku. Była oszołomiona. Marilyn pomachała dłonią przed oczami dziewczynki, ale Rosy nie zareagowała. Marilyn poczuła paniczny strach. W jej mózgu rodziła się straszliwa myśl. Nie, to niemożliwe. Jamie nie zrobiłby czegoś takiego. Czy na pewno? Marilyn spojrzała na Nessie.

– Powiedz mi, czy Rosy upadła?

– Nie – odparła dziewczynka.

Właściwie Marilyn знаła odpowiedź, nie musiała o nic pytać.

– Nessie! Przeprowadź tu Elenę. – Dziecko ani drgnęło. – Nessie, słyszysz mnie? Idź natychmiast!

– Nie Elena. Ty zajmij się Rosy – powiedziała błagalnie Nessie.

Marilyn spojrzała na nieprzytomną dziewczynkę i skinęła głową. Łagodnie odgarnęła czarne loki z czoła dziecka.

– Nessie, muszę ci powiedzieć prawdę. Nie wiem, co mogę dla niej zrobić. Czy możesz pójść do stajni i przyprowadzić konia? Zabiorę Rosy na plantację pana Rivery do jej matki. Ciebie także. Ciebie także oddam rodzicom. Na tej plantacji nie jesteście bezpieczne. Możesz to zrobić, Nessie? Możesz przyprowadzić mego konia?

– Przyprowadzę, panno Bannon – odparła cicho.

– Więc pośpiesz się, dziecko! Biegnij!

Marilyn miała wrażenie, że upływają całe wieki. Siedziała na polance, gładząc główkę Rosy i przemawiając do niej kojąco. Wreszcie zobaczyła Nessie prowadzącą nie jednego, lecz dwa konie.

– Powiedziała pani, że ja też pojedę, prawda, panno Bannon?

Marilyn skinęła głową. Pomogła Nessie wsiąść na konia. Usadowała Rosy na grzbiecie drugiego. Zebrała spódnicę i usiadła obok dziecka. Uśmiechnęła się z zadowoleniem; zrobiła to zręczniejsz niż mężczyźni. Mocno podtrzymując Rosy, zachęciła klacz do kłusa.

Zastanawiała się, czy powinna pojechać do Sebastiana, czy do rodziców dziewczynki? Zdecydowała się, że pojedzie wprost do wioski. Sebastian nic by tu nie poradził. Dziecko potrzebowało matki.

Po godzinie jazdy dotarły na polanę, na której leżała wioska Indian z plantacji Sebastiana. Tak jak poprzednio z chat wybiegły kobiety, ale żadna z nich się nie odezwała. Przez tłum przepychała się wysoka Indianka. Spojrzała na dziewczynki i wyciągnęła ramiona, aby zdjąć Rosy z konia. Z czułością przytuliła dziecko do swojej chudej piersi. Do oczu napłynęły jej łzy.

Podszedł do niej ogromny mężczyzna i wziął Rosy z rąk matki. To pewnie ojciec, pomyślała Marilyn. I wtedy rozległ się gwar. Kobiety wskazywały palcami na nogi dziewczynki. Matka spostrzegła smugę zaschniętej krwi, która na ciemnej skórze dziecka była słabo widoczna. Powoli uniosła sukienkę dziewczynki i spojrzała na męża. Skinęła głową. Na polanie zapanowała cisza. Tłum się rozpieczęł i Marilyn pozostała sama z Nessie. Nie zwracając uwagi na złowróźbne milczenie, pomyślała, że Anna ucieszy się na widok córki.

– Chodź. Pojedziemy do domu.

Podwórce było puste. To dobrze. Marilyn nie miała ochoty spoglądać w twarde, chłodne, czarne jak węgiel, oczy Sebastiana, które przewierały ją na wylot. Słyszając tętent końskich kopyt, Anna wyszła przed dom. Spojrzała na Nessie i, otwierając ramiona, zbiegła po schodach. Spojrzała na Marilyn, która skinęła głową.

– Zostanie z tobą. Jest twoją córką i jej miejsce jest przy tobie. Żałuję tylko, że nie mogłam ci jej oddać wcześniej.

– Będą kłopoty, kiedy Baron się dowie.

– Masz rację, Anno. Będzie mnóstwo kłopotów. Ale moja w tym głowa. Nie bój się. Nikt ci nie odbierze dziecka. Daję ci moje słowo.

Marilyn schyliła się i ucałowała małą, ciemną twarzyczkę.

– Dbaj o mamę, tak jak dbałaś o mnie – powiedziała dziewczynce.

Nessie poważnie skinęła głową. Marilyn pomachała im ręką i odjechała z podwórza. Nie zauważyła konia, na którym z przeciwnej strony nadjeżdżał Sebastian. Nie poczuła na sobie jego tęsnego wzroku. Nie usłyszała słów, którymi gospodyni Sebastiana wychwalała złotowłosą dziewczynę za to, że odwiozła jej dziecko.

– Szczęśliwy będzie mężczyzna, którego ta kobieta zechce poślubić – powiedziała zachwycona, tuląc dziecko w ramionach.

Marilyn wróciła na plantację Drzewo Życia. Na jej spotkanie wyszła Elena.

Będzie zła, kiedy jej powiem, pomyślała Marilyn. Szybko weszła na werandę i opowiedziała gospodyni, co zaszło w ciągu ostatnich kilku godzin. Elena skinęła głową, spoglądając na pokierszowane figurki drewnianych żołnierzyków.

– Nie mogła pani zrobić nic innego, panno Bannon. Widziała pani Jamiego?

Marilyn pokręciła głową.

– Nigdy dotąd nie wyjeżdżał na tak długo – zauważyła Elena niespokojnym tonem. – Chłopak stajenny powiedział mi, że Jamie wziął swojego konia. Oznajmił, że chce się przejechać. Boję się, że stało mu się coś złego. Jeśli nawet nie, i tak będziemy mieli kłopoty. Sebastian Rivera nie powstrzyma swoich Indian. Zanim minie noc, w dżungli poleje się krew – dodała złowróźnie.

Po kąpieli Marilyn poczuła, że jest bardzo głodna. Kiedy jednak podano kolację, zupełnie straciła apetyt. Rozgarniała jedzenie widelcem i skubała plasterki guawy. Poprosiła Elenę o czarną kawę i usiadła na werandzie w zapadającym zmierzchu. Smakując każdy łyk wonnego napoju, patrzyła na pochodnie, którymi mężczyźni oświetlali dżunglę, szukając Jamiego. Wypiła drugą, a potem trzecią filiżankę kawy. Nagle uderzyła ją dziwna cisza. Zobaczyła Indian wracających

gęsiego do domu. Na ich spotkanie wyszła Elena. Obie kobiety patrzyły, jak mężczyźni układali na werandzie ciało Jamiego. Potem wyprostowali się, a ich ciemne, kościste twarze nie wyrażały żadnych emocji.

Elena uklękła i przyglądała się twarzy Jamiego oświetlonej przez pochodnie. Jeden z Indian powiedział coś gardłowo i Elena spojrzała na szyję chłopaka. Z nieruchomą twarzą wydała jakieś polecenia i Indianie wnieśli ciało Jamiego do domu.

– Pójdę z tobą, Eleno – zaproponowała Marilyn.

– Nie – odparła ostro, a potem dodała łagodniejszym tonem: – Sama zrobię, co trzeba.

Marilyn wróciła na swój fotel. Napięcie, które odczuwała, zmieniło się w paralizujące zmęczenie. Podziwiała hart ducha Eleny. Jednocześnie litowała się nad losem Jamiego, nie mogąc zrozumieć jego przemiany.

Elena zabrała się do pracy nad przygotowaniem Jamiego do wiecznego spoczynku. Jednocześnie rozmyślała o tym, co należy zrobić. Sprowadzić ojca Johna, zawiadomić Barona, nakazać Indianom przygotowanie grobu. Spocznie na małej polanie za domem, obok matki, której nie pamiętał.

Elena pochyliła się, by umyć twarz chłopca. Łzy dławili ją w gardle. Miłość do Jamiego wypełniła pustkę jej życia, nadała mu sens. Teraz wróciła pustka.

Ukończyła pracę. Stała obok łóżka i przyjrzała się Jamiemu. Jego podobieństwo do Carlyle było uderzające.

– Carlyle – wyszeptała.

Wszystkiemu był winien fałsz Barona. Nigdy nie dopuścił do siebie myśli o ułomności syna. Zawsze upierał się, żeby traktowano Jamiego jak mężczyznę, a Elena była mu posłuszna. Ale w głębi serca wiedziała, że Baron się myli. Dojrzałe ciało Jamiego mieściło w sobie umysł małego chłopca. Nie było na to rady.

Elena podniosła dzbanek i miednicę. Wychodząc, obejrzała się, by jeszcze raz popatrzeć na ciało. Jej myśli uparcie krążyły wokół Barona.

– Już niedługo – wyszeptała. – Już niedługo, Jamie. Wkrótce będę świadkiem końca okrutnego panowania Barona. Jego królestwo legnie w gruzach, a on pozostanie tylko pustą skorupą. A ja, Jamie, twoja Elena, zrobię wszystko, by przyspieszyć ten upadek. Kiedy koniec nadejdzie, będę się rozkoszować zwycięstwem, tak jak niegdyś upajałam się, sypiając w jego łóżu.

13

Carl przyglądał się pięknej twarzy pogrążonej we śnie Alicji i przeklinał samego siebie za to, że doprowadził ukochaną do takiego stanu. Najważniejsze, że Alicja szybko wracała do zdrowia; mimo to Carl wciąż czuł się winny. Naprawdę nie mógł obwiniać ojca. Gdyby zachował się, jak przystało mężczyźnie i przeciwstawił się Baronowi... Był jednak słaby i tchórzliwy. Kiedy przekonał się, jak wstrętne interesy prowadzi jego ojciec, powinien się zbuntować i postawić na swoim. Nie zrobił tego i znalazł się w trudnym położeniu. A kiedy dowiedział się, że Baron oszukał także nieszczęsnego ojca Alicji, powinien wziąć sprawy w swoje ręce. Prawdziwy cud, że droga Alicja i jej matka nie winały Carla. Poświęci całe swoje życie, aby wynagrodzić im krzywdy wyrządzone przez ojca. Z pomocą Sebastiana Riveiry powinno mu się udać. Carl był o tym przekonany. Spojrzał z miłością na szczupłą dziewczynę. Była wobec niego taka wyrozumiała. Powiedziała, że nie dba o to, że są bez grosza i będą musieli ciężko pracować w dżungli – liczy się tylko to, by byli razem. Powiedziała, że go kocha i pragnie mu dać silnych synów i piękne córki, które będą go kochać równie mocno jak ona. Nie miała do niego żalu o to, jak ją potraktował. To prawda, jej ojciec zmarł i obie z matką pozostały bez środków do życia, ale Bóg im to wynagrodzi. Modliła się nawet o powrót Carla do domu lub przynajmniej o to, by pogodził się z ojcem – w końcu Baron będzie dziadkiem jej dzieci.

Carl poczuł raptowną potrzebę dotknięcia swojej ukochanej. Chwycił jej dłoń. Alicja otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

– Mój drogi, co się stało? Wyglądasz na zatroskanego.
– Zastanawiałem się właśnie, jak mógłbym żyć bez ciebie. Będę codziennie dziękował Bogu, że nas połączył.

– Jesteś moją jedyną miłością – powiedziała Alicja z uśmiechem. – Na tym i na tamtym świecie. Będziemy razem bardzo szczęśliwi, mój kochany. Poświęcę życie, by cię uszczęśliwić. Jest tylko jedna rzecz, która może popsuć nasze szczęście, Carl, i ty wiesz, co musisz zrobić. Nie mogę znieść myśli o tym, że nie pogodzisz się z ojcem. Spokojnie, mój drogi, wysłuchaj mnie. Musisz przynajmniej spróbować. Jeśli twój ojciec nie zmieni zdania, będziemy przynajmniej wiedzieli, że próbowaliśmy. To wszystko, o co cię proszę. O nic więcej nigdy cię nie poproszę. A teraz, Carl, chcę, żebyś mi to obiecał.

Spojrzała na niego, a Carl poczuł, że nie potrafi jej niczego odmówić.

– Obiecuję – powiedział z uśmiechem. – Ale wiem, że to się na nic nie zda. Mój ojciec jest nieprzejednany. Uważa, że go zawiodłem.

– On cię potrzebuje, Carl. Nawet jeśli sam o tym nie wie. Od ciebie zależy, czy uwierzy, że ty także go potrzebujesz.

– Moja droga, do końca moich dni nie potrzebuję nikogo innego oprócz ciebie.

Alicja uniosła głowę, by Carl mógł ją pocałować. Spojrzeli na siebie oczyma pełnymi miłości.

Dni mijały, a Marilyn czuła się coraz bardziej nieswojo. Gdziekolwiek poszła, trafiała na Barona. Bełkotał coś, ściskając w dłoni butelkę whisky. Wyglądał jak obłąkany. Na szczęście Moriah także odeszła z domu Barona. Marilyn odwiozła ją do matki na plantację Sebastiana.

Był trzeci lub czwarty dzień po pogrzebie Jamiego. Marilyn starała się nie zwracać uwagi na upał i siedziała na werandzie. Ale Baron usadowił się obok niej i zaczął wygłaszać swoją niekończącą się tyradę.

– Przez ciebie straciłem synów, ty... ty... ty jesteś wszystkiemu winna – powtarzał z pijackim uporem. – Jesteś przyczyną wszelkiego zła.

Jego kiedyś twarde stalowoszare oczy były teraz przygasłe i załzawione. Patrzyły tępo spod ciężkich, opuchniętych powiek. Marilyn spojrzała na niego z niesmakiem i już miała odpowiedzieć w podobnym tonie, ale zrezygnowała.

– Odpływam stąd najbliższym statkiem, Baronie. Pozbędzie się pan mnie. Moi prawnicy będą z panem w kontakcie i poprowadzą moje sprawy – powiedziała, wstając z bambusowego fotela. Było jej ciężko na sercu i miała wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy przybyło jej wiele lat.

– Teraz, kiedy zrujnowałaś wszystko, co było mi drogie, zamierzasz stąd uciec? – wrzasnął Baron. – Zrujnowałaś mnie. Już nigdy nie pokażę się w mieście z podniesioną głową. Jesteś wszystkiemu

winna. Ty i ten bękart Rivera. Ale ja jeszcze doprowadzę sprawy do porządku. – Uniósł do ust butelkę whisky. – Pospłacam długi na swój własny sposób. A zapłacicie mi ty i Rivera.

Marilyn wyjrzała z werandy i zobaczyła nadjeżdżającego na koniu Carla. Baron spostrzegł go w tej samej chwili.

– Ten fircyk nie jest już moim synem – powiedział ochryple. – Przyszedłeś napawać oczy nieszczęściem ojca? A gdzie jest twoja ukochana? Dlaczego mi nie odpowiadasz?

Carl ze smutkiem spoglądał na ojca.

– Przyszedłem ci powiedzieć, że gdybyś mnie kiedykolwiek potrzebował, jestem niedaleko.

– Potrzebował? Ciebie? Ja nie potrzebuję nikogo! – ryknął Baron, a twarz pociemniała mu z gniewu. – Zejdź mi z oczu. Dopóki jesteś z tą dziewczyną, nie masz czego szukać w moim domu.

W pierwszej chwili Carl skurczył się, słysząc słowa ojca. Nagle wyprostował się i zwrócił do Marilyn.

– To nie jest odpowiednie miejsce dla dobrze urodzonej kobiety. Radzę, byś wróciła do Nowej Anglii. On jest... – spojrzał na ojca – niebezpieczny.

Baron stał nieruchomo jak wyciosana w marmurze rzeźba i z nienawiścią patrzył na Carla. Marilyn przypomniała sobie złowróżbne słowa Barona: „Spłacę długi na swój własny sposób” i wstrząsnął nią dreszcz. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Baron zemści się na niej. Chce mnie zabić, pomyślała. Była tego pewna. Elena także. Dlatego wciąż pilnowała Barona.

Wyjedzie. Spakuje swoje rzeczy i do czasu odpłynięcia statku zatrzyma się u pani Quince.

Patrzyła na odjeżdżającego Carla, a potem spojrzała na Barona. Jego oczy znów stały się zimne i twarde jak stal. Wypełniały je złość i nienawiść. Marilyn poczuła, że jej oczy wyrażają podobne uczucia. Wytrzymała jego spojrzenie i Baron pierwszy spuścił wzrok.

Pakując w pośpiechu rzeczy, Marilyn rozejrzała się po pokoju, który był jej domem przez... jak długo? Wzruszyła ramionami. To nigdy nie był jej dom.

Postanowiła po raz ostatni objechać konno plantację. O tej porze Baron z pewnością był już pijany, więc nic jej nie groziło. Jeden z Indian pani Quince miał przyjechać po kufry.

Szybko wyszła z domu.

Bez trudu osiodłała wielkiego siwka. Spojrzała na szmaragdową zieleń dżungli. Wiatr rozczesywał wielkie paprocie. Drobnie kamyki lśniły w jaskrawym słońcu. Siwek parsknął niecierpliwie. Marilyn ruszyła przed siebie. Jej myśli błądziły i rozwiewały się podobnie jak włosy na wietrze. Miała zamiar jeździć do południa, a potem zatrzymać się, by przeczekać największy upał. Tak samo jak Carl chciała być z dala od złego spojrzenia Barona. Carl powiedział, że na plantacji nie jest bezpiecznie. A potem odjechał do swojej ślicznej Alicji. Marilyn dziwiła się nagłej przemianie Carla. Dosłownie rozkwitała. Marilyn uśmiechnęła się na tę myśl. Miłość, to musi być cudowne uczucie.

Ostrożnie omijała zdradliwe pnącza. Nie chciała, by spotkał ją los Jamiego. Znowu zaczęła o nim myśleć. Teraz w jasnym świetle dnia może myśleć spokojnie. Jamie był chory. Miał umysł dziecka. Elena wyjaśniła jej wszystko w kilku krótkich zdaniach. Teraz wszystko minęło; nie pozostało nic do zrobienia.

Kiedy dojedzie na plantację pani Quince, wyśle list do swoich doradców prawnych w Nowej Anglii. Żeby wszystko przebiegło legalnie. Nagle poczuła przygnębienie. Będzie tęskniła za panią Quince i... będzie tęskniła za Sebastianem. Przez pewien czas miała nadzieję, że zrodzi się pomiędzy nimi romantyczne uczucie. Jednak Sebastian dał jej do zrozumienia, że do tego nie dojdzie. Najwyraźniej wolał ciemnowłose kobiety o śniadej cerze. Jej jasna karnacja nie była w jego typie. Cóż, pomyślała ze smutkiem, wkrótce mnie tu nie będzie. Na tę myśl poczuła jednak skurcz serca. Zakreśliło jej się w głowie. Czy zaczyna padać? Rozejrzała się. Na zachodzie gromadziły się złowieszcze chmury. Upał był przygniatający. Musi znaleźć jakieś schronienie. Widząc, że chmury zbliżają się, ponagliła konia. Zdaje się, że nadciąga jedna z burz, przed którymi przestrzegają ją Elena. W panicznym strachu Marilyn zjechała ze ścieżki. Stwierdziła, że znajduje się w nieznaney okolicy. Zabłądziła.

Marilyn spięła konia piętami. Nagle, z prawej strony, pojawiły się ruiny budynku. Wstrzymała konia. Dżungla rozrosła się, pochłaniając szerniałe szczątki okazałej budowli. Teraz na pewno żyło tu mnóstwo węży i szcurów. Marilyn potrzebowała jednak schronienia przed burzą. Dom nie miał drzwi, więc wprowadziła siwka do środka. Po drodze schyliła się i podniosła z werandy gruby kij, aby bronić się przed węzami. Żałowała, że nie ma świecy. Jaskrawe słońce skryło się za chmurami. Rozległo się dudnienie grzmotu, a niebo rozdarł zrygawką błyskawicy. W krótkotrwałym błysku dostrzegła w rogu pomieszczenia

coś, co dawniej było skrzynią. Z wyciągniętymi rękami ruszyła w jej kierunku. Przysiadła ostrożnie, nie wypuszczając kija. Siedziała tak ze dwie godziny.

Burza skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. W zniszczonym domu zabłysło słońce i Marilyn rozejrzała się po wielkim pokoju. Wyglądał prawie tak samo jak pokój w Casa Grande. Czyżby to był ten stary dom?

Chodziła z pokoju do pokoju; ruina miała identyczny rozkład jak obecny dom Barona.

Marilyn poczuła się nieswojo. Od kiedy poznała prawdziwą naturę Barona, uwierzyła, że oskarżenia pana Quintona nie były bezpodstawne. Szybko porzuciła tę myśl. Już nie wątpiła, że pan Quinton ma rację, ale myśl o ojcobójstwie była tak straszliwa, że nie chciała jej do siebie dopuścić.

Wyjęła jedzenie z torby przytroczonej do siodła i usiadła na skrzyni. Posilała się, błędząc wzrokiem po pokoju. Coś tu było dziwnego. Ale co?

Nie było mebli; brakowało ścian. Zostały tylko zwęglone belki. Jedząc kanapkę z serem, uświadomiła sobie, że nie chodzi tu o brak mebli i ścian. Spojrzała pod nogi. Nie chodziło również o podłogę. Podniosła głowę. Osmalone belki, ale kandelabr wisiał nienaruszony. Brudne, zakurzone kryształki nadal lśniły w świetle słońca. Zastanowiło ją, dlaczego go nie zabrano. To właśnie to. To właśnie było dziwne – wielka kryształowa kula, wisząca u sufitu. Właśnie to ją uderzyło. Ale dlaczego?

Wstała i zadarła głowę. Coś zwróciło jej uwagę już wcześniej. Starła się dociec, co to było. Obeszła pokój, oglądając kandelabr pod różnymi kątami. Nic nie zauważyła. Niezadowolona, pomyślała, że uległa złudzeniu. Wzruszając ramionami, powróciła na drewnianą skrzynię. Nagle wstała. Zaciągnęła skrzynię pod kandelabr i wspięła się na nią. Stając na palcach, dotknęła kandelabru. Odchyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie. Jest!

Słońce prześwieciło kryształową kulę i Marilyn dostrzegła coś czerwonego. Wsunęła dłoń do środka i wyjęła czerwoną księgę w oprawie z cielej skóry. Podniecona zeszła ze skrzyni i zaczęła szybko ją wertować.

Był to dziennik Carlyle Newsome'a Seniora – ojca Barona. Ale dlaczego ukrył swój dziennik w kandelabrze? Szybko kartkowała księgę. Pismo było drobne, ale Marilyn mogła odczytać większość zapisów. Zdziwiające, że księga pozostała niezniszczona.

Marilyn usiadła na skrzyni i zaczęła czytać. Na początku opisano historię plantacji. Była rozwlekła i nudna. Czytała jednak uważnie. Wreszcie dotarła do zdań:

Mój syn, Carlyle, rozczarował mnie. Sądzę, że popełniłem błąd, wysyłając go z domu. Powrócił ani trochę nie zmieniony. Jest dla mnie prawdziwym utrapieniem.

Marilyn pominęła kilka zdań, nie mających większego znaczenia. A potem przeczytała:

Uznałem, że wobec pogarszającego się stanu zdrowia, muszę przed śmiercią podjąć decyzje w kilku ważnych sprawach.

Sebastian Rivera jest moim synem. Ukochanym i wyczekiwany przez mnie i przez jego matkę. To właśnie ona nie chciała, aby nasz tajemny ślub wyszedł na jaw. Tak podpowiadał jej instynkt Indianki. Powiedziała, że nasze małżeństwo może zniszczyć mi życie. Obawiam się, że postuchałem jej z miłości. Kazała mi przysiąc, że Sebastian nigdy nie dowie się z moich ust, że jest moim synem. I nie dowiedział się. Jutro pojedę do Manaus i zostawię akt ślubu u mego doradcy prawnego, aby w razie mojej śmierci Drzewo Życia stało się własnością Sebastiana, który nosi panięskie nazwisko swojej matki.

Carlyle okazał się złym człowiekiem. Jego brak poszanowania dla ludzkiego życia zadziwia mnie. Mimo że często go ostrzegałem i pouczałem, sposób, w jaki traktuje Indian i Murzynów, nie zmienił się. Kiedy w końcu splamił swe ręce krwią człowieka i uznał, że postąpił słusznie, straciłem cierpliwość. Wyrzekłem się Carlyle i jestem bardzo zasmucony.

Wszystkie moje nadzieje dotyczące Brazylii wiążę z Sebastianem. Mam nadzieję, że jego matka dobrze go wychowała i uczyniła wrażliwym na ludzkie cierpienie. Mój stary przyjaciel, Farleigh Mallard, który zna prawdę, powiedział mi, że dostrzega w Sebastianie zalety, które pozwolą mu zrealizować moje nadzieje. Domysły na temat Sebastiana i jego matki, dotyczące starego Farleigha, sprawiły mu wielką przyjemność. Ludzie oczywiście sądzą, że skoro moja żona jest gospodynią w domu Farleigha, na plantacji Regalo Verdad, to on jest ojcem Sebastiana.

Dzisiaj wieczorem spotkam się z Carlylem, aby poinformować go o wszystkim. Kiedy odejdę, drogi Sebastianie, a Ty odnajdziesz ten dziennik, chcę, żebyś wiedział, że kochałem Cię, jak tylko ojciec potrafi kochać swego syna. Równie mocno kochałem Twoją matkę. Jesteś krwią z mojej krwi i kością z moich kości. Zostałeś zrodzony z miłości, która połączyła

mnie i Twoją matkę. Patrzyłem, jak wyrastałeś z chłopca na młodego mężczyznę. Patrzyłem, jak radziłeś sobie ze wszystkimi przeszkodami, które stawały na Twojej drodze. I dlatego, Synu, jestem z Ciebie dumny. Tęskniłem za tym, by Cię przytulić i wyznać, że jestem Twoim ojcem. Ale co się stało, to się nie odstanie. Teraz nadszedł czas, abym naprawił swoje błędy.

Marilyn uniosła głowę znad dziennika. Zdawało jej się, że usłyszała jakiś dźwięk. Doszła do wniosku, że to jakieś zwierzę.

Wróciła do lektury, której pozostało już niewiele.

W końcu moje najskrytsze marzenie się urzeczywistni. Sebastian zostanie moim dziedzicem, mimo że jest młodszym synem. Powziąłem tę decyzję i uważam, że jest słuszna. Podczas mojej ostatniej wizyty u lekarza, dowiedziałem się, że śmierć jest blisko. Mam nadzieję, że poczeka na mnie jeszcze jeden dzień. W przeciwnym razie Carlyle odziedziczy Drzewo Życia, a Sebastian nigdy nie dowie się prawdy”.

Tutaj dziennik się kończył. Marilyn przejrzała uważnie pozostałe strony. Były puste. A więc stary Baron musiał umrzeć, zanim doprowadził sprawy do końca. Albo ktoś dopomógł śmierci. O, znowu ten dźwięk!

Marilyn wyprostowała się i nasłuchiwała. Znowu. Nagle w wejściu spostrzegła jakąś postać. Oślepiąca przez słońce nie mogła jej rozpoznać. Intruz wszedł do środka, trzymając w dłoni rewolwer. Baron. Marilyn wstrzymała oddech.

– Śledził mnie pan? Czego pan chce ode mnie?

– Owszem, śledziłem cię. Chcę tego, co trzymasz w rękach. Od bardzo dawna szukam tego dziennika. Nie miałem spokoju, odkąd dowiedziałem się o jego istnieniu. Oddaj mi go – rozkazał władczym tonem. Marilyn dowiedziała się właśnie, że podejrzenia pana Quintona były uzasadnione.

– Nie! – krzyknęła. – Ten dziennik należy do Sebastiana! Są tu słowa skierowane do niego. Pański ojciec pragnął, by Sebastian je przeczytał. Póki żyję, nie oddam go panu!

– W takim razie musisz zginąć – powiedział Baron lodowatym tonem i wycelował w nią rewolwer.

Marilyn wiedziała, że Baron nie żartuje. Nagle zamachnęła się i wyrzuciła czerwoną książkę przez otwór po drzwiach, w gęste zarośla. Baron spojrział w kierunku lecącej książki. Marilyn szybko schyliła się

po gruby kij, leżący u jej stóp. Cisnęła nim z siłą, o jaką nigdy by się nie podejrzewała. Rewolwer wypadł z dłoni Barona. Spojrzał na nią z dziką wściekłością. Twarz wykrzywił mu grymas, a rumiana cera spąsowiała. Nie mógł złapać oddechu. Działo się z nim coś bardzo złego. Marilyn patrzyła z przerażeniem, jak Baron pada. To udar, pomyślała Marilyn. Muszę mu pomóc.

Pozostawiła go w ruinach i ruszyła na poszukiwanie konia Barona. Jadąc po śladach kopyt, wkrótce znalazła się w pobliżu plantacji Sebastiana. Spięła konia obcasami i wjechała prosto na podwórze. Wstrzymała konia i zawołała Sebastiana, który słysząc jej niecierpliwie okrzyki, natychmiast wyszedł z domu.

Marilyn opowiedziała mu szybko o Baronie. Nie wspomniała jednak o dzienniku. Będzie na to czas później. Sebastian wezwał swego nadzorcę i nakazał mu jechać za nim na wozie.

Marilyn wskoczyła na siwka i razem z Sebastianem wróciła do spalonego domu ojca Sebastiana.

W czasie gdy dwaj mężczyźni dźwigali nieruchome ciało Barona, Marilyn szukała w poszyciu czerwonego dziennika. Namacała suchą spękaną skórę i odetchnęła z ulgą. Ukryła książkę i powróciła w chwili, gdy kierowany przez nadzorcę wóz odjeżdżał sprzed spalonego domu.

Marilyn wsiadła na swego konia. Spojrzała na Sebastiana. On także na nią patrzył.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała cierpkim tonem Marilyn, wypatrując śladu uczucia na twarzy ukochanego. Tak, kochała go. Pokochała go, zanim znalazła pamiętnik starego Barona i dowiedziała się, kto jest jego ojcem. Ale jego pochodzenie nie miało dla Marilyn znaczenia. Tak samo, jak nie przejmowała się tym, że Sebastian utrzymywał kobietę w swoim miejskim domu. Liczyło się tylko to, że go kochała.

Sebastian spojrzął na dziewczynę. Przyjechała do niego po pomoc i zawołała go po imieniu. Chyba był szalony, sądząc, że ma to jakieś szczególne znaczenie. Potrzebowała tylko jego pomocy. Czuł, że kocha tę złotowłosą dziewczynę, której obecność rozświetlała dżunglę. Nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Krew w jego żyłach burzyła się i stygła na przemian. Pragnął jej teraz i na jutro, i na pojutrze, i na każdy dzień życia. Najwyraźniej ona uważała, że związek z bękartem jest poniżej jej godności. Uważaj, Sebastianie, myślał z goryczą, aby nic ci się nie wymknęło. Nie pozwól, by się zorientowała, że ci na niej zależy. W ten sposób nie pozwolisz, żeby cię zraniła.

Spojrzał na nią obojętnie.

– Skoro już mnie pani nie potrzebuje, panno Bannon, wróć na swoją plantację. Jeśli kiedykolwiek znajdzie się pani w opałach, może pani na mnie liczyć – powiedział opanowanym głosem.

– Dziękuję, panie Rivera – odpowiedziała równie cierpko. – Ale wątpię, by doszło do takiej sytuacji. Zdecydowałam się wrócić do Nowej Anglii. – Mówiąc to, odczuwała niemal fizyczny ból i natychmiast pożałowała swych słów. Nie chciała wracać do Nowej Anglii. Chciała zostać tu, w Brazylii, choćby po to, żeby widywać czasem tę drogą twarz, chociaż raz w roku, podczas karnawału, znaleźć się w jego ramionach.

Słyszając o jej zamierzonym wyjeździe, Sebastian poczuł, że świat usuwa mu się spod nóg. Nie mógł wymówić słowa.

Marilyn wyciągnęła ku niemu rękę.

– Niech pan to weźmie – powiedziała. – To należy do pana. Przynajmniej tak było zaplanowane. Przepraszam, że przeczytałam. Nie wiedziałam, że to pamiętnik pana ojca. Omal nie zginęłam, broniąc tej książki. Daję ją panu, panie Rivera – powiedziała ze smutkiem. – Myślę, że znajdzie pan w niej pocieszenie! Oddaję panu pańskie życie.

Szybko ujęła wodze siwka i ponagliła go do galopu. Po jej policzkach łzy płynęły niepohamowanym strumieniem.

– Do diabła z nim! Do diabła! – krzyknęła, znalazłszy się z dala od Sebastiana.

Wóz z nieruchomym Baronem zajechał przed dom. Słyszając turkot kół, Elena wyszła na werandę.

Kiedy Jesus uniósł Barona, Elena podbiegła i spytała, co się stało. Bardzo przejęta, popędziła do domu, aby przygotować łóżko Barona.

Mijały dni, Baron trwał na granicy życia i śmierci, Elena czuwała przy nim. Marilyn wróciła, aby jej pomagać. Przygotowywała posiłki, prała, doglądała wszystkich prac domowych.

Nadzorca plantacji Barona wielokrotnie przyjeżdżał, aby zapytać o zdrowie pana. Na skraju polany okalającej dom, przesiadywała gromadka Indian i Murzynów, śpiewając żałobne pieśni, które zasmucały Marilyn.

– Śpiewają tak wtedy, kiedy czują, że ich pan umiera – powiedziała Elena. Widząc pełen niedowierzania wzrok Marilyn, dodała: – Tak, wiem. Po wszystkich niegodziwościach, które wycierpieli, pomimo nędzy i niewoli. Jednak to jest ich pan, więc jeśli go nawet nie

kochają, to z pewnością go szanują. Niełatwo zasłużyć na miłość, panno Bannon.

Elena miała smutne oczy, ale czasem pojawiały się w nich także przebliski niepokoju i dziwnego zadowolenia.

Dni mijały. Baron odzyskiwał siły, chociaż lekarz zapowiedział, że lewa strona ciała pozostanie sparaliżowana. Elena ucieszyła się z diagnozy. Strach w jej oczach zgasł. Marilyn znów zaczęła myśleć o pakowaniu kufrów i powrocie do Nowej Anglii.

W dniu wyjazdu po raz ostatni weszła do sypialni Barona.

Baron spoczywał na szezlongu, zrezygnował z wygod łóżka.

Dobry znak, pomyślała Marilyn, upór świadczy o powrocie do zdrowia.

Od czasu ataku bardzo się postarzał. Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, ale oczy pozostały żywe. Wrócił nawet ich dawny blask. Elena udowodniła swoją biegłość w posługiwaniu się brzytwą. Baron był gładko ogolony, pozostały tylko jego wąsiki. Ciemny odcień bordowego szlafroka sprawiał, że jego twarz wydawała się jeszcze bledsza. Kiedy odwrócił głowę w stronę Marilyn, dziewczyna spostrzegła zmiany, jakich dokonał udar. Lewa powieka i lewy kącik ust opadły, lewe ramię spoczywało bezwładnie na piersi. Marilyn poczuła lekką odrazę na widok bladej i pozbawionej życia dłoni.

Baron uśmiechnął się krzywo i na jego twarzy zamajaczyło ulotne wspomnienie dawnej urody.

– Zdaje się, że zawdzięczam ci życie. Ze wstydem przyznaję, że zrobiłaś dla mnie więcej, niż ja uczyniłbym dla ciebie. – Mówił bełkotliwie, prawie niezrozumiale. Ale chyba nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Nie musi mi pan dziękować. Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo. – Baron chciał coś odpowiedzieć, ale Marilyn go uspokoiła. – Nie ma pan powodów do niepokoju, panie Newsome. Po krótkim pobycie u pani Quince wracam do Nowej Anglii. Nie będę się domagała sprawozdania ze stanu majątku. I wie pan co? Dziennik pańskiego ojca oddałam pańskiemu bratu, panu Riverze. Teraz od niego zależy, jak będzie zarządzać Drzewem Życia. Pan Rivera jest dobrym i uczciwym człowiekiem. Jestem pewna, że potraktuje pana sprawiedliwie.

– Ja także jestem tego pewny – udało się wykrztusić Baronowi.

– Żegnam pana, panie Newsome. Baronie.

Na dźwięk tego tytułu twarz Barona pojaśniała.

– Żegnam panią, panno Bannon.

Marilyn wyszła z pokoju i natknęła się na Elenę, stojącą za drzwiami.

– Baron wygląda znacznie lepiej. Z całą pewnością to zasługa twoich starań.

– O, tak. Mam nadzieję, że będzie mu się polepszało.

– Wkrótce wyjadę, Eleno – powiedziała Marilyn cicho. – Mam nadzieję, że pozostanę w twojej pamięci jako przyjaciółka. Tak jak ty w mojej.

– Jestem pani przyjaciółką, panno Bannon. Przepraszam za moje zachowanie po pani przyjeździe.

Marilyn uniosła dłoń.

– Proszę, Eleno. Zbyt wiele przeżyliśmy razem, by wypowiadać niepotrzebne słowa.

Objęła szczupłą i wysoką gospodynię, a potem wróciła do pakowania.

Elena weszła do pokoju chorego, by sprawdzić, czy nie chce wody i czy nie jest głodny. Baron leżał nieruchomo na szezlongu. Elena uznała, że rozmowa z Marilyn tak go zmęczyła, że usnął. Kiedy zasuwała zasłony, usłyszała, że Baron się poruszył. Natychmiast zaczął jej uragać.

– Ty koścista szkapo, niedobrze mi się robi, kiedy patrzę na twoje czarne suknie i gładko ulizane włosy – udało mu się wyjąkać.

Wstrząśnięta jadowitymi słowami Elena odwróciła się. Baron był niepoprawny.

– Idź na polanę i przyprowadź mi jakieś ładne młode dziewczyny, żeby przyozdobiły mój pokój. Nie chcę, żeby mi przypominano, że jestem stary, a ty wciąż mi o tym przypominasz. Ile masz lat? Trzydzieści pięć? Jak na mój gust jesteś o wiele za stara. Ale pamiętam, że kiedyś byłaś młoda i piękna, Eleno... młoda i piękna.

Jego oczy zabłyśły w sposób, który sprawiał, że zawsze przechodziły ją ciarki na wspomnienie dawno minionych chwil.

Nie odzywając się, wyszła z pokoju. Kiedy zamykała za sobą drzwi, doszły ją ochryple słowa:

– Stara wiedźma, czarna wrona.

Idąc zdecydowanym krokiem, minęła na korytarzu Marilyn, która spojrzała na nią z ciekawością. Nie doczekawszy się żadnych wyjaśnień, dziewczyna wyszła na werandę, żeby zaczekać na wóz, którym miały pojechać jej kufry.

Po chwili do pokoju Barona wróciła Elena. Przeszła zadziwającą metamorfozę. Zdjęła ponurą czarną suknię i włożyła długą powłóczystą

spódnicę i krótkie, barwne bolerko, jakie często nosiły Indianki. Czas obszedł się z nią łaskawie. Jej szczupła talia pozostała wdzięczna jak u młodej dziewczyny, drobne piersi zachowały jędrność i miękko uwypuklały lekką tkaninę bolerka. Zanim otworzyła drzwi, przystanąła na chwilę. Powolnym ruchem wyciągnęła spinki i uwolniła gęste jedwabiste czarne włosy; potrząsała głową, aż spłynęły poniżej pasa. Powoli, cicho otworzyła drzwi. Weszła do mrocznego pokoju i chrapliwym głosem wymówiła imię, które znali tylko oni.

Baron spojrział na nią i wydało mu się, że śni. Stała nieruchoma w półmroku, unosząc szczupłe ramię powitalnym gestem, a na jej ustach błąkał się tajemniczy uśmiech.

Baronowi wydała się równie piękna, jak za młodu. Kremowa skóra wabiła męską dłoń. Wdzięczne kształty obiecywały namiętne spełnienie. Znów była młodą dziewczyną, a on...

Jego wzrok powędrował ku toaletce. Zobaczył własne odbicie w lustrze. To był wstrząs. Na szeslongu leżał kaleki starzec, który nigdy nie zazna rozkoszy, jakie obiecywała zmysłowa wizja.

Zrozumiał, jak przewrotny okazał się los po latach nieodwzajemnionej miłości, którą darzyła go Elena. Poczul skruchę z powodu swoich uczynków, a zwłaszcza radości, jaką czerpał z poniżania jej i obrzucania obelgami. Zdał sobie sprawę, że żadne błagania nie pomogą i Elena nigdy mu nie wybaczy.

Zostanie przy nim jako służąca, ale nie będzie więcej kochanką. I zostając z nim, wymierzy mu najsroższą z kar. Będzie go uwodzić i kusić, a on nie będzie mógł jej sprościć jako mężczyzna. Będzie znosić jego złe humory ze spokojnym uśmiechem. I będzie go miała w swojej mocy. Oto, jaka spotka go kara.

– Dlaczego? – zdołał zapytać.

Elena wyprostowała się dumnie i spojrzała na Barona rozjarzonymi oczyma. Długo milczała, zanim odpowiedziała. Kiedy się odezwała, jej słowa tak go zaskoczyły, że w pierwszej chwili nie zrozumiał ich znaczenia.

– Za Jamiego.

Starał się uchwycić sens jej słów. Elena wyjrzała spoza firanek. Patrzyła, jak przed dom zajeżdża Sebastian. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, cieszyła się ze względu na Marilyn.

Sebastian wspominał dzień, w którym Marilyn wręczyła mu dziennik, mówiąc: „oddaję panu pańskie życie”.

Zsiadł wtedy z konia i usiadł na ziemi, żeby przeczytać oprawione w czerwoną skórę zapiski. Dlaczego Marilyn sądziła, że dziennik

starego Barona Newsome'a da życie bękartowi, Sebastianowi Rive-
rze? Ale skoro już zaczął czytać, równie dobrze może skończyć. Czy-
tał powoli i uważnie. A potem przeczytał jeszcze raz, tym razem na
głos, tak, aby słyszała go dżungla i wszystkie zwierzęta. Marilyn mia-
ła rację; oddała mu życie. Co jeszcze powiedziała? Że omal nie stra-
ciła życia, broniąc tej książki? Tak! Jego nadzorca pokazał mu pisto-
let. Sebastian zbladł i zakręciło mu się w głowie.

Czy to znaczy, że ryzykowała własne życie, by uratować dla nie-
go ten dziennik?

Musi coś zrobić. Ale co? Wsiadł na konia i wrócił na plantację
Dar Prawdy. Nagle uderzyła go trafność tej nazwy. Stary Farleigh
Mallard nigdy mu nie wyjaśnił jej znaczenia.

A potem Marilyn była bardzo zajęta z powodu nagłej choroby
Barona. Nie potrzebowała Sebastiana. Nie, tym razem poczeka na
odpowiednią chwilę, kiedy Marilyn odpocznie, kiedy sytuacja w Drze-
wie Życia wróci do normy. Do tego czasu życie Sebastiana będzie
męką, dopóki nie dowie się, co zrobi Marilyn, kiedy usłyszysz, co ma
jej do powiedzenia.

A teraz jest tutaj, a ona siedzi na werandzie, jakby cały ten czas
czekała na Sebastiana.

Szybko pokonał dzielącą ich przestrzeń i stanął naprzeciw złoto-
włosej dziewczyny.

Podniosła zdziwiony wzrok, a w jej oczach zabłysło jakieś nie-
znane światło.

– Kocham cię – wybąkał Sebastian.

– C... co? – wyjąkała Marilyn zdumiona.

– Powiedziałem, że cię kocham. Chcę, żebyś została moją żoną.

– Podjąłeś decyzję po czy przed przeczytaniem dziennika?

– Pokochałem cię, zanim przeczytałem dziennik. Ale myślałem,
że nie zechcesz mnie poślubić, bo nie pozwoli ci na to wychowanie,
które otrzymałaś w Nowej Anglii. A kiedy przeczytałem dziennik,
uznałem, że mam takie same prawo jak każdy inny, by prosić damę
o rękę.

– Nie pomyślałeś, że należy pozostawić decyzję damie?

– C... coo? – teraz zaskoczony był Sebastian.

– Dlaczego nie pozwoliłeś mi zadecydować? Nie spędziłam ży-
cia pod kloszem, panie Rivera.

Zakłopotany Sebastian nie wierzył własnym uszom.

– Co byś powiedziała?

Marilyn udawała, że się namyśla.

- Cóż, panie Rivera...
- Tak?
- Cóż, powiedziałabym: „Najwyższy czas!” – Zerwała się z fotela. – Och, Sebastianie! Pokochałam cię od pierwszego wejrzenia. Nie wiedziałeś?

Sebastian skłonił się z galanterią i zamknął złotowłosą dziewczynę w ramionach. Poczwała, że to jej miejsce. Sebastian dziwił się cudownemu ciepłu, które na niego spłynęło.

– I żeby nasze dzieci były równie cudowne jak ich matka – powiedział, spoglądając głęboko w złote oczy Marilyn.